



HARLEQUIN®

Romans
Historyczny®



NICOLA
CORNICK

Listy lady Lucy

Nicola Cornick

Listy lady Lucy

*Tłumaczenie:
Barbara Ert-Eberdt*

PROLOG

Forres Castle, Szkocja

Czerwiec 1803 roku

Ta letnia noc była jakby stworzona do czarów. Blask księżycy w pełni srebrzył taflę morza, a wiatr szemrał w koronach sosen. Balsamiczne, przesycone zapachem soli powietrze wdzierało się przez otwarte okno do pokoju.

– Lucy! Chodź, popatrz!

Lady Lucy MacMorlan przewróciła się na drugi bok i szczelniej okryła kołdrą. W łóżku było ciepło i przyjemnie, nie zamierzała wystawiać się na ziąb, stając przy oknie, a przede wszystkim nie chciała uczestniczyć w głupiej i niebezpiecznej zabawie. Czy Alice tego nie pojmuje?

– Nie zawracaj mi głowy – powiedziała do siostry. – Nie chcę męża.

– Nie wierzę – odparła Alice.

Spośród szesnastoletnich bliźniaczek to Alice uwielbiała bale, stroje i flirt. Przed udaniem się na spoczynek trzy razy okrążyła stary słoneczny zegar w zamkowych ogrodach, recytując miłosne zaklęcie. Zabiegi te miały sprawić, że wraz z nowym księżycem ukaże się jej mężczyzna, którego los przeznaczył jej na męża. W tym czasie Lucy zaszła się w bibliotece i oddała lekturze *Traktatu o naturze ludzkiej* autorstwa Davida Hume’a.

– Przecież wyjdiesz za mąż. – Alice nie dawała za wygraną. – Co innego mogłabyś zrobić?

Czytać, pisać i studiować, pomyślała Lucy. To dużo ciekawsze niż zamążpójście.

– Wszystkie kobiety wychodzą za mąż, rodzą i wychowują dzieci. Rola księżęcych córek polega na cementowaniu sojuszków rodzinnych. Przecież wiesz o tym.

Lucy była świadoma oczekiwań ojca i krewnych i starała się podchodzić do nich racjonalnie, podobnie jak do wszystkiego. Wyobrażała sobie, że gdyby mama żyła, nakłaniałaby ją do przyjęcia oświadczeń jednego ze starających się dżentelmenów i założenia rodziny. Umarła, gdy bliźniaczki miały zaledwie po kilka lat, ale Lucy

zawsząd słyszała peany na temat wytwornej córki hrabiego Stratharnona, która wyszła świetnie za mąż i urodziła piękne dzieci. Mairi, starsza siostra Lucy i Alice, miała osiemnaście lat i już była zamężna. Lucy nie była przeciwna małżeństwu. Uważała jedynie, że przysły towarzysz życia powinien zainteresować ją bardziej niż książki. Szkopuł w tym, skąd takiego wziąć. Z zadumy wyrwał ją podniesiony głos siostry.

– Lucy! Panowie wychodzą z kieliszkami na taras! – zawołała podekscytowana i oznajmiła: – Pierwszy, który ukaże mi swoją twarz, będzie moją miłością.

– Masz sieczkę w głowie, skoro wierzysz w takie brednie – orzekła Lucy.

Alice była zbyt przejęta, by obrazić się na siostrę. Tego wieczoru ich ojciec, książę Forres, wydawał proszoną kolację, ale wciąż niedopuszczane do udziału w życiu towarzyskim bliźniaczki musiały wcześniej pożegnać się z gośćmi i udać na spoczynek.

– Któż to?! – wykrzyknęła Alice i dodała zmartwiona: – Nie widzę wyraźnie jego twarzy.

– Pewnie jest odwrócony tyłem. Pamiętasz, co mówi zakłęcie? Jeśli stanie do ciebie tyłem, to znaczy, że cię zawiedzie.

– To jeden z synów lorda Purnella, tylko który?

– Wszyscy są dla ciebie za starzy. Uważaj, żeby nikt cię nie zobaczył. Papa będzie zły, gdy się dowie, że córka w koszuli nocnej wygląda z okna. Będziesz miała zrujnowaną opinię, zanim zostaniesz oficjalnie wprowadzona do towarzystwa.

Alice nigdy nie słuchała ostrzeżeń Lucy. W przeciwieństwie rozsądnej siostry była lekkomyślna i kapryśna. Niczym piękny i beztroski motyl fruwała po świecie, nie zastanawiając się nad życiem.

– To Hamish Purnell – poinformowała rozczarowana. – Jest żonaty.

– Sama widzisz, że to brednie – powiedziała Lucy.

– Oni się kłócą – zauważyła z ożywieniem Alice, zmienna w nastrojach i kapryśna. Jeszcze bardziej wychyliła się z okna. – Chodź!

Do uszu Lucy dobiegły z dołu podniesione głosy. Tacy są mężczyźni, pomyślała. Zdawałoby się mili i kulturalni, a potrafią się złościć i wściekać, a nawet uciekać do przemocy. Wstała z łóżka i podeszła do klęczącej na parapecie siostry, która w napięciu

obserwowała scenę rozgrywającą się pod oknem.

Mężczyźni stali zwrócenii bokiem do przyglądających się im dziewcząt.

– Co ty tu robisz? – padło wypowiedziane wielkopańskim tonem pytanie.

Lucy rozpoznała głos kuzyna Wilfreda.

– Jako młodszy syn jesteś nikim. Jak wuj mógł cię zaprosić? – kontynuował z pogardą Wilfred.

– Wilfred jest grubiański i arogancki! – stwierdziła oburzona Alice. – Nie cierpię go!

Lucy też nie znosiła kuzyna, osiemnastoletniego spadkobiercę hrabiego Cardross. W pełni korzystał ze swojego statusu i rodzinnych koligacji z księciem Forres. Ubiegły rok spędził w Londynie i jak plotkowano, przepuścił osobisty majątek na popijawy, karty i kobiety. Był pyszałkowatym snobem i gburem, ale w otoczeniu krewniaków i pochlebców wydawało mu się, że jest kimś ważnym.

– Może księżę mnie zaprosił, bo mam lepsze maniery niż jego krewny – zauważył mężczyzna, którego postponował Wilfred. Mówił niskim głosem ze śladem szkockiego akcentu.

Odwrócił się i wtedy Lucy dostrzegła jego twarz o wyrazistych surowych rysach. Był wysoki i barczysty. Oceniała, że może mieć nie więcej niż dziewiętnaście, dwadzieścia lat.

Szmer przeszedł wśród panów obecnych na tarasie. Zrobiło się nieprzyjemnie, wręcz powiało wrogością. Alice przestraszyła się i schowała za grubą aksamitną kotarę.

– To Robert Methven – szepnęła. – Ciekawe, co on tu robi?

– Papa go zaprosił – wyjaśniła szeptem Lucy. – Stwierdził, że czas zakończyć stare waśnie. Uważa, że nie przystoją ludziom cywilizowanym.

Klany Forresów i Methvenów dzieliła odwieczna wrogość. Forresowie i ich pobratymcy, Cardrossowie, byli od niepamiętnych czasów zwolennikami szkockiej Korony. Osiedli na północy buntowniczy Methvenowie, potomkowie wikingów z Orkadów, nie uznawali innego prawa, oprócz własnego. Byli gwałtowni i pierwotni jak ich protoplaści. Trwające od wieków wojny klanów obecnie należały do przeszłości, ale nie tak znowu odległej.

– Nadejdzie właściwa pora – Wilfred niezmordowanie szukał

zaczepki – a odbiorę ci ziemie skradzione przez twoją rodzinę mojemu klanowi, a ty, Methven, osobiście za to zapłacisz.

– Czekam. Zanim jednak do tego dojdzie, może jeszcze napijemy się wspaniałej brandy, którą serwuje nam księżę – odparł Robert Methven, najwyraźniej lekceważąc młodego Cardrossa.

Wyminął go, dając do zrozumienia, że uznaje rozmowę za zakończoną. Wilfred pospieszył, żeby wyprzedzić go w drzwiach do salonu. Methven zastawił mu drogę szerokimi barami.

– Zmarzłam, idę do łóżka – oznajmiła Alice.

Lucy wychyliła się, żeby zamknąć okno, i demonstracyjnie westchnęła. Siostra niezmiennie ulegała impulsom i postępowała lekkomyślnie, a ona jak zwykle musiała po niej wprowadzać porządek lub łagodzić sytuację.

– Hamish Purnell jest całkiem przystojny – usłyszała głos Alice.

– Jest żonaty – przypomniała jej Lucy. – Zwracam ci uwagę, że stał do ciebie tyłem, gdy go ujrzałaś.

– Potem odwrócił się do mnie twarzą. Będzie moją miłością, bo jego żona może umrzeć – odparła uparta Alice i dodała: – Zamknij dokładnie okno.

Lucy nie mogła sobie poradzić z oknem, bo jak na złość się zacięło. Usiłując jednak je zamknąć, potrąciła łokciem biało-niebieski porcelanowy wazon, stojący na półce obok okna. Wazon zachwiało się, chciała go złapać, ale wymknął się jej z dłoni i wypadł przez otwarte okno na taras, gdzie nieuchronnie się rozbił. Wyjrzała i z ulgą stwierdziła, że nikt nie wyszedł na taras.

– Musisz pójść i pozbierać skorupy – dobiegł ją głos siostry. – Jak je znajdą, będą wiedzieli, że podsłuchiwałyśmy.

– Ty pójdziesz! – zażądała wzburzona Lucy.

– Ja go nie straciłam – sprzeciwiła się Alice.

– Ja też nie! Idź. To tobie zachciało się wyglądać przez okno.

– Jak mnie przyłapią, będę w tarapatach. Ojciec ciągle mi wypomina, że przynoszę wstyd rodzinie. Mówi, że gdyby mama żyła, bardzo by się mną martwiła.

Lucy zrobiło się żal siostry, i poczuła, że mięknie. Narzekała, ale za każdym razem wyciągała Alice z tarapatów. Nie zrobiłby tego dla nikogo, nawet dla najlepszej przyjaciółki. Sięgnęła z westchnieniem po szlafrok i domowe pantofle.

– Jeśli zejdziesz na dół schodami w Czarnej Wieży, to będziesz szybciej i nikt cię nie zauważy – doradziła Alice.

– Wiem! – odparła zirytowana Lucy.

Wzięła świecę i uchyliła nieznacznie drzwi, aby prześlizgnąć się na korytarz, którym dotarła do wieży. Zamek nie przerażał jej, ponieważ przebywając w nim od dziecka, poznała każdy zakamarek i wszystkie sekrety. Nie bała się duchów ponoć błakających się po ciemnych korytarzach, a jedynie istot z krwi i kości. Była zrównoważona i rozsądna, ale gdy odciągnęła zasuwę ciężkich drzwi u stóp schodów i ostrożnie je pchnęła, by się otworzyły, uległa czarowi letniej nocy. Poczowała na twarzy powiew delikatnej bryzy, niosącej zapachy morza i janowca. Szum fal zlewał się ze skrzypieniem sosen. Okrągły księżyc wisiał na ciemnym niebie. A może by tak pobiec między trawnikami nad brzeg morza, brodzić bosymi stopami w chłodnym piasku, wejść po kolana do wody? – przyszło jej do głowy. Nie, jednak nie ulegnę pokusie, zdecydowała.

Schyliła się i zaczęła zbierać skorupy błękitno-białego wazonu. Ojciec by się zdenerwował, gdyby służba doniosła mu o rozbitym wazonie, doszła do wniosku Lucy, ponieważ mama bardzo go lubiła. Zaczęłyby się dochodzenie i musiałyby z Alice skłamać. Naturalnie, przyznałyby, że zbiły wazon, ale w żadnym wypadku nie wyjawiałyby, jak do tego doszło.

– Mogę pomóc?

Zaskoczona Lucy drgnęła i skorupy wypadły jej z dłoni. Naprzeciwko niej, tyłem do morza, stał Robert Methven. Z bliska wydawał się wyższy i szerszy w ramionach.

– Nie wiedziałam, że ktoś tu jest – wykrztusiła.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć – odparł z uśmiechem.

Pochylił się i podał Lucy kilka kawałków rozbitego wazonu.

– Najlepiej, gdyby położyła je pani na balustradzie, zanim je znowu upuści – doradził.

– Nie, muszę iść – powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca. – Czemu stoi pan sam w ciemnościach?

– Towarzystwo mi nie odpowiada.

– Domyślam się, że chodzi o Wilfreda. Przykro mi, jest rzeczywiście nieznośny.

– W gruncie rzeczy jest mi to obojętne, ale nie zaprosiłbym go do wspólnego spędzania czasu.

– Ja też nie. Niestety, to mój kuzyn.

– To ci pech. Pani jest...

– Lucy MacMorlan.

– Miło mi poznać, lady Lucy.

– A pan jest Robertem Methvenem.

Uklonił się.

– Jest pan miły.

– Dziękuję.

– Czy nie powinniśmy być wrogami?

– Chciałaby pani tego?

– Ależ nie, to stare dzieje.

– Stare dzieje niekiedy rzutują na terażniejszość. Wrogość między naszymi rodami przechodziła z pokolenia na pokolenie.

– Papa uważa, że najwyższa pora z tym skończyć – oznajmiła Lucy.

Nie mogła oderwać wzroku od twarzy Roberta; światło księżyca wydobywało z niej pewne fragmenty, kryjąc w mroku inne.

– Zgadzam się z nim i dlatego tu jestem. Jak do tego doszło? – zapytał Robert Methven, kierując wzrok na skorupy.

– Och... – Lucy spłonęła rumieńcem. – Okno było otwarte, powiała bryza i zasłona strąciła wazon.

Roześmiał się.

– Mnie i bratu Gregorowi ciągle przytrafiają się rozmaite przypadki.

– Nie wierzę, przecież pan jest dorosły.

– Może pani myśleć, co chce, ale nasz dziadek jest wyjątkowym pedantem. Nieustannie mu się narażamy, łamiąc ustanowione przez niego reguły.

Lucy zaczynały marznąć palce u stóp obutych w cienkie jedwabne pantofelki i uprzytomniła sobie, że mając na sobie koszulę nocną, rozmawia na tarasie z Robertem Methvenem.

– Muszę iść – powiedziała.

– Dobranoc, lady Lucy.

Zatrzymała się w drzwiach.

– Pan mnie nie wyda?

– Oczywiście, że nie.

– Obiecuje pan?

Methven podszedł bliżej i Lucy poczuła zapach dymu i świeżego powietrza. W uśmiechu błysnęły białe zęby.

– Obiecuje – powiedział, po czym musnął ustami wargi Lucy.

Oniemiała z wrażenia.

– To pani pierwszy pocałunek? – zapytał.

– Tak – przyznała. Była zbyt szczerą i niewinną, by skłamać.

– Podobało się pani?

Zmarszczyła brwi, niepewna, co właściwie czuje.

– Nie wiem – odparła.

– Chciałaby pani jeszcze raz spróbować, aby móc zdecydować?

– Tak – szepnęła, nagle podekscytowana.

Robert wyjął z jej dłoni skorupy wazonu i położył je na kamiennej balustradzie. Otoczył ją ramionami i przyciągnął do siebie. Onieśmiona, w pierwszej chwili chciała go odepchnąć, ale gdy ją pocałował, ogarnęło ją przyjemne ciepło. Po chwili Robert delikatnie wypuścił ją z ramion. Księżyc oświetlił jego twarz, na której malowało się zdziwienie, a być może zakłopotanie, jednak gdy przemówił, jego głos zabrzmiał tak samo jak wcześniej.

– Dziękuję – powiedział.

Lucy nie wiedziała, jak należy zachować się po pocałunku, i znowu ogarnęła ją nieśmiałość, chwyciła więc pozostałości po wazonie, wykrztusiła „dobranoc” i potykając się o obręb koszuli nocnej, popędziła na górę kamiennymi schodami, myśląc jedynie o tym, co właśnie ją spotkało.

Okazało się, że Alice zdążyła zasnąć, na co Lucy zareagowała uśmiechem. Nie zwykła długo gniewać się na siostrę, bo ją kochała. Była pod wieloma względami inna od niej, ale bliższa niż druga połowa jabłka. Po cichu ułożyła kawałki wazonu na półce i wsunęła się pod kołdrę. Przyśnił się jej księżyc wiszący nad powierzchnią morza w tę magiczną noc, w czasie której Robert Methven dwa razy ją pocałował. Wiedziała, że on jej nie zdradzi, bo od tej pory są ze sobą związani.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Forres Castle, Szkocja

Luty 1812 roku

– Lucy, muszę cię prosić o przysługę.

Pióro lady Lucy MacMorlan zatrzymało się i na papierze pojawił się kleks. Właśnie dokonywała skomplikowanych obliczeń matematycznych, gdy do biblioteki wpadł jej brat Lachlan, a wraz z nim powiało zimne powietrze. Załopotały tapiserie na ścianach, z kamiennej podłogi wzniósł się tuman kurzu. Ogień zatrząsał i zasyczał, gdy w kominie osunęła się na palenisko kolejna porcja zlodowaciałego śniegu.

– Proszę, zamknij drzwi, Lachlanie – powiedziała grzecznie Lucy.

Brat zrobił, o co prosiła, zajął fotel przy kominku i oznajmił:

– Potrzebuję twojej pomocy.

Dlaczego nieustannie muszę wyciągać starszego o dwa lata brata z tarapatów? – zadała sobie w duchu pytanie zirytowana Lucy. Lachlan miał wiele uroku osobistego, lecz był lekkomyślny i żył w przekonaniu, że za każdym razem, gdy narobi sobie kłopotów, ktoś go z nich wyciągnie. Nieodmiennie tym kimś okazywała się Lucy.

W ich rodzinie każde dziecko odznaczało się innym charakterem. Angus, najstarszy syn i dziedzic ojca, był nadęty i pozbawiony wyobraźni. Christina, najstarsza córka, która została starą panną, a po śmierci matki zajęła się wychowaniem rodzeństwa i przejęła obowiązki pani domu, była łagodna i pełna poświęcenia. Mairi, młodsza od Christiny, lecz starsza od bliźniaczek, choć już wdowa, kochała życie i lubiła błyszczeć. Lucy była grzecznym, nieprzysparzającym zmartwień dzieckiem, potem zrównoważoną, rozsądną panienką, wreszcie niemal w każdym calu doskonałą debiutantką. Zdążyła zaręczyć się ze starszym dżentelmenem, szlachcicem i uczonym, który jednak nie dożył dnia ślubu. Gdy umarł, ogłosiła, że nie interesuje jej zamążpójście.

– Lucy? – zawołał Lachlan, żeby zwrócić na siebie uwagę siostry. Spojrzała na niego z niecierpliwością.

– Nad czym pracujesz?

– Próbowałam przeprowadzić dowód wielkiego twierdzenia Fermata.
– Po co to robisz?
– Lubię wyzwania.
– Dobrowolnie nie ślęczałbym nad matematyką.
– Oczywiście. Najchętniej nad niczym byś nie ślęczał – odgryzła się Lucy.

Lachlan uśmiechnął się, jakby siostra go skomplementowała.
– To prawda. Jak ci idzie pisanie?
– Pracuję nad poradnikiem, który ma pomóc damom rozpoznać doskonałego dżentelmena – oznajmiła z godnością.

Wiedziała, że Lachlan się z niej podśmiewa i zainteresowanie przelewaniem myśli na papier traktuje jak dziwaczne hobby. Wszystkie córki księcia Forres posiadały łatwość wypowiedzenia się na piśmie, a tę umiejętność odziedziczyły po matce, znanej sawantce. Synowie, dla kontrastu, nie interesowali się ani czytaniem, ani pisanem i nie sięgali po książki. Lucy darzyła siostrzaną miłością Lachlana, mimo że często ją irytował. Starła się żywić podobne uczucie do nudnego Angusa. Niestety, żaden z nich nie był intelektualistą.

– Jak rozpoznać doskonałego dżentelmena? – Lachlan głośno się roześmiał. – A co możesz o tym wiedzieć?

– Byłam zaręczona właśnie z takim dżentelmenem.
– Duncana MacGillivraya trudno było nazwać doskonałym dżentelmenem, a co ważniejsze – dodał Lachlan poważnym tonem – nie pasował do ciebie, bo był za stary.

– Jesteś grubianinem – odrzekła urażona Lucy.
– Nie, po prostu mówię prawdę. Zgodziłaś się za niego wyjść, bo papa tego sobie życzył, a ty ciągle opłakiwałaś Alice i było ci wszystko jedno.

Lucy odniosła wrażenie, że przez szparę pod drzwiami do pokoju wdarł się chłodny powiew, bo nagle przebiegł ją zimny dreszcz. Szczelniej otuliła się wełnianą chustą. Chociaż Alice nie żyła od ośmiu lat, nie było dnia, żeby Lucy nie myślała o siostrze i nie ubolewała nad jej brakiem. Zdawało się jej, że bez bliźniaczki stała się niepełna, a czasami czuła się wręcz osierocona. Nieobecność Alice sprawiała jej nieustanny ból, którego nie łagodził upływ czasu. Nie zamierzała rozmawiać o tym akurat z Lachlanem.

– Dobrze wiem, co składa się na zachowanie dżentelmeńskie, a co ważniejsze – spojrzała z wyższością na brata – orientuję się, co nim nie jest.

– Potrafisz zrobić użytek z francuskich i włoskich ksiązek z biblioteki ojca – stwierdził z przekornym uśmiechem Lachlan – a erotyki, które pisywałaś, cieszyły się większym wzięciem i były bardziej popłatne niż wszystko inne, co wyszło spod twojego pióra. Dlaczego przestałaś się tym zajmować?

– Zapomniałaś, że mieliśmy o tym nie rozmawiać? Nikt inny nie powinien się o tym dowiedzieć. Chcesz, żebym miała poważne kłopoty?

– Skądże! Nikomu nie pisałem ani słowa.

Lucy przyznała w duchu, że nie powinna obciążać brata całą winą, ponieważ sama okazała się lekkomyślna i naiwna. Niemniej zawiódł jej zaufanie. Przed rokiem, podobnie jak dzisiaj, zwrócił się do niej, prosząc o przysługę. Chodziło o napisanie miłosnego listu do pewnej damy, którą Lachlan zamierzał uwieść. Zgodziła się, bo potrzebowała pieniędzy, a wysławiała się na piśmie o wiele swobodniej niż brat. Okrasiała list paroma cytatami z Szekspira i dodała trochę własnej poezji. Lachlan wyśmiał ją i powiedział, że potrzebuje czegoś bardziej przekonującego. Wtedy Lucy przypomniała sobie o erotykach, na które natknęła się w zamkowej bibliotece, uznawanej przez nią za miejsce pełne skarbów.

Przetrząsała jej półki od czasu, gdy nauczyła się czytać. Pochłonęła kolekcję ksiązek, które przywiózł ich dziadek z podróży po Europie. Pewnego dnia pośród opasłych tomów na temat historii politycznej kontynentu natknęła się na coś o wiele bardziej rozpalającego wyobraźnię niż polityka, a mianowicie na kilka foliałów pełnych rysunków i szkiców mężczyzn i kobiet w najwymyślniejszych erotycznych pozycjach. Niektóre wydawały się Lucy niemożliwe z anatomicznego punktu widzenia, oglądała je jednak, odwracając rysunki do góry nogami i na boki, aby upewnić się, czy należycie rozumie przedstawione detale. Oprócz rysunków książki zawierały zmysłowe opowiadania. Właśnie o nich przypomniała sobie Lucy, gdy brat poprosił ją o coś bardziej przekonującego niż Szekspir, i w nich poszukała natchnienia.

Lachlan był zadowolony z efektów pracy siostry i nawet

pochwalił się przyjaciółom, spośród których kilku zwróciło się do niej o podobną pomoc w uwodzeniu. Lucy spełniała ich prośby. Wkrótce doszło do nieszczęścia. O skandalu Lucy usłyszała po raz pierwszy na spotkaniu w Stowarzyszeniu Błękitnych Pończoch. Stowarzyszenie powstało w połowie XVIII wieku w Anglii za sprawą dam z wyższych sfer, które organizowały spotkania w celu popularyzowania literatury, nauk ścisłych i przyrodniczych. Nazwa wzięła się prawdopodobnie stąd, że pewnego prelegenta – naukowca, tłumacza i wydawcę w jednej osobie – nie stać było na wieczorowy strój, którego częścią były czarne jedwabne pończochy. Wystąpił w niebieskich wełnianych pończochach. Nazwą Błękitna Pończocha określano kobiety o zainteresowaniach intelektualnych, bardziej znane jako sawantki lub emancypantki. Członkinie tego gremium rozmawiały o tajemniczym autorze zmysłowych listów okraszonych erotyczną poezją, którymi posługiwali się złoci młodzieńcy z edynburskiej socjety, aby ułatwić sobie miłosne podboje. Okazało się, że Lachlan uwikłał się w przygodę z tancerką z opery, a jego przyjaciele siali zgorszenie bezwstydnym zachowaniem.

Lucy wyrzucała sobie, że nie wykazała się ostrożnością i dokładnie nie wypytała brata, zanim zaczęła pisać owe listy. Samokrytycznie orzekła, że perspektywa zarobku stępiła jej wrodzony rozsądek. W zaistniałej sytuacji pozostało jej żywić nadzieję, że nikt nie odkryje, kim jest tajemniczy autor listów, bo gdyby to nastąpiło, jej reputacja ległaby w gruzach. Przyrzekła sobie, że więcej nie przyłoży ręki do podobnych przedsięwzięć, nieprzystających pannie z dobrej rodziny i jej niegodnych. Uznała, że w razie potrzeby rozejrzy się za innym sposobem zarobkowania.

– Zapomnijmy o tym, co było, i porozmawiajmy o mnie – zaproponował Lachlan, wyrywając siostrę z zadumy. – Zakochałem się.

– Znowu? – Lucy nakazała sobie w duchu zachować czujność. – Kim tym razem jest szczęśliwa wybranka?

– Dulcibella Brodrie. Kocham ją i chciałbym się z nią ożenić.

Lucy pomyślała, że Dulcibella nie jest jej wymarzoną kandydatką na bratową. Była piękna, to prawda, ale także pozbawiona energii życiowej i bezwolna wobec innych, co było irytujące. Bez trudu domyśliła się, że bez wątplenia ta kombinacja urody i uległości przyciągnęła Lachlana.

– Ma słodkie usposobienie – przyznała.

Uważała siebie za osobę życzliwą innym, cieszyło ją więc, że może powiedzieć coś pozytywnego o wybrance brata. Uznała, że prawdopodobnie Dulcibella to rozkapryszona egocentryczka i ciągnie ją do lustra jak pszczołę do miodu, ale zapewne dałoby się doszukać w niej zalet. Rzuciła bratu baczne spojrzenie i spostrzegła, że wyraz jego szczerzej twarzy przypomina zawiedzioną minę spaniela, któremu nie pozwolono usiąść na kolanach pana.

– Z tym że ona nie jest wolna – dodał z westchnieniem Lachlan.
– Niebacznie zaręczyła się z Robertem Methvenem i już został spisany kontrakt małżeński.

Robert Methven, powtórzyła w myślach Lucy i mimowolnie się zarumieniła. Na szczęście brat nie odznaczał się spostrzegawczością i był zanadto zajęty sobą, by zauważyć jej zmieszanie.

– Jesteś pewny? – zapytała.

– Tak. To katastrofa. Kocham Dulcibellę i zamierzałem się jej oświadczyć, ale uprzedził mnie Methven.

– Ambicje lorda Brodrie związane z jedynaczką sięgają zapewne wyżej niż młodszego syna.

– Ale ja jestem młodszym synem księcia Forres!

– Lord Methven jest markizem, i tym samym stanowi lepszą partię – zauważyła Lucy, nie okazując po sobie, jak bardzo poruszyła ją wiadomość o zaręczynach Methvena.

Była zaskoczona własną reakcją. Wkrótce po przypadkowym spotkaniu na tarasie Forres Castle doszło do nieszczęścia w rodzinie Roberta i opuścił on Szkocję. Udał się do Kanady, gdzie, jak głosiła fama, zbił fortunę na handlu drewnem. Działo się to tuż po śmierci Alice i zdruzgotana Lucy nie miała głowy do niczego, tym bardziej do plotek. Po pewnym czasie doszły ją słuchy, że zmarł dziadek Roberta Methvena, po którym dziedziczył tytuł, i rzeczywiście Robert wrócił do Szkocji. Lucy widywała go sporadycznie, uczestnicząc w zimowych spotkaniach towarzyskich w Edynburgu, i czasem wymieniali kilka słów. Świeżo upieczony markiz onieśmiał Lucy także z powodu swojej postury. W jej rodzinie mężczyźni byli wysocy i szczupli, natomiast Robert był nie tylko słusznego wzrostu, ale odznaczał się potężną budową. Miał muskularne ciało, a także surowe rysy twarzy, w której uwagę zwracały ciemnoniebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu.

Oceniła, że zmienił się od pamiętnego wieczoru, podczas którego pocałował ją na tarasie. Stracił młodzieńczy wdzięk, a jego oczy utraciły blask. Stał się ponury i odnosiło się wrażenie, że jest groźny i niedostępny. Lucy zastanawiała się, co było przyczyną tej niekorzystnej przemiany, bo Robert przykuwał jej uwagę, mimo że obecnie nie mieli ze sobą nic wspólnego.

Siedziała przy biurku i mimowolnie wygładzała drżącymi dłońmi leżące na blacie papiery. Była świadoma, że ulega nieznanemu dotychczas uczuciu. Nie jestem zazdrosna, powiedziała sobie w duchu, to niegodne damy. Zdało się to na nic, bo jednak zazdrościła Dulcibelli narzeczonego. Ścisnęła skronie palcami. To bez sensu, pomyślała, przecież nie chcę wyjść za mąż, a nawet gdybym się zdecydowała, Robert Methven nie jest idealnym kandydatem na męża ani doskonałym dżentelmenem.

– Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? – zapytał Lachlan, ponownie skupiając na sobie uwagę siostry. – Dulcibella mnie kocha, ale nie śmie sprzeciwić się woli ojca, jest na to za delikatna.

„Delikatna” nie było określeniem, które wybrałaby Lucy. W jej opinii ta dziewczyna była osobą pozbawioną charakteru i siły woli.

– Nic – ucięła ostro Lucy i dodała dla osłody: – Przykro mi, Lachlanie.

– Chciałbym, żebyś napisała do niej taki list, jak to potrafisz. Pomóż mi ją przekonać, proszę cię.

– Nie i jeszcze raz nie. Zapomniałeś, co mówiłam ostatnim razem?

– Przepraszam, że wtedy tak się pogmatwało. – Lachlan starał się stworzyć pozory skruchy.

– Wątpię, byś naprawdę żałował.

Wzruszył ramionami, przyznając się do kłamstwa.

– Niech ci będzie. Uwierz mi, tym razem moje intencje są szlachetne. Kocham Dulcibellę i pragnę się z nią ożenić. Proszę...

– Nie – powtórzyła Lucy. – Niezależnie od innych okoliczności, nie sądzę, by Dulcibelli spodobał się tego rodzaju list, bo z tego, co wiem, jest pruderyjna.

– Mogłabyś stonować argumentację – odparł Lachlan, zadowolony, że pojawiła się szansa przekonania siostry do jego pomysłu.

– Nie – po raz kolejny powiedziała Lucy. – Przecież oni są zaręczeni i wysłanie listu byłoby bardzo niewłaściwe.

– Naprawdę kocham Dulcibellę – powtórzył z uporem Lachlan. – Poza wszystkim, czy zazna szczęścia z Methvenem? To dzikus zupełnie niepodobny do mnie.

– Rzeczywiście w niczym cię nie przypomina – przyznała Lucy. Chociaż demonstracyjna surowa męskość Roberta wzbudzała w niej niepokój, nie potrafiła pozostać wobec niego obojętna.

– Nie mogę ci pomóc, a ty powinienesz zrezygnować – oświadczyła.

Lachlan przybrał minę, którą Lucy zapamiętała z czasów, gdy był dzieckiem i zabraniano mu robić, co mu się żywnie podobało.

– Nie rozumiem, dlaczego odmawiasz, skoro nikt się o niczym nie dowie.

– Bo to naganne.

Nawet jeśli zaangażowanie uczuciowe brata było autentyczne, nie należało rozbijać narzeczeństwa Roberta Methvena, uznała Lucy. Poza tym lepiej nie wchodzić w paradę markizowi, o którym mówiło się, że jest bezkompromisowy i niebezpieczny. Znalazłaby się w nie lada opałach, gdyby on wykrył, jaką rolę odegrała w intrydze.

– Potrzebujesz pieniędzy. Podobno narzekałaś, że zdążyłaś wydać kwartalne kieszonkowe.

Rzeczywiście Lucy została bez pieniędzy, bo całe kieszonkowe przekazała na rzecz pewnej ochronki i szpitala. Brat zapewne przypuszczał, że wydała je na fatałaszkę, co w jego mniemaniu było naturalne, a ona nie wyprowadziła go z błędu. Nie miał pojęcia, że wszystkie pieniądze, jakimi dysponowała, przeznaczała na cele dobroczynne, pragnąc zadośćuczynić za odejście Alice, za której śmierć wciąż się obwiniała.

– Zafunduję ci ten kapelusz z zielonymi kokardami, który wczoraj tak ci się podobał na Princess Street – kusił Lachlan.

– Wolałabym gotówkę.

Nie pozbyła się wątpliwości, czy powinna ulec prośbom brata, ale wyobraziła sobie, ile mogłaby kupić ubrań, butów, książek i zabawek dla dzieci, i szybko je stłumiła. Zaczęła sobie tłumaczyć, że pozostanie bezpieczna, ponieważ pod listami będzie podpisany Lachlan i póki będzie trzymał język za zębami, nic jej nie grozi. Co ważne, kupi

dodatkowe lekarstwa dla dzieci pozostających w szpitalu. Tegoroczna zima zbiera wśród nich wyjątkowo obfite żniwo.

– Ile? – zapytał Lachlan.

– Dziesięć szylingów z list – odparła szybko, żeby się nie rozmyślić.

– Aż tyle? Sam je napiszę.

– Życzę powodzenia.

Mierzyli się wzrokiem, lecz Lucy wiedziała, że Lachlan ustąpi.

– Mogłabyś to zrobić z siostrzanej miłości – bąknął.

– Gotówka ma dla mnie większą wartość.

– Pięć szylingów, i niech będą na najwyższym poziomie.

– Siedem – dobiła targu. – Jakość gwarantuję.

Lachlan poszedł po pieniądze, a Lucy wyjęła z szuflady biurka nowe pióro, zaostrzyła je umiejętnie i dołała inkaustu do kałamarza. Pomyślała, że doradzi bratu przepisanie listów z użyciem zielonego atramentu. Powinny być romantyczne nie tylko w treści, lecz i w formie.

Za oknem szalała zadymka śnieżna, a w kominku zawył wiatr. Lucy ogarnął chłód. Oczami wyobraźni ujrziała surową, jak wyciosaną z kamienia, twarz Roberta Methvena i jego ciemnoniebieskie tęczęwki zimne jak woda w górskim strumieniu. Źle robię, pomagając Lachlanowi odebrać mu Dulcibellę, pomyślała, i to nie tylko z moralnego punktu widzenia. Ten czyn niepotrzebnie wywoła napięcie między dwoma klanami. Lucy wiedziała o długoletnim sporze prawnym między Robertem Methvenem a jej kuzynem Wilfredem, obecnie hrabią Cardross. Odebranie Methvenowi narzeczonej przez Lachlana będzie dolaniem oliwy do ognia. Mogła się wycofać, ale szpital bardzo potrzebował pieniędzy na lekarstwa. Chwyciła pióro, pocieszając się w duchu, że nie napyta sobie kłopotów, bo markiz nie dowie się, kto napisał miłosne listy do jego narzeczonej.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwa miesiące później

Kwiecień 1812 roku

Narzeczona spóźniała się. Markiz Robert Methven ukradkiem rozluźnił uciskający go ozdobny fular. Niewielki kościół był wypełniony po brzegi gośćmi zaproszonymi na ślub. W powietrzu unosił się zapach lilii i Robert pomyślał, że to kwiaty stosowne raczej na pogrzeb. Z docierających do niego odgłosów wywnioskował, że zebrani w nawie ludzie zaczęli się niecierpliwić. Co prawda, spóźnianie się panien młodych na ślub było w modzie, ale zdaniem markiza Dulcibella przekroczyła wszelkie granice. Nie przypuszczał, żeby wydarzyło się coś nieprzewidzianego czy nadzwyczajnego lub by nagle zmarł jej krewny.

Dulcibella. Co za przedziwne imię, pomyślał Robert. Nie potrafił się do niego przyzwyczaić w ciągu dwumiesięcznego narzeczeństwa. Zanosilo się na to, że nie będzie miał w ogóle tej szansy. Odwrócił się od ołtarza. Dwustu przedstawicieli szkockiej szlachty wyprawilo się na północ do kościoła znajdującego się w granicach posiadłości lorda Brodrie. Chcieli zobaczyć, jak wydaje on córkę za człowieka, który wyklęty przez własną rodzinę musiał kiedyś opuścić kraj, a teraz do niego powrócił, odziedziczył tytuł markiza i zabiegał o zachowanie w całości spuścizny rodzinnej.

– Myślę, że zostałeś wystawiony do wiatru, kuzynie – powiedział z uśmiechem Jack Rutherford, družba pana młodego.

Robert zasepił się, ale nie z powodu upokorzenia na oczach licznej grupy utytułowanych gości. Nie chciał utracić Ducibelli, ponieważ odgrywała kluczową rolę w przejęciu dziedzictwa po poprzednim markizie, jego dziadku. Nagle uwagę Roberta zwróciła dama siedząca na końcu kościoła. Czyżby lady Lucy MacMorlan przybyła na jego ślub? Tak, to z pewnością ona, uznał.

Od dawna, a mieli wtedy po kilkanaście lat, miał słabość do Lucy i z wiekiem go nie opuściła. Gdy przed laty przypadkowo natknęli się na siebie na tarasie Forres Castle i on wiedziony siłą przyciągania, pocałował ją, zaskoczyła go własna gwałtowna reakcja. Gdyby wówczas od niej nie uciekł, oboje popadliby w wielkie tarapaty.

Później nie widział jej przez pewien czas, bo los rzucił go daleko od Szkocji. Po powrocie spotkał ją w jednym z salonów Edynburga, gdzie odbywało się wieczorne przyjęcie, i ku własnemu zdziwieniu odkrył, że Lucy nadal silnie na niego oddziałuje.

Zmienił się, lecz i ona nie była ta sama. Bezpośrednia, otwarta dziewczyna nabrała towarzyskiej ogłady i Robert zapragnął się dowiedzieć, co kryje pod maską światowej damy. Inne pragnienia związane z lady Lucy i tak nie miały szansy na zaspokojenie.

I oto śliczna i ponętna siedziała w jednej z tylnych ławek kościoła pomiędzy starszymi siostrami a ojcem, księciem Forres oraz kuzynem Wilfredem, hrabią Cardross, którego Robert nie cierpiał. Lucy przyciągała wzrok intensywnie rudymi włosami i fiołkowymi oczami o rezolutnym spojrzeniu. Robert zapragnął sprawdzić, czy te niezwykle włosy rzeczywiście są takie jedwabiste w dotyku, na jakie wyglądają. Lady Lucy miała twarz w kształcie serca, porcelanową cerę i rozczulające piegi.

W towarzystwie uważano ją za chodzący ideał. Powtarzano, że jest doskonałą córką i damą, a kiedyś zostanie doskonałą żoną. Robert słyszał o jej zaręczynach z jakimś szlachcicem, który zmarł, nie doczekawszy ślubu. Od tamtej pory lady Lucy odrzucała wszystkie oferty małżeńskie i sądzono, że nikt nie potrafił dorównać jej zmarłemu narzeczonemu. Robertowi wydawało się to dziwne, ale o gustach się nie dyskutuje. Wielka szkoda, że nie mogą się jej oświadczyć, pomyślał, ale był związany warunkami, na jakich mógł wejść w posiadanie dziedzictwa. Dulcibella Brodrie była jedną z nielicznych kobiet, jeśli nie jedyną, która odpowiadała tym kryteriom. Uzmysłowił sobie, że nie spuszcza wzroku z lady Lucy. Nie czuł się dżentelmenem, miał jednak świadomość, że w dniu ślubu nie wypadało patrzeć na damę, która nie jest jego narzeczoną.

Drzwi kościoła rozwarły się z hałasem. Organista zaczął grać hymn *Przybycie królowej Saby*. Robert zauważył, że kapłan, który miał udzielać ślubu, odetchnął z ulgą. Zrobił się rumor, gdyż uczestnicy kongregacji wstali i odwrócili głowy, by popatrzeć na pannę młodą. Nagle muzyka ucichła. Środkiem nawy szedł lord Brodrie, ojciec Dulcibelli, wyraźnie zagniewany, poczerwieniały na twarzy, z rozwianymi siwymi włosami. Był sam, a w dłoni trzymał kilka kartek. Jedna z nich upadła Robertowi do stóp.

– Uciekła! – oznajmił ze złością.

– Gratuluję przenikliwości – mruknął Robert do Jacka.

Po ciszy, która zapadła po słowach lorda Brodrie, wybuchł tumult. Ludzie mówili jeden przez drugiego, gestykułując, podając sobie z ust do ust skandaliczną nowinę. Robert schylił się po leżącą u jego stóp kartkę. Nie był to, jak sobie początkowo wyobrażał, list z wyjaśnieniami czy przeproszeniami. Był to fragment listu miłosego.

Dłużej tego nie zniosę. Dniami i nocami cierpię niewysłowione katusze. Nie mogę mówić, nie mogę jeść. Myśl, że znajdziesz się w ramionach innego, w jego łóżu, jest dla mnie nie do zniesienia. Jakże oddasz się Methvenowi, skoro jesteś moja... Potrzebuję cię jak powietrza! Uchodźmy, zanim będzie za późno...

Ciąg dalszy był utrzymany w tym samym duchu, ale Robert nie doczytał do końca. Afektowany i przesadnie sentymentalny styl listu sprawił, że go zemdliło. Najwyraźniej Dulcibelli spodobał się na tyle, że jego autorowi udało się namówić ją do ucieczki.

– Kto to pisał? – zapytał Jack, który próbował czytać Robertowi nad ramieniem.

– Podpisano: *Lachlan*.

– To musi być Lachlan MacMorlan – orzekł Jack. –

Nieprzytomnie zakochał się w pannie Brodrie. Nie podejrzewałbym go o tyle inwencji twórczej.

– Wypruję z niego flaki! – oznajmił gwałtownie lord Brodrie. Wyglądał, jakby miał paść trafiony apopleksją. Wymachiwał pięścią, w której trzymał pozostałe kartki. – Zbałamucił mi córkę bzdurami! Przeklęty wierszokleta! Bezczelny tchórz! Jeśli jej chciał, to powinien stanąć o nią do walki jak mężczyzna!

– Widocznie ten sposób uznał za skuteczniejszy – zauważył Robert. – Nie miałem pojęcia, że panna Brodrie ma aż tak romantyczną naturę.

Okazuje się, że w ogóle niewiele wiedział o Dulcibelli. Teraz było za późno na taką refleksję, ale niedoszła żona w gruncie rzeczy mało go interesowała. Była mu potrzebna, bo bez niej nie mógł przejąć całości dziedzictwa, obwarowanego przez dziadka specjalnymi wymogami. Pilnie potrzebował żony i dziedzica i wyłącznie z tego powodu oświadczył się Dulcibelli, mimo że irytował go jej brak charakteru.

– Zwariowana dziewczyna spędzała czas z nosem w książkach – poskarżył się lord Brodrie. – Wzięła to po matce. Nie przywiązywałem do tego wagi.

– Nie wierzę, że MacMorlan sam to napisał – odezwał się nagle Jack. – Uczęszczałem z nim do szkoły. Nie był ani zanadto lotny, ani biegły w posługiwaniu się piórem.

– Istotnie, autor listu nie jest pozbawiony talentu – przyznał Robert.

– Panowie... – wtrącił się kapłan – co z nabożeństwem? Mamy kontynuować?

– W tej sytuacji nie – odrzekł Robert. – Gdyby panna Brodrie wyjawiała mi swoje uczucia, odstąpiłbym jej i lordowi Lachlanowi ten termin.

Lord Brodrie i kapłan spojrzeli po sobie niepewnie. Robert uznał, że prawdopodobnie zastanawiali się, czy rzeczywiście jest aż tak zimny i obojętny. Nie zależało mu na Dulcibelli, daleko ważniejsze było oddalenie się perspektywy przejęcia spadku. Zauważył, że hrabia Cardross, zajmujący wraz z krewnymi jedną z tylnych ławek, nawet nie próbował kryć triumfu. Musiało mu zależeć na klęsce planów Roberta, gdyż otwierała się przed nim okazja do wysunięcia roszczeń do części ziemi Methvenów.

Robert mimowolnie zacisnął pięści. Nie da Cardrossowi sposobności do przejęcia wyspy zwanej Golden Isle, zwanej Złotą wyspą, ani północnych krańców rodowych posiadłości. Stanowiły najstarszą część jego patrymonium i w ich obronie nie zawaha się użyć siły, jeśli zajdzie taka potrzeba. Spojrzał w kierunku Lucy MacMorlan i napotkał jej wzrok, ponieważ właśnie wprost na niego patrzyła. Nie była zdziwiona ani zgorszona, ani rozbawiona. Roberta zaintrygowała jej niewyraźna mina. Wiedział, że była zżyta z bratem, który mógł opowiedzieć jej o planowanej ucieczce. Zatrzymał na niej wzrok przez dłuższą chwilę, na co zareagowała lekkim rumieńcem, po czym umknęła spojrzeniem i zaczęła szykować się do wyjścia.

Goście wylewali się z ławek, tłoczyli w nawie, wymieniali uwagi, przerzucali wiadomościami.

– I co teraz? – zapytał Brodrie. – Nie zamierzasz ich ścigać, milordzie?

– Drogi panie, córka zadała sobie wiele trudu, żeby za mnie nie

wyść – odrzekł Robert. – Okazałbym się nieokrzesanym prostakiem, gdybym za nią gonił i przemocą ciągnął do ołtarza. Jack – zwrócił się do drużby – powiedz wszystkim, że są mile widziani na przyjęciu ślubnym. Szkoda byłoby zmarnować tyle jedzenia.

Robert zapłacił za uroczystości, jako że lordowi Brodrie zawsze brakowało gotówki.

– Będzie pan celebrował ucieczkę mojej córki z innym mężczyzną? – spytał zdumiony.

– Daliśmy dość pożywki plotkarzom. Nie będę odgrywał załamane nieszczęściem, a weselne przyjęcie jest przygotowane i opłacone. Miejmy nadzieję, że pańska córka zdążyła sama wydać się za mąż. Niechże się pan cieszy. – Skłonił się lordowi Brodrie. – Pan wybaczy, zaraz wrócę, muszę tylko coś załatwić.

– Na Boga, to łajdak bez serca! – dobiegł do Roberta głos Brodriego.

Nie dosłyszał odpowiedzi Jacka, ale bez względu na to, co powiedział niedoszły drużba, nie mógł zgodzić się z tak niepochlebłą oceną.

„Lachlan uciekł z Dulcibellą Brodrie”, szeptano wokół i wiadomość szybko obiegała kościelne ławki. „Dzisiaj rano uciekli do Gretna Green”. Głupi ten mój brat, pomyślała Lucy. Potrzebował dwóch miesięcy i prawie dwudziestu listów miłosnych, żeby namówić Dulcibellę do porzucenia Roberta Methvena. Akurat w terminie ślubu zdecydowali się na ucieczkę, zostawiając niedoszłego pana młodego oko w oko z zaproszonymi na uroczystość gośćmi?

Ogarnęło ją silne poczucie winy, czego wcześniej się nie spodziewała. Aż do tej chwili była z siebie raczej zadowolona. Przedłużający się opór Dulcibelli, która nie od razu była skłonna ulec namowom Lachlana, skutkowało dużym zarobkiem autorki miłosnych epistoł. Lucy było stać na zakup ciepłych koczków, lekarstw i ubrań dla dzieci. Naturalnie, w tej sytuacji ktoś musiał być stratny i tym kimś był porzucony narzeczony. Lucy wydawało się, że swoim postępkami zawiodła Roberta Methven, jakby była mu winna lojalność. Może dlatego że przez te wszystkie lata dotrzymał słowa i nie wygadał się, że pamiętnej nocy spotkali się na tarasie Forres Castle. Zrobiło się jej głupio. On dotrzymał danego słowa, a ona odpłaciła mu niewdzięcznością.

– Papo. – Dotknęła ramienia ojca, przechylając się do Mairi i Christiny. – Obawiam się, że ludzie potraktują nas jak lisa w kurniku – szepnęła. – Lachlan uciekł z panną młodą.

Książę Forres poprawił okulary na nosie. Był zaambarasowany, co było jego stanem naturalnym. Jako człowiek nauki i samotnik, niezmiennie sprawiał wrażenie, że chodzi z głową w chmurach i nie bardzo wie, co wokół się dzieje.

– Doprawdy? A zastanawiałem się, gdzież on jest.

– Wszystko wskazuje na to, że w połowie drogi do Gretna Green – powiedziała Mairi. – Typowy Lachlan. Bez skrupułów sięga po to, co należy do kogoś innego.

Lucy zerknęła w kierunku ołtarza. Ponad głowami gości weselnych widziała Roberta Methvena. Rozmawiał z drużbą i lordem Brodrie, który w rękę trzymał kartki. Przestraszyła się, bo był podejrzanie podobnie do listów Lachlana do Dulcibelli. Nagle Robert, mając w dłoni jedną kartkę, spojrzał wprost na nią i odniosła wrażenie, że w jego ciemnoniebieskich oczach kryje się groźba. On wie, pomyślała i zadrżała. Robert Methven nie powinien wiedzieć, że przyłożyła rękę do tego, co się stało, ale najwyraźniej się tego domyślił.

Spuścił wzrok na trzymaną w rękę kartkę, po czym ponownie wbił w nią spojrzenie. Powiedział coś do drużby i ruszył w jej stronę. Spanikowana, postanowiła uciekać.

– Papo, przepraszam, muszę wyjść na powietrze. Spotkamy się przy powozie.

– Dobrze, kochanie. Zachodzę w głowę, co powiem Methvenowi. Lachlan zachował się skandalicznie.

– Przepraszam. – Lucy próbowała jak najszybciej wydostać się z ławki.

Kątem oka widziała, jak Robert Methven zbliża się nawą w ich stronę. Wyobraziła sobie, że rzuci rękawicę na kościelną podłogę i wyzwie jej ojca na pojedynek z powodu dyshonoru, jakiego doznał on i jego rodzina. Ta myśl wcale nie wydawała się jej niedorzeczna, zwłaszcza że Wilfred nie krył zadowolenia z upokorzenia Methvena.

– Nikt bardziej nie zasłużył na to, co się wydarzyło – orzekł Cardross. – Muszę postawić Lachlanowi whisky, jak go spotkam.

– Zamilcz, Wilfredzie – rzuciła poirytowana Lucy. – Czy musisz cieszyć się z cudzej niedoli?

– Naturalnie, tym bardziej że niedola spotkała Methvena. Jeśli nie dopełni warunków wymaganych do objęcia dziedzictwa, część jego majątku przypadnie mnie.

Lucy popatrzyła na kuzyna z odrazą. Wiedziała o zastarzałym sporze prawnym między Wilfredem a Robertem Methvenem, ciągle dalekim od rozstrzygnięcia sądowego. Od kilku miesięcy, a dokładniej od powrotu z Londynu kuzyn czynił aluzje na ten temat. Jeśli miał rację i dziedziczenie Methvena jest uzależnione od ożenku, pomyślała Lucy, to znaczy, że Robert będzie jeszcze bardziej wściekły, niż sądziła.

Przecisnęła się obok kuzyna do zatłoczonej nawy i dyskretnie się obejrzała. Robert Methven był oblężony, goście tłoczyli się wokół niego prawdopodobnie po to, żeby dokładniej poznać powody odwołania ślubu. Odpowiadał uprzejmie, zachowując spokój, ale patrzył na Lucy. Pochwycił wzrokiem jej trwożne spojrzenie i w jego oczach błysnęła wesołość. Najwyraźniej zorientował się, że ona od niego ucieka.

Dopchała się do drzwi kościoła i wtedy zrozumiała, że popełniła taktyczny błąd. Powinna zostać w środku. Wśród ludzi Robert Methven nie mógłby jej zadawać kłopotliwych pytań, choć nie było to pewne. Nie był człowiekiem, który odstąpiłby od zamiarów w obawie, że zgorzszy zgromadzonych w kościele. Nie miała jednak wyjścia i musiała iść naprzód. Ruszyła nierówną ścieżką w stronę furtki widocznej w murze otaczającym dziedziniec kościelny. Droga za murem była zastawiona powozami. Małeńka wioska Brodrie nie widziała niczego podobnego od czasu, gdy trzydzieści lat temu żenił się jej dziedzic.

– Lady Lucy.

Słyszając kroki za plecami, chciała rzucić się biegiem, ale byłoby to niegodne damy i raczej niemożliwe do wykonania w jedwabnych pantofelkach. Zresztą Robert Methven i tak okazałby się szybszy. Zatrzymała się i odwróciła.

– Lordzie Methven... – Czuła się nieprzygotowana na moment konfrontacji. Nastąpił zbyt szybko. – Jest mi przykro... niewymownie przykro z powodu pańskiej...

– Straty? – odpowiedział. – Czy może jest pani przykro, że ma brata szubrawca, który ucieka z narzeczoną innego mężczyzny?

W głosie markiza zabrzmiały ostre tony. Lucy przyszło do głowy, że dżentelmeni nie mówią ze szkockim akcentem. Być może długi

pobył poza krajem stał z Methvena patynę cywilizacji. Stał jej na drodze i nie zamierzał się usunąć. Potężna postura i emanująca od niego prymitywna męska siła mogły wprawić w onieśmienie, a nawet przestraszyć. Lucy zdawała sobie jednak sprawę z tego, że tym razem nie może sobie pozwolić na słabość.

– Lordzie Methven – spróbowała ponownie ze współczującym uśmiechem, który, w jej mniemaniu, doskonale pokrywał zmieszanie – wiem, że Lachlan zachował się nagannie i...

– Zachował się jak łachudra – przerwał jej markiz.

Cóż, to prawda, przyznała w duchu Lucy, chociaż to zbyt drastyczne określenie w ustach dżentelmena rozmawiającego z damą. Poczula, że się czerwieni. Zazwyczaj poczucie godności chroniło ją przed oblewaniem się rumieńcami w towarzystwie panów. Niecodzienne okoliczności i bezceremonialność Roberta Methvena sprawiły, że była zbита z tropu. Szybko jednak doszła do wniosku, że nie miał pojęcia o jej roli w sprawie ucieczki narzeczonej.

– Wygląda pani, jakby gnębiło panią poczucie winy – zauważył.
– Jaki jest tego powód?

Lucy poczuła, że traci grunt pod nogami.

– Po prostu tak wyglądam, i to bez konkretnej przyczyny.

W odpowiedzi uśmiechnął się kpiąco. Lucy nie zwykła tracić opanowania i nie była wobec nikogo nieuprzejma, ale Robert Methven potrafił wyprowadzić ją z równowagi.

– Podoba mi się pani wygląd – wyjął ku jej zaskoczeniu.

Uniósł rękę i palcem musnął jej policzek. Odniosła wrażenie, że gorset jest zasznurowany za ciasno i utrudnia jej oddychanie.

– Przypuszczałem, że gnębi panią poczucie winy, bo znała pani ich plany – dodał. – Przyszło mi na myśl, że nawet pomogła pani zakochanej parze.

– Ja... – Urwała, uświadamiając sobie, że nie wie, co powiedzieć. Wmawiała sobie, że nie odegrała żadnej roli w ucieczce, w każdym razie nie bezpośrednio.

– Nie miałam z tym nic wspólnego – oznajmiła Lucy.

Methven przypatrywał się jej w milczeniu. Ten bezruch był przerażający, przywołał na myśl polującego drapieżnika podchodzącego ofiarę.

– Wiedziała, że Lachlan kochał się w pannie Brodrie –

ciągnęła, odnosząc wrażenie, że pogrąża się mimo czynionych wysiłków, aby temu zapobiec. – To wszystko. Nie wiedziałam o planach ucieczki ani o listach miłosnych... – Zamilkła, boleśnie świadoma, że się wygadała.

– Nie wspominałem o listach miłosnych – zauważył łagodnie Robert Methven, ale w jego oczach pojawił się groźny błysk.

Zapadło nieprzyjemne milczenie. Lucy stała jak porażona przenikliwym spojrzeniem markiza.

– Ja... – Nie znajdowała słów, bo w głowie miała pustkę.

– Słyszałem, że pani brat nie jest usposobiony do pisania, podczas gdy pani, lady Lucy... jest znaną autorką, nieprawdaż?

– Ja...

– Najwyraźniej ma pani trudności z wysławianiem się – zauważył złośliwie.

– Methven, drogi chłopcze. – Ścieżką od strony kościoła zmierzał ku nim książę Forres, a za nim podążały siostry Lucy. – Doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Przepraszam cię za mojego syna, nie popisał się.

Lucy była uratowana. Przytuliła się do Mairi.

Robert Methvena rozmawiał z księciem, nie odrywając wzroku od twarzy Lucy.

– Proszę, niech książę się nie przejmuję – powiedział. – Na pewno znajdę okazję, by zażądać wyjaśnień. – Skłonił się Lucy. – Pani, naszą rozmowę dokończymy później.

Nigdy to nie nastąpi, jeśli to ode mnie będzie zależało, pomyślała Lucy.

– Uprzejmy człowiek – skonstatował książę.

Lucy wiedziała, że zachowanie Roberta Methvena nie miało nic wspólnego z uprzejmością, a co dopiero zapowiedziany rewanz. Sprawa bynajmniej nie była zakończona.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lucy wolałaby nie brać udziału w przyjęciu weselnym, musiała jednak ustąpić wobec nalegań ojca.

– Methven nas zaprasza i przynajmniej to jesteśmy mu winni – powiedział książę Forres. – Być może w ten sposób zminimalizujemy skandal, jaki wywołał twój brat gorszącym zachowaniem, i unikniemy niepotrzebnego odnowienia waśni między naszą rodziną a Methvenem.

Lucy siedziała przy stole jak na szpilkach. Prawie niczego nie zjadła i nie wypła w przeciwieństwie do pozostałych biesiadników. Zebrani przy stołach mocno się rozochocili, bo gospodarz nie skąpił wina. O ucieczce Dulcibelli z niewłaściwym narzeczonym prawie zapomniano. Podśluchała, jak jeden z podpitych gości mówił do drugiego: „Co za przyjęcie, to najwspanialszy ślub w tegorocznym sezonie”. Po urozmaiconym, obfitym i elegancko podanym poczęstunku zaczęły się tańce.

Lucy oraz jej chrzestna matka usiadły pod ścianą wielkiej sali Brodrie Castle, co nie poprawiło humoru pannie MacMorlan. Była niezadowolona, że mając dwadzieścia sześć lat, nie może pokazać się na przyjęciu bez przyzwoitki tylko dlatego, że nie jest mężatką. Postanowiła, że w ogóle nie wyjdzie za mąż, i wiedziała, że jest skazana na towarzystwo przyzwoitek przynajmniej do trzydziestego piątego roku życia, kiedy to zostanie definitywnie uznana za starą pannę.

Czas dłużył się jej nieznośnie, natomiast inni zaproszeni na to dziwaczne przyjęcie weselne bawili się doskonale. Mairi z zapałem wirowała w tańcu. Nawet Christina, nieprzeznaczona do małżeńskiego stanu z racji swojej roli pani domu Forres Castle, której podjęła się po przedwczesnej śmierci księżnej, nie opuszczała tanecznego kręgu. Lucy coraz częściej podpierała ściany sal balowych, zresztą na własne życzenie. Dała kosza wielu starającym się o jej rękę i zaczęła krążyć o niej opinia zanadto wybrednej. Panowie rezygnowali z zalotów w obawie, że nie dorównają jej nieocenionemu zmarłemu narzeczonemu, lordowi McGillivrayowi. Nie mogli wiedzieć, że nikt mu nie dorówna, ponieważ żaden pan młody nie zgodziłby się na białe małżeństwo.

Lucy nie brała pod uwagę możliwości intymnego pożycia z

mężczyzną, ponieważ nie chciała powtórzyć błędu swojej siostry. Duncana MacGillivraya uznała za idealnego kandydata na męża, ponieważ nie zależało mu na małżeńskim pozyciu. Miał dwóch spadkobierców, a ze względu na wiek nie interesował się sprawami alkowy.

Wzrok Lucy powędrował ku tańczącej teraz kontredansa Mairi i poczuła bolesne ukłucie w sercu. Czasami Mairi przypominała jej Alice, radosną, wdzięczną, promieniującą szczęściem. Bliźniacza siostra miała ten irytujący zwyczaj, że słyszała tylko to, co chciała. Ze ślepą obojętnością ignorowała kłopoty, pewna, że pokona je urokiem osobistym. Znalazła się w jednak poważnych tarapatach, z których nie było wyjścia.

Nagle wsparte na kamiennych kolumnach wewnątrz wielkiej sali znikło i Lucy znalazła się w innym czasie i miejscu. Z twarzą mokrą od łez, Alice trzymała się kurczowo jej rąk i błagała: „Pomóż mi, Lucy! Boję się”. Z całego serca chciała pomóc, ale nie wiedziała jak. Miała szesnaście lat, była przerażona i bezradna. Uścisk dłoni Alice był tak silny, że aż bolesny. Z jej ust dobywał się urywany szept: „Tak bardzo go kocham... wszystko bym dla niego zrobiła”. Do końca wzywała ukochanego, ale nadaremnie. Umierała, wyznając siostrze, że żałuje, iż wcześniej nie podzieliła się z nią swoją tajemnicą. „Nie mówiłam ci, bo bałam się, że ściągnę na ciebie kłopoty. Proszę, nie mów nikomu i pomóż mi”. Tamtej tragicznej nocy, kiedy umarła Alice, Lucy odkryła, jaki sekret kryła przed nią bliźniaczka i jaką cenę trzeba zapłacić za miłość.

Wzdrygnęła się. Siedziała w wielkiej sali zamkowej, grała muzyka, ludzie tańczyli, nic się nie zmieniło poza tym, że ilekroć wspominała Alice, gnębiło ją dojmujące i nadal żywe poczucie pustki po stracie siostry. Jak przez mgłę dotarł do niej głos chrzestnej matki, lady Kenton.

– Jak mamy cię wydać za mąż, skoro nikt nie prosi cię do tańca?

Lady Kenton uważała, że jej obowiązkiem jako matki chrzestnej i najlepszej przyjaciółki zmarłej księżnej jest znalezienie kandydata na męża dla Lucy.

– Muszę porozmawiać z księciem. Po śmierci lorda MacGillivraya zaniedbał ojcowskie obowiązki.

Lucy westchnęła. Ojciec był wobec niej bardzo wyrozumiały.

Była pewna, że uszanuje jej wolę i nie będzie nalegał, by wreszcie poślubiła odpowiedniego dżentelmena. Przed siedmioma laty chciał ją wydać za mąż, ponieważ pozostawał pod silnym wrażeniem hańby, upadku i śmierci Alice. Obecnie, przeżywszy śmierć żony i córki, pogrążył się w melancholii i większość czasu spędzał wśród książek, z dala od ludzi i świata.

Nagle lady Kenton poruszyła się na krześle i dotknęła ramienia chrześnicy.

– Odnoszę wrażenie, że lord Methven zamierza poprosić cię do tańca – powiedziała.

Lucy poczuła suchość w ustach, serce podeszło jej do gardła, kiedy wśród bawiącego się w najlepsze tłumu wyłowiła wzrokiem zmierzającego ku niej Roberta Methvena. Była pewna, że chciał dokończyć przerwana rozmowę, a nie zatańczyć. Nagle zjawił się przed nią Wilfred.

– Kuzynko Lucy.

Zgiął się w ukłonie, przekonany, że czyni to w najlepszym londyńskim stylu, powiewając koronkami przy szyi i mankietach. Na jego palcach i w żabocie błysnęły brylanty. W oczach Lucy wyglądał jak nadziany indyk. Musiał sobie nieźle podpić, pomyślała, bo dawało się wyczuć woń brandy, a klapy kołnierza fraka miał przyprószone tabaką.

– Najdroższa kuzynko. – Złożył pocałunek na dłoni Lucy. – Czy już ci mówiłem, jak bosko dzisiaj wyglądasz? Uczynisz mi zaszczyt i zatańczysz ze mną chodzonego?

Lucy niczego by sobie nie życzyła mniej, niż partnerować Wilfredowi w tańcu, ale lady Kenton wykonywała dłońmi ruchy, zachęcające ją do wyjścia na parkiet, a stojący w pobliżu ludzie zaczęli się im przyglądać. Zresztą mając przed sobą perspektywę rozmowy z Robertem, uznała towarzystwo kuzyna za mniejsze zło.

Po dwudziestu minutach nie była tego pewna. Wilfred czynił wysiłki, aby ludzie sądzili, że łączą ich bliższe stosunki niż w rzeczywistości. Nie tracił okazji, żeby szeptać Lucy do ucha, jak wspaniale się prezentuje, by ścisnąć znacząco jej palce, aby dłużej, niż tego wymagały figury taneczne, zatrzymać dłoń na jej ramionach i plecach. Czynił to wszystko w obrzydliwy sposób, sugerujący, że ma prawo do takiego zachowania. Lucy nie wiedziała, czym wytłumaczyć

tę ostentację. Lubił jej nadskakiwać, ale dotychczas nie demonstrował, że łączy ich szczególna zażyłość.

– Najdroższa kuzynko – powiedział, gdy taniec dobiegał końca – mam nadzieję, że od teraz będziemy spędzali więcej czasu w swoim towarzystwie.

Lucy nie przepadała za Wilfredem i wcale tego sobie nie życzyła. Zaczynała podejrzewać, że kuzyna zainteresował przede wszystkim jej majątek. Krążyły plotki, że przehulał fortunę. Nie dalej jak kilka dni temu jej ojciec zauważył, że jedynie szybkie ogłoszenie zaręczyn z posażną panną pozwoli Wilfredowi uwolnić się od wierzycieli. Wówczas Lucy postanowiła, że na pewno nie ona będzie tą posażną panną, która wybawi go od ich natarczywości.

– Nie byłoby tak źle, gdybyś poślubiła kuzyna – powiedziała lady Kenton, gdy Lucy wróciła na miejsce eskortowana przez nadąsanego Wilfreda, któremu odmówiła kolejnego tańca. – Jest odpowiednią partią, a małżeństwo umocniłoby związek między obu rodzinami. Wspomnę o tym twojemu papie.

– Proszę, nie rób tego, cioteczko Emily – odpowiedziała Lucy. – Nie cierpię kuzyna, wręcz go nienawidzę.

Lady Kenton nie skwitowała jej prośby ani słowem, ale przybrała wyraz twarzy, który uzmysłowił Lucy jej sytuację: poza kuzynem żaden z dżentelmenów nie poprosił jej do tańca. Po skocznym reelu muzycy znowu zagrali chodzonego, a potem kolejny zestaw kontredansów. Lucy czuła na sobie nieprzyjemne spojrzenia innych pań i ich przyzwoitek. Co z tego, że była ładna, utytułowana i majątna, skoro nikt nie prosił jej do tańca, poza Wilfredem, który, jak podejrzewała, chciał także utrzyć nosa Robertowi Methvenowi. Powinna poczuć ulgę, że niedoszły pan młody zrezygnował, jak przypuszczała, z przyciśnięcia jej do muru, ale była jedynie znużona i marzyła o powrocie do gospody w Glendale, gdzie mieli zatrzymać się na noc przed podróżą do Edynburga.

– Cioteczka wybacz – wstała – ale muszę zamienić kilka słów z lordem Dalrymple. Ma wygłosić w Edynburgu wykład na temat ekonomii politycznej, a ja obiecałam, że przyjdę.

– Idź, tylko uważaj, żeby nikt nie słyszał, o czym rozmawiacie, bo może to zaszkodzić twojej reputacji. Wiesz, że nie mam nic przeciwko twoim studiom, ale nie wszyscy są tacy wyrozumiali.

Po rozmowie lordem Dalrymple Lucy przeszła do gotowalni dla pań. W pokoju nie było nikogo oprócz ziewającej z nudów pokojówki. Lucy umyła ręce i odświeżyła twarz. Ze zmarszczonymi brwiami przyglądała się swojemu odbiciu w lustrze nad toaletką. Widać było, że jest mizerna i zmęczona. Nic dziwnego, pomyślała, że odstrasza partnerów do tańca.

Wychodząc z gotowalni, zauważyła Roberta Methvena. Stał w holu, rozmawiając z przystojnym młodzieńcem, który był jego družbą. Lucy ukryła się za ustawioną w korytarzu wielką średniowieczną zbroją. Chociaż udało się jej nie wywołać najmniejszego hałasu, Robert odwrócił głowę w jej kierunku, przeprosił niedoszłego družbę i ruszył w jej stronę. Cała w strachu, chwyciła za klamkę najbliższych drzwi, otworzyła je i znalazła się w słabo oświetlonym korytarzu. Pobiegnęła przed siebie i gdy była w połowie korytarza, doszedł ją zza pleców odgłos otwierania i po chwili zamykania drzwi. Była przekonana, że Robert Methven wszedł do korytarza.

Rzuciła się pędem przed siebie. Korytarz zakręcał raptownie i rozszerzał się. Pomyślała, że znalazła się w ślepym zaułku, ale w rogu dostrzegła wąskie spiralne schody. Wspięła się na nie szybko niczym wiewiórka na drzewo, dysząc ze zmęczenia. Schody kończyły się drewnianymi drzwiami zamkniętymi na klucz, który tkwił w zamku. Z wielkim wysiłkiem przekręciła wielki i ciężki klucz i wyszła na zwieńczony blankami mur zamkowy.

Wiatr rozwiewał jej włosy, przewiewał na wylot jedwabną sukienkę. Zapadł już wieczór, lecz nie było ciemno, bo blask księżycy rozpraszał mrok. Był dopiero kwiecień, więc bryza była dość rześka.

Lucy pobiegła wzdłuż muru ku drzwiom widocznym w kolejnej wieży. Kilka razy szarpnęła za klamkę, lecz drzwi nie ustąpiły. Uznała, że musiały być zamknięte na klucz od wewnątrz, tak jak w pierwszej wieży. Odwróciła się i spostrzegła Methvena zmierzającego po murze w jej stronę. Spanikowana napała z całej siły na dębowe drzwi iomal nie wpadła do środka, kiedy nagle ustąpiły. Potykając się, zbiegła schodami i krętym, oświetlonym pochodniami korytarzem dobiegła do kolejnych drzwi, a kiedy je otworzyła, nieoczekiwanie znalazła się z powrotem w wielkiej sali zamkowej. Przystanęła za dekoracyjnymi paprociami rozstawionymi wzdłuż ściany. Oparta ręką o rycerską zbroję, starała się uspokoić oddech i bijące jak oszalałe serce. Udało

się, zgubiła Roberta Methvena.

– Dzisiejszy wieczór chyba był za zimny na spacer po blankach, lady Lucy. – W pobliżu rozległ się niski męski głos.

Odskokczyła i zachrząściła potrącona zbroja. Jednak nie umknęła prześladowcy – stał tuż za nią.

– Nie bardzo rozumiem, o czym pan mówi – odparła.

W milczeniu wyciągnął dłoń. Trzymał w niej garść jej zakończonych perełkami spinek do włosów.

– Och! – Lucy sięgnęła do włosów i nerwowo zaczęła je utykać za uszami. – Dziękuję. Tak... rzeczywiście... wyszłam na blanki. Od dawna interesuję się piętnastowieczną architekturą.

– Wybrała pani szczególny czas na pielęgnowanie hobby. Nie lepiej byłoby to zrobić za dnia? Odniosłem wrażenie, że nie tyle pani zwiedza, co ucieka przede mną.

– Ależ wcale nie uciekałam – zaproponowała Lucy, mając świadomość, że Robert bawi się z nią w kotka i myszkę, aby jeszcze bardziej pograżała się w kłamstwach. – Niech panu będzie – odezwała się po namyśle. – Rzeczywiście uciekałam.

– Trochę lepiej. A dlaczego?

– Nie lubię pana i nie chcę z nim rozmawiać.

Roześmiał się.

– Jeszcze lepiej. Kto by przypuszczał, że potrafi pani być taka bezpośrednia.

– Na ogół staram się być raczej uprzejma niż boleśnie szczerą.

– Dla mnie nie musi się pani wysilać. Wolę szczerą.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żebyśmy mieli wiele okazji do jakichkolwiek rozmów. Szczerych czy wręcz przeciwnie.

– Czyżby nie była pani tak inteligentna, za jaką uchodzi?

Wyciągnął rękę, jakby chciał wziąć ją pod ramię, gdy nagle omal nie zostali staranowani.

– Lady Lucy! Jak cudownie! – rozległ się męski głos.

Methven zmarszczył brwi, niezadowolony, natomiast Lucy z ulgą powitała przybysza, który mógł ją wybawić od towarzystwa markiza. Rozpoznała w nim lorda Prestonpans, złotego młodzieńca należącego do grona przyjaciół Lachlana.

– Szukałem pani przez cały wieczór! Potrzebuję pani pomocy. Napisze mi pani list?

Lucy zdrętwiała. Czują na sobie zaciekawiony wzrok.

– List? – powtórzył Robert Methven, wpatrując się w pannę MacMorlan.

– Oczywiście, milordzie – odpowiedziała szybko, odciągając lorda Prestonpans za ramię na bok. – Chodzi panu o list do lorda przewodniczącego Najwyższego Trybunału? Z przyjemnością panu pomogę. Proszę odwiedzić mnie w przyszłym tygodniu w Edynburgu.

Odwróciła się i postąpiła kilka kroków, mając nadzieję, że lord Prestonpans zorientuje się, że powstała niezręczna sytuacja. Niestety, najwyraźniej nie był zbyt bystry. Zamiast odejść, zawołał na cały głos:

– Nie chodzi o list w kwestiach prawnych! Potrzebuję listu erotycznego, takiego, jaki pisała pani dla brata!

– Pan wybaczy, milordzie, moja przyzwoitka pewnie się o mnie niepokoi.

– Zgłoszę się do pani, dobrze zapłacę! – nie ustępował lord Prestonpans.

Zdruzgotana Lucy milczała. Robert Methven też nic nie mówił.

– List erotyczny? – zapytał wreszcie.

– Przesłyszał się pan – zapewniła zdesperowana Lucy. – Chodziło o list egzotyczny. Niezwykły, pisany...

– Zielonym atramentem? Tak, to byłoby rzeczywiście egzotyczne.

Lucy przypomniała sobie radę udzieloną bratu, żeby przepisywał listy do Dulcibelli zielonym atramentem, aby wyglądały bardziej romantycznie.

– A może – pastwił się nad nią Methven – lord Prestonpans miał na myśli list w egzotycznym języku? Pisany wierszem, poetycki, miłosny... Czas, żebyśmy porozmawiali poważnie.

– Chyba nie tutaj – odparła z uśmiechem Lucy, żeby nikt z postronnych nie domyślił się, że jest spanikowana.

Źle się stało, że Robert Methven dowiedział się o jej umiejętności pisania listów miłosnych, byłoby jednak jeszcze gorzej, gdyby wieść o tym się rozniosła. Lady Lucy MacMorlan, chodzący ideał damy, okazałaby się daleka od doskonałości.

– W takim razie pójdźmy tam, dokądkolwiek pani sobie życzy. – Z pozoru uprzejme stwierdzenie zabrzmiało jak rozkaz.

– Nie wypada mi być z panem sam na sam – mnożyła przeszkody

Lucy.

Roześmiał się.

– Pisze pani erotyczną poezję i uważa, że nie wypada jej porozmawiać ze mną w cztery oczy? Dziwne rozumienie tego, co wolno młodej damie, a czego nie. – Z tymi słowami ujął łokieć Lucy i skierował ją w stronę wyjścia z wielkiej sali.

Próbowała stawić opór, ale pantofelki ślizgały się na wyfroterowanej drewnianej podłodze.

– Mogę panią ponieść, jeśli pani pozwoli.

– Nie, dziękuję.

Zastanawiała się gorączkowo, jak uwolnić się od towarzystwa markiza. Przyszło jej do głowy, że pójdzie do toalety dla dam, stamtąd wydostanie się na dwór oknem, wsiedzie do powozu i pojedzie do gospody.

– Niech pani nawet nie myśli o ponownej ucieczce. Możemy obieć blanki jeszcze tyle razy, ile się pani spodoba, ale koniec będzie taki sam – oznajmił Robert, najwyraźniej czytając w myślach Lucy.

Nie miała wyjścia. Pozostało jej wytłumaczyć mu się z listów, przeprosić i błagać o dyskrecję.

– Proszę wesprzeć się na moim ramieniu, jeśli pani nie chce zwracać na siebie uwagi. Możemy porozmawiać w bibliotece. Lord Brodrie z niej nie korzysta i wątpię, czy chociaż raz w życiu zajrzał do jakiegokolwiek książki.

Lucy zawahała się, ale lekko wsparła dłoń na ramieniu Roberta. Starła się utrzymać od niego taką odległość, żeby spódnice nie ocierały się o jego nogi, a włosy o ramię. Ogarnęło ją złe przeczucie. On nie okaże jej wyrozumienia, o sympatii nie wspominając, to pewne. Zrzućnowała jego plany matrymonialne, a co za tym związane, utrudniła przejęcie dziedzictwa. Nie powinna spodziewać się przebaczenia z jego strony.

Methven zamknął drzwi, gdy znaleźli się w bibliotece. Nie dochodziły tu odległe odgłosy balu. W zapadłej ciszy Lucy poczuła się jeszcze bardziej zagrożona.

– To pani napisała listy, które posłużyły bratu do zbałamucenia mojej narzeczonej, panny Brodrie?

Ponieważ milczała, natarł tak ostro, że aż podskoczyła:

– Czekam!

– Przykro mi. Nie byłam świadoma, do czego to może doprowadzić. – Lucy wzięła głęboki oddech i dodała: – Tak, to ja napisałam te listy dla Lachlana.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Lucy zauważyła, że jej przyznanie się do winy sprawiło satysfakcję Methvenowi. Z mocno bijącym sercem czekała na dalszy ciąg. Spodziewała się, że nieuchronnie i na długie miesiące stanie się obiektem plotek w Edynburgu, a wiedziała, że czułaby się fatalnie w roli bohaterki skandalu. Chyba jednak Robert jej nie zdradzi. Dżentelmen nie zawiódłby zaufania damy.

– Czy zdaje sobie pani sprawę z konsekwencji swojego czynu? Zniweczyła pani moje plany małżeńskie.

– Nie jest dokładnie tak, jak pan mówi – odważyła się powiedzieć Lucy. – Pańskie plany zrujnowała Dulcibella, uciekając z Lachlanem, a ja jej do tego nie namawiałam. Ona podjęła tę decyzję, bo być może nie chciała zostać pana żoną.

Ten wywód nie zrobił wrażenia na Methvenie.

– Czy mam rozumieć, że pani nie poczuwa się do odpowiedzialności? Uważa swoje postępowanie za możliwe do zaakceptowania?

– Poczuję się do odpowiedzialności za napisanie listów – wyjaśniła Lucy.

Była świadoma, że nie zachowuje się koncyliacyjnie i nie udobrucha Roberta, tak przedstawiając swój punkt widzenia na sprawę. Nie zamierzała go prowokować, lecz było w nim coś, co ją do tego skłoniło.

– Dlaczego pani podjęła się pisania listów?

– Dlatego że Lachlan mi płacił.

– Robiła to pani dla pieniędzy?! – Robert nie krył zdumienia.

– W pańskich słowach pobrzmiwa pogarda, podobna do tej, jaką ludzie okazują kurtyzanom, ale ja się nie sprzedawałam.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się i Lucy zauważyła, że bez ponurego wyrazu twarzy wygląda dość sympatycznie.

– Przykro mi to powiedzieć, ale na swój sposób jest pani na sprzedaż.

Lucy nie zaprotestowała. Przecież nie będzie mu tłumaczyła, że pieniądze za listy poszły na cel dobroczynny. Ujawniłaby, jakie wartości są jej bliskie, a tego nie chciała.

– Nie mam pieniędzy, więc muszę je zarabiać – stwierdziła krótko.

– Przecież jest pani bogatą dziedziczką.

– Bogata dziedziczka to taka, która dopiero wejdzie w posiadanie majątku, a dopóki to się nie stanie, może być bez pensa.

– Piękne wytłumaczenie, ale żadne usprawiedliwienie.

Spodziewałem się, że wytłumaczy się pani wiarą w miłość i chęcią pospieszenia z pomocą zakochanym.

– Nie interesuje mnie miłość – oznajmiła Lucy.

– W takim razie mamy wspólne zapatrywania. Czy pani wie, że hrabia Cardross i ja toczymy ze sobą prawną wojnę?

– Tak – przyznała zgodnie z prawdą Lucy i odniosła wrażenie, że jeszcze bardziej pogrzyżyła się w opinii markiza.

– Wnioskuje, że zamierzała pani pomóc kuzynowi wyzuć mnie z ojcowizny.

– Pan się myli. Dla Wilfreda nie kiwnęłabym małym palcem. Z ubolewaniem przyjąłbym fakt, że on odniósłby korzyść za sprawą mojego postępowania.

Methven zareagował gwałtownie – nagle uchwycił Lucy za ramiona. Poprzez cienką balową suknię czuła jego gorące dłonie.

– Naprawdę?!

Przestraszył Lucy i to zauważył. Opuścił ręce.

– Tańczyła z nim pani wcześniej – przypomniał spokojniej.

– Nie dla przyjemności. Nie znoszę go od dzieciństwa.

– Wyświadczyła pani kuzynowi wielką przysługę, doprowadzając do zerwania moich zaręczyn.

– Nie rozumiem.

Methven nie od razu przystąpił do wyjaśnień. Podszedł do stołu i winem z karafki napełnił dwa kieliszki, po czym jeden z nich podał Lucy. Ręką dał jej znak, żeby usiadła, po czym sam zajął miejsce. Wybrała podniszczony aksamitny fotel.

– Wilfred Cardross i ja toczymy spór dotyczący klanowej ziemi, którego początek sięga czasów króla Jakuba Czwartego. Wie pani zapewne, że Methvenowie i Cardrossowie są odwiecznymi wrogami?

– MacMorlanowie również – dodała. – Rozmawialiśmy o tym przed ośmiu laty.

– Pamiętam – odparł Robert i uśmiechnął się przelotnie, a oczy

pojaśniały mu niczym morze muśnięte promieniami słońca.

Na ten widok Lucy nagle zrobiło się gorąco. Spuściła wzrok i zaczęła wygładzać fałdy sukni.

– Wilfred Cardross przejął odwieczną wrogość po przodkach i czekał na okazję, żeby zażądać zwrotu ziem, które uważa za swoje. Przebywałem w Kanadzie, gdy umarł mój dziadek, i nie zdołałem szybko wrócić, aby ogłosić, że obejmuję rodzinne dziedzictwo. Hrabia natychmiast to wykorzystał.

– Co ja mam z tym wspólnego?

– Zaraz się pani przekona. Na podstawie traktatu, datującego się z czasów Jakuba Czwartego, Methvenom została nadana ziemia wycięta z hrabstwa Cardross. Obecnie stanowi połowę mojego dziedzictwa.

– Potrafię sobie wyobrazić, dlaczego Wilfred nie chce tego zaakceptować.

– Była to nagroda za to, że klan Methvenów wykazał się większą walecznością na polu bitwy niż Cardrossów. Król Jakub Czwarty narzucił obu stronom traktat, który obowiązuje do dzisiaj. Zgodnie z jego postanowieniami przyszły markiz Methven powinien w ciągu dwunastu miesięcy po śmierci swojego poprzednika zgłosić akces do dziedzictwa, a jeśli tego nie uczyni, będzie musiał spełnić dodatkowe warunki, aby wejść w posiadanie tych ziem. Niestety, wystąpiłem o przyznanie spadku po trzynastu miesiącach.

– W takim razie czemu wcześniej nie przyjechał pan do kraju? Dlaczego pan, spadkobierca tytułu, w ogóle znalazł się w Kanadzie?

– To nie powinno pani interesować – uciął ostrym tonem Robert.
– Spóźniłem się, z czego Cardross natychmiast skorzystał i uchwycił się szansy, jaką dawał mu traktat. A dodatkowe warunki to wymóg, żebym ożenił się w ciągu roku od zgłoszenia pretensji do ziem, a w ciągu dwóch lat mam sprowadzić na świat syna, kolejnego dziedzica. Teraz w pełni może pani pojąć, jak duże szkody poczyniła, bałamucąc mi narzeczoną.

Rzeczywiście Lucy była przerażona rozmiarem następstw napisania kilku miłosnych listów.

– Nie wiedziałam... – powiedziała cicho. – Czy inna kandydatka na żonę nie wchodzi w... – Urwała, niepewna i zakłopotana.

– To nie takie proste. Król Jakub, chcąc pogodzić zwaśnione

klany, postawił warunek, że panna musi mieć w żyłach krew Cardrossów.

– Och! – wykrzyknęła Lucy.

Zaczęła gorączkowo przeszukiwać w pamięci wszystkie odgałęzienia drzewa genealogicznego Cardrossów. Wilfred nie miał siostr, a nawet gdyby je miał, nie pozwoliłby im wyjść za Methvena. Dulcibella była daleką kuzynką Wilfreda. Poza tym jeszcze ona sama była po kądzieli spokrewniona z Cardrossami. Nie potrafiła znaleźć innej panny, spełniającej warunek królewskiego traktatu. Cardrossowie nie byli szczególnie rozgałęzioną rodziną, co stanowiło złą wiadomość dla markiza.

– Przykro mi – powiedziała.

Wiedziała, że słowami nie wynagrodzi ogromnej straty. Wcześniej poczuwała się do winy, teraz gdy poznała zakres wyrządzonej Robertowi krzywdy, była zdruzgotana.

– Może sobie pani wyobrazić, co mi przyjdzie z tego, że pani jest przykro – zauważył z przekąsem markiz.

– Po co ten sarkazm? Naprawdę jest mi przykro. Gdybym wiedziała...

– Niewiedza nie jest usprawiedliwieniem. Zresztą listy do Dulcibelli napisane w imieniu brata to nie pierwszy przypadek pani aktywności w tej dziedzinie.

Lucy wzdrygnęła się. Pochłonięta opowieścią Methvena, zapomniała o tym, że był świadkiem jej niefortunnej rozmowy z lordem Prestonpans.

– Nie zaprzecza pani, zatem spod pani pióra wyszły erotyczne listy, które w zeszłym roku wywołały skandal w wyższych sferach.

Markiz wstał, podszedł do kominka i położył jedną rękę na gzymsie. Z jego postawy emanowała siła i przekonanie o własnych racjach. Onieśmiał ją, lecz była zdecydowana nie pokazać tego po sobie. Podniosła się z fotela, bo kiedy siedziała, czuła, że Methven ma nad nią większą przewagę.

– Zupełnie nie byłam wtajemniczona w to, jak przyjaciele Lachlana wykorzystają listy, proszę mi wierzyć.

– Już raz zasłaniała się pani niewiedzą. Nadużywa pani tej wymówki. Rzeczywiście jest pani taka łatwowierna, lady Lucy? Jak pani myśli, dlaczego ludzie chętnie czytują erotyczne lub miłosne listy?

- Zgadzam się, okazałam się bardzo naiwna.
- Methven oderwał się od kominka, zbliżył do Lucy i delikatnie uchwycił ją za ramiona. Dłonie, którymi obejmował jej ręce powyżej balowych rękawiczek, niemal ją parzyły.
- Czy pani jest dziewczicą? – zapytał.
- Milordzie! – wykrzyknęła zgorszona.
- To uprawione pytanie w istniejących okolicznościach – odparł lekko rozbawiony. – Treść listów sugeruje większe doświadczenie, niż można by oczekiwać u przeciętnej debiutantki. Co nie znaczy, że pani jest przeciętna, przeciwnie.
- Moje doświadczenie czy też jego brak nie powinny pana interesować. Pańskie pytanie jest niegodne dżentelmena.
- Najwyraźniej nie aspiruję do bycia dżentelmenem – odparł z sarkazmem markiz. – Nadal jestem ciekaw odpowiedzi. Czy ktoś mógłby tak pisać, nie wiedząc, czym jest miłość? Nie sędzę.
- Treść listów nie była oparta na osobistym doświadczeniu – wreszcie oznajmiła Lucy.
- Chciała powiedzieć Methvenowi, żeby ją puścił, bo gdy ją trzymał, czuła się wytracona z równowagi. Nie zdążyła, bo kciukiem dotknął jej delikatnej skóry w zagłębieniu łokcia i zrobiło się jej gorąco.
- Zatem musi pani mieć niezwykle wybujałą wyobraźnię – zauważył.
- Nic podobnego. Pisanie jest dla mnie czysto intelektualnym zajęciem.
- Zauważyła, że się zdziwił.
- Mówi pani prawdę? Prowokacyjne słownictwo, którym się pani posługuje, w żaden sposób nie jest dla pani podniecające?
- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Lachlan poprosił o listy miłosne, więc poszukałam w literaturze przykładów i je napisałam. Rozumiem, że niektórzy ludzie znajdują w nich powód do podniety, ale ja... – Urwała. Nie wyjawi mu, że dawno wyrzekła się wszelkich podniet, aby zaoszczędzić sobie bólu.
- Pani...? – poddał Robert, ciekaw dalszego ciągu.
- Nie znajduję w nich żadnych podniet.
- Interesujące. Listy nie były rezultatem osobistych doświadczeń?

– Zdecydowanie nie. Powstały w oparciu o to, co znalazłam w bibliotece dziadka.

Lucy zauważyła, że rozśmieszyła Methvena, i ujrzała w tym szansę dla siebie. Postanowiła zaryzykować, skoro już nie traktował jej surowo.

– Zamierza pan mnie zdemaskować?

Uznała, że lepiej zapytać wprost, niż owijać w bawełnę, a prośby nie wchodziły w grę. Nie była aż tak słaba, nawet jeśli jej sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Tym razem zastanawiał się, nie odpowiedział od razu.

– Może powinna pani spróbować przewidzieć konsekwencje swojego postępowania, lady Lucy?

Naturalnie, miał rację. Przyszło jej do głowy, że nie była naiwna, tylko wyjątkowo lekkomyślna. W głębi serca wiedziała, że napyta sobie kłopotów, jeśli prawda o listach wyjdzie na światło dzienne, a jednak podjęła ryzyko. Nie miała dobrego wytłumaczenia dla swojego postępu. Chyba tylko takie, że listy były czymś w rodzaju buntu. Rzuciła wyzwanie sztywnym regułom ograniczającym jej życie, i to przyniosło jej satysfakcję. Tym bardziej że nie przypuszczała, iż ktoś ją zdemaskuje.

– Ma pan rację. Popełniłam błąd.

– Ingerowała pani w życie ludzi i wyrządziła szkody.

– Już za to przeprosiłam. – Uśmiechnęła się rozbrajająco, bo zazwyczaj działało to na mężczyzn, ale Methven okazał się wyjątkowo odporny.

– Próbuje pani mną manipulować, lecz niczego pani nie osiągnie. Uważam, że należy panią zdemaskować.

– Nie! – wykrzyknęła Lucy. – Nie potrafiłby pan udowodnić, że napisałam listy – rzuciła wyzywająco.

– Mógłbym spróbować i sprawiłoby mi to wiele radości.

Lucy dobrze wiedziała, że wystarczyłyby aluzje, żeby zrujnować jej reputację i skazać na towarzyską banicję. Pomyślała, że jednak ucieknie się do próśb.

– Proszę... – Tym razem nie udawała. – Wiem, że zasługuję na...

– ...na karę? – podpowiedział markiz.

Słowa te poruszyły Lucy w sposób, jakiego wcześniej nie doświadczyła. Spojrzała markizowi w oczy i w następnej chwili

znalazła się w jego ramionach. Od czasu letniej nocy na tarasie Forres Castle Lucy nie pocałował żaden mężczyzna. Nie przychodziło jej do głowy, żeby choćby z czystej ciekawości spróbować, jakie wrażenie zrobi na niej pocałunek.

Dzisiejszy pocałunek nie przypominał muśnięcia sprzed lat. Tym razem Robert Methven nie brał pod uwagę jej braku doświadczenia. Napierał językiem, by rozwarła wargi, a gdy się poddała, gwałtownie wziął w posiadanie jej usta. Lucy ogarnął przestrasz i jednocześnie zdumiewająca przyjemność. Pocałunek zapowiadał nieznanne doznania i Lucy była ich ciekawa. Gdy to do niej dotarło, zeszywniała zszokowana tym, że po wszystkim, co przydarzyło się Alice, może ją zaciekać świat rządzony przez namiętności.

Robert wyczuł zmianę nastawienia Lucy i zakończył pocałunek. Miała chęć uciec, ale on nie wypuścił jej z ramion, i ucałował jej włosy. Powoli się odprężyła i poczuła bezpiecznie.

– Przepraszam. Posunąłem się za daleko – powiedział ze skruchą Robert i opuścił ręce.

Lucy utraciła swoją zwykłą pewność siebie. Wyrządziła mu krzywdę i miał prawo jej za to nie lubić. Tymczasem coś ich do siebie zbliżyło, coś między nimi zaszło. Nie potrafiła tego zrozumieć.

– Myślę, że powinien mnie pan zostawić – szepnęła.

Popatrzył na nią przeciągle pociemniałymi oczami – nie potrafiła odgadnąć znaczenia tego spojrzenia – po czym skłonił się i oddalił. Słyszała, jak zamyka drzwi biblioteki.

Opadła na najbliższe krzesło, lecz natychmiast wstała, podeszła do stolika pod ścianą i naląła sobie kolejny kieliszek doskonałego czerwonego wina z zapasów lorda Brodriego. Wychyliła kieliszek do dna i napełniła go ponownie. Zrobiło się jej gorąco i żeby się ochłodzić, podeszła do okna.

– Lucy?

Nie słyszała, że ktoś wszedł do biblioteki. Na skraju tureckiego dywanu stała Mairi. Światło świecy odbijało się od srebrzystych nitek, którymi był przetkany materiał jej sukni.

– Widziałam, jak lord Methven wychodził z biblioteki – powiedziała Mairi.

– Owszem, był tu. Dyskutowaliśmy o literaturze – odrzekła Lucy.

– Naturalnie. Literackie dyskusje są tak ekscytujące, że też

bywam po nich tak samo odurzona jak ty w tej chwili.

– To z powodu wina.

– I pocałunków. Szkoda, że siebie nie widzisz.

Lucy spojrzała w wielkie lustro wiszące nad kominkiem. Miała zamglone oczy, poczerwieniałe i obrzmiałe usta. Dotknęła ich palcami i powróciło doznane wcześniej wrażenie. Jak doszło do tego wszystkiego? Nie potrafiła orzec, co bardziej wytrąciło ją z równowagi: pocałunek czy słodka chwila po nim, kiedy w ramionach Methvena poczuła się bezpieczna i odprężona. Teraz już wiedziała, co czuła Alice.

Ogarnęła ją trwoga, bo nigdy wcześniej nie odczuwała żadnej fizycznej podniety. Ani wtedy, gdy czytała romanse, ani gdy pisała erotyki. Tymczasem chwila w ramionach Roberta Methvena wystarczyła, by dały o sobie znać emocje, których przed tym nie doświadczała. To było przerażające, albowiem Lucy przekonała się, dokąd mogą ją zaprowadzić, a tego nie chciała.

Wzdrygnęła się, przeniknął ją chłód. Alice złożyła na ołtarzu miłości i namiętności całą siebie z ciałem i duszą. Skończyła w hańbie, niedoli i bólu. Lucy nie popełni błędu, który zgubił jej bliźniaczą siostrę.

– To więcej się nie powtórzy – powiedziała.

– Jakaś ty naiwna – odrzekła z łagodnym ubolewaniem siostra. –

Na pewno się powtórzy, pozostaje tylko pytanie kiedy.

ROZDZIAŁ PIĄTY

– Robert musi znaleźć sobie nową narzeczoną, skoro pierwsza uciekła – oznajmiła sędziwa wdowa, markiza Methven.

Miała zwyczaj mówienia o ludziach, jakby byli nieobecni. Robert doszedł do wniosku, że może milczeć, bo babcia raczej nie oczekuje, że włączy się do rozmowy. Wraz z panem Kirkwardem, prawnikiem, który przyjechał z Edynburga, by wziąć udział w naradzie na temat zaistniałej sytuacji, zasiedli w bibliotece Methven Castle. Adwokat kręcił się niespokojnie, siedząc na pozłacanej sofie. Lady Methven zajęła miejsce naprzeciwko niego, w fotelu, a Jack postawił sobie krzesło tuż obok. Robert stanął przy oknie i patrzył na szarą, ciężką od wilgoci mgłę, przesłaniającą góry i zaścielającą dolinę.

Zapamiętał zamek dziadka jako pozbawioną wszelkiego uroku wilgotną, ponurą budowlę. Dawniej jego starszy brat, Gregor, wnosił radość i śmiech w stare mury, ale dzisiaj nie było go wśród żywych, czego Robert niezmiennie żałował, nie do końca zamknawszy okres żałoby. Śmierć Gregora zmieniła życie Roberta i zaciężała na jego przyszłości. Był młodszym synem i dobra Methvenów nie miały trafić w jego ręce. Dziadek mówił mu to prosto w oczy. Srogi stary człowiek nie czynił tajemnicy z faktu, że Robert jest jedynie niedoskonałą kopią nad podziw udanego brata.

– Ucieczka panny Brodrie to rzeczywiście niefortunne wydarzenie – zgodził się prawnik. – Zmienna natura kobiet niejednemu dżentelmenowi pokrzyżowała szyki.

– Lepiej, że stało się to przed ślubem niż po ślubie – wtrącił Robert.

Był pewny, że prawnik, tak jak przedtem lord Brodrie i pastor, pomyślał o nim, że jest zimny jak ryba. Zauważył skrępowanie Kirkwarda, które w jego obecności odczuwało wiele osób. Wiedział, że gwałtowne usposobienie i chłód onieśmiały ludzi, ale nie czuł potrzeby, żeby się zmienić. Czasami działało to na jego korzyść.

– Na kogo teraz padnie twój wybór? – zapytał Jack.

Robert wiedział, że kuzyn, który znał go lepiej niż większość ludzi, nie czuł się zakłopotany w jego towarzystwie.

– Nie stać mnie na luksus wyboru – odparł. – Muszę ożenić się z

kobietą, która wywodzi się z rodu pierwszego hrabiego Cardross. Niestety, jego linia nie była bardzo płodna.

– Oprócz panny Brodrie jest jeszcze lady Annabel Channing – zauważyła lady Methven. – Ładna dziewczyna, ale flirtiera. Nie będziesz miał pewności, czy spadkobierca jest twoim synem czy kogoś innego.

– Trudno. Nie pozostawiono mi wyboru.

– Przykro mi pana poinformować, że lady Annabel wyszła za mąż w zeszłym miesiącu w Londynie – odezwał się prawnik.

– W takim razie mamy problem – stwierdził Robert.

Złościło go, że los stawia przed nim przeszkody. Nie mógł ścierpieć, że królewski dekret sprzed trzystu lat wiąże mu ręce, a on nie może nic uczynić, żeby zabezpieczyć majątek i zapewnić przyszłość klanowi.

– Nie możemy dopuścić do tego, żeby ten okropny Wilfred Cardross przejął ziemię Methvenów – stwierdziła markiza wdowa, w obawie, że Robert wycofa się z walki. – Usunie naszych dzierżawców, zniszczy ich dorobek, wyprzeda wszystko, co się da, a uzyskane pieniądze przegra w karty.

– Nie pozwolę hrabiemu zagarnąć naszych dóbr – oświadczył z mocą Robert.

Wiedział, że Cardross będzie bezwzględny dla dzierżawców. Wiele rodzin od pokoleń związanych z Methvenami, utraci domy i dobytek i szybko popadnie w nędzę. Ci, którzy gospodarują na najdalej wysuniętych na północ wyspach, poumierają z głodu w tych ciężkich czasach, pomyślał. Nie można na to przystać. Dziedzic powinien zadbać o dobrostan ludzi i nie poddam się przy pierwszej przeszkodzie, postanowił Robert. Zdawał sobie sprawę z tego, że ponosi winę za zaniedbanie interesów klanu. Gdyby nie wyjechał do Kanady, nie straciłby tyle czasu na zgłoszenie pretensji do dziedzictwa po dziadku. Wilfred Cardross nie może zatriumfować. Ale jak temu zapobiec?

– Milordzie – odezwał się prawnik. – Jeśli wolno, mam pewną sugestię.

– Słucham, panie Kirkward.

– Jest jeszcze jedna linia rodzinna, której nie braliśmy pod uwagę. – Prawnik sięgnął do teczki z dokumentami i wyciągnął z niej drzewo genealogiczne. – Odkryłem to przed kilku tygodniami, ale

ponieważ był pan zaręczony z panną Brodrie, nie podnosiłem tej kwestii. – Rozłożył pergamin na stole i wygładził go dłonią. – Jest z tym związana pewna komplikacja, jednak skoro pan, proszę wybaczyć, nie ma wyjścia...

Robert czuł narastającą irytację. Dlaczego ten człowiek nie powie wprost, o co chodzi, tylko kluczy.

– Niechże pan wreszcie wyjaśni, co ma pan na myśli, panie Kirkward.

– Byłby pan zmuszony zostać szwagrem mężczyzny, który ukradł panu narzeczoną. – W głosie prawnika zabrzmiała nuta niepewności. – To zapewne byłoby poświęceniem, lecz niewielkim, zważywszy, że stawką jest połowa ziemi Methvenów...

– Kirkward, nie wiem, o czym pan mówi.

– Do tej pory interpretowaliśmy królewski dekret bardzo dosłownie, poszukując dla pana narzeczonej wśród córek potomków Cardrossów w linii męskiej. Przyszło mi do głowy, że powinniśmy się rozejrzeć wśród potomków po kądzieli.

– Czy to byłoby zgodne z traktatem?

– Przeprowadzone przeze mnie konsultacje w środowisku prawniczym potwierdziły, że tak.

– Kiedy wspomniał pan, że byłbym zmuszony zostać szwagrem mężczyzny, który ukradł mi narzeczoną...

– Pan Kirkward mówił o Lachlanie MacMorlanie – wtrąciła lady Methven, zezując na drzewo genealogiczne. – Rzeczywiście córki księcia Forres są spokrewnione z Cardrossami.

– Wiedziałem, że oni są spokrewnieni, sądziłem jednak, że pokrewieństwo jest zbyt dalekie – odparł Robert.

– Wywodzą się w prostej linii od najmłodszej córki pierwszego hrabiego Cardross – wyjaśnił prawnik, patrząc to na Roberta, to na lady Methven. – Istnieje jednak pewna przeszkoda.

– Jakżeby inaczej. Było to za proste – zauważył z ironią Robert.

– Nie wolno ci ożenić się z damą, która przekroczyła trzydziestkę ani z wdową – wyjaśnił Jack i przytoczył stosowne sformułowania traktatu. – Jest tu jeszcze mowa o tym, że narzeczoną powinna mieć ponad siedemnaście lat, nie może być cudzoziemką i wywodzić się z angielskiej rodziny.

– Nie musisz mi przypominać – rzucił Robert.

Trudno uwierzyć, ale kiedy pierwszy raz czytali z Jackiem te postanowienia, uśmiechali się do rozpuku.

– Lady Christina MacMorlan ma trzydzieści jeden lat, a lady Mairi jest wdową, więc obie nie spełniają warunków. Pozostaje lady Lucy – stwierdziła markiza.

– To ci się trafiło – odezwał się z przekąsem Jack.

– O czym pan mówi, Jack? – zainteresowała się lady Methven.

– O tym, że Robert zdążył polubić lady Lucy MacMorlan.

– Dziękuję ci, Jack, jak zwykle jesteś bardzo pomocny. Tyle że się mylisz. Nie lubię lady Lucy, a na dobitkę ani trochę jej nie ufam – oświadczył Robert.

– Robercie! – oburzyła się markiza. – To taka słodka dziewczyna!

– Mała manipulatorka.

Robert przypomniał sobie, co czuł, gdy całował i trzymał w ramionach lady Lucy. Być może była przewrotną kłamczuchą, ale między nimi zaiskrzyło i tliło się jak w suchym krzesiwie. Temperament nie byłby czymś niepożądanym w małżeńskim łóżu, gdyby tylko można było jej zaufać, pomyślał.

Kirkward odchrząknął.

– Lady Lucy odziedziczy sześćdziesiąt tysięcy funtów, które będą stanowiły jej posag.

– Sumka nie do pogardzenia – orzekł Jack. – Nawet dla ciebie, chociaż ty nie potrzebujesz pieniędzy.

Robert dorobił się pokaźnej fortuny na handlu drewnem w Kanadzie, ale taki posag panny młodej był mile widziany.

– Lady Lucy hojnie wspiera ochronkę i szpital – kontynuował Kirkward.

– Czym wspiera?

– Dochodami z działalności literackiej, milordzie. Czyni to anonimowo, ale nie trudno było to odkryć.

– Pańskie zdolności detektywistyczne są zdumiewające, panie Kirkward.

Robert pamiętał, że Lucy oznajmiła, iż pisze dla pieniędzy. Nie usprawiedliwiała się jednak tym, że potrzebuje ich na cele dobroczynne. Zastanawiał się nad jej motywacją.

– Sam widzisz! – wykrzyknęła triumfująco lady Methven. – Mówiłam, że to słodka i szlachetna dziewczyna. Dopuszczam jednak

myśl, że lepszą kandydatką na żonę dla ciebie byłaby lady Mairi. Jest starsza i będąc wdową, nie ma złudzeń co do stanu małżeńskiego.

– Dziękuję, babciu, za ufność, jaką we mnie pokładasz.

– Wiesz, o czym mówię, Robercie. Lady Lucy jest szczególną osobą. Wzięła udział w dwóch sezonach w Londynie oraz w trzech w Edynburgu i odrzuciła wszystkie propozycje małżeńskie. Powiadają, że mocno przeżyła śmierć narzeczonego. Podobno nie udało się jej spotkać nikogo, kto mógłby się z nim równać, jednak uważam, że to bzdura. Duncan MacGillivray był starym nudziarzem, zupełnie nieodpowiednim dla młodej dziewczyny.

– Nie mogę pozwolić sobie na to, by dała mi kosza. Wiesz może, babciu, czy lady Lucy wróciła do Forres, czy do Edynburga?

Kirkward znowu chrząknął, by zwrócić na siebie uwagę.

– Milordzie, pozwoliłem sobie uczynić dyskretne rozeznanie na temat planów córek księcia Forres, gdy się zorientowałem, że mogą stanowić odpowiednie kandydatki. Z tego, co wiem, należą do Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy. To elitarne i prestiżowe zgromadzenie dam o naukowych zainteresowaniach, którego członkinie spotykają się regularnie raz w miesiącu w różnych zamkach.

– Słyszałem – powiedział Robert.

Stowarzyszenie Błękitnej Pończochy było zamknięte dla postronnych. Nikt, kto nie był jego członkiem, nie był dopuszczany do zgromadzeń i nie było wiadomo, co się tam działo.

– Niestety – ciągnął Kirkward – nie udało mi się dowiedzieć, gdzie odbędzie się najbliższe spotkanie. To tajna informacja.

– Babciu? – Robert wiedział, że markiza nie należy do stowarzyszenia, ale zna wiele pań, które uczestniczą w jego działalności.

– Doprawdy, Robercie, to sekretne stowarzyszenie. Nie możesz się po mnie spodziewać, że wyjawię ci szczegóły.

– Nawet by uratować Methven? Muszę szybko odnaleźć lady Lucy, aby się jej oświadczyć.

– Co za nieromantyczny pośpiech! Powinieneś zacząć się starać o jej względy, a nie ciągnąć ją przymusem do ołtarza.

– Nie mam czasu na romantyczne zaloty.

Lady Methven westchnęła ciężko.

– Niech będzie, ale nie wygadaj się, że ja ci powiedziałam, bo

będę skończona w Edynburgu. One spotykają się na Durness Castle.

Robert zmiął w ustach przekleństwo, żeby nie obrażać uszu babki, bo i tak uważała go za grubianina. Durness leżało na dalekiej północy Szkocji. Potrzebował kilku dni, a nawet więcej, o ile pogoda nie dopisze, żeby tam dojechać. Co gorsza, właścicielem posiadłości sąsiadującej z Durness był Wilfred Cardross. Nie wyglądało to na zwyczajny zbieg okoliczności. Robert widział, jak hrabia umizgiwał się do Lucy w trakcie przyjęcia weselnego u Brodriech. Ciekawe, co ten drań planuje?

– Szkockie panie lubią podróżować – zauważyła markiza wdowa.
– Podróże poszerzają horyzonty myślowe.

Robert nie był na północy od śmierci Gregora. Niektóre jego włości, w tym warownia na Golden Isle, leżały w tej samej okolicy. Nagle dzień wydał mu się bardziej pochmurny, niż był w rzeczywistości.

– Ślub z członkinią Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy dobrze by ci zrobił, Robercie – zauważyła markiza. – Wykształcona kobieta cię ucywilizuje, a to przyda się po latach spędzonych w kanadyjskiej dziczy. Przy takiej kobiecie udzieli ci się trochę jej towarzyskie wyrafinowanie i podciągniesz się intelektualnie, bo masz wielkie braki w znajomości literatury, matematyki, astronomii, geografii, nie mówiąc już o manierach i zachowaniu.

Robert usłyszał śmiech Jacka. Ostrzeże kuzyna, że jeśli choćby jedno słowo z tej rozmowy wycieknie w gospodach i klubach Edynburga, on postara się, by Jack miał poważne kłopoty. Złakł się, czy babcia nie zacznie udzielać mu pouczeń, jak spełnić pozostały wymóg traktatu, mówiący o konieczności sprowadzenia na świat syna w ciągu dwóch lat. Lucy MacMorlan ma inną rolę do spełnienia niż przywrócenie go na łono cywilizacji, uznał Robert. Dzięki niej nikt nie będzie mógł kwestionować jego praw do ojcowizny. Zaciągnęła u niego dług i nadeszła pora na spłatę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Piwiarnia Pod Owczym Łbem, mieszcząca się na końcu zaułka opanowanego przez wytwórców świec, nie należała do miejsc uczęszczanych przez arystokratów, którzy rzadko zapuszczali się w wąskie uliczki starej części Edynburga, zwanej Old Town. Lokal był ciemny, zatłoczony, w powietrzu wisiał odór dymu tytoniowego i zwiędzłego piwa. Wilfred Cardross wybrał tę spelunkę nie bez przyczyny. Człowiek nie rozpoznałby rodzonej matki w panujących tu ciemnościach, a gdyby rozpoznał, to musiałby się zdziwić, co ona tu robi. Nie wystroił się, jak to miał w zwyczaju, tylko z uzasadnionego powodu włożył mniej rzucające się w oczy ubranie, co nie poprawiło mu humoru, bo uwielbiał znajdować się w centrum uwagi.

Innym powodem irytacji hrabiego, który bębnił palcami po zniszczonej powierzchni drewnianego stołu, było to, że jego gość się spóźnił. Hrabia nie cierpiał czekać na osobę, z którą się umówił, zwłaszcza gdy nie dorównywała mu pozycją społeczną. Gdy Stuart Pardew wreszcie usiadł naprzeciwko niego przy stole, ostentacyjnie wyciągnął zegarek, sprawdził, która godzina, i nie zaproponował mu poczęstunku.

Pan Pardew wydawał się nie przejmować złym nastrojem hrabiego. Strząsnął krople deszczu z płaszcza i z westchnieniem zadowolenia wyciągnął nogi w stronę ognia. Uniósł rękę, żeby przywołać karczmarza i zamówił kufel piwa. Spojrzał wymownie na prawie pustą szklanekę hrabiego, ale nie zaproponował mu nowej kolejki. Gdy karczmarz odszedł, Cardross pochylił się nad stołem.

– No więc? – zapytał.

Pan Pardew miał szczerą okrągłą twarz. Był to wielki atut w jego życiu na granicy prawa, wyglądał bowiem tak pocziwie, że nikt go o nic nie podejrzewał.

– Methven zamierza się ożenić z jedną z sióstr MacMorlan – powiedział.

– Czy to obroni się w sądzie?

– Sukcesja w linii żeńskiej. Kirkward uważa, że przekona sąd.

Wiadomość nie była po myśli Cardrossa. Doszedł do wniosku, że Pardew odmierza informacje po to, żeby jak najwięcej na nich zarobić.

Sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął sakiewkę. Z brzękiem wyśladowała na stole. Na ten widok Pardew błysnął oczami.

– Z którą z nich? – zapytał hrabia.

Pardew nie spieszył się z odpowiedzią.

– Lady Lucy. Żadna z pozostałych nie spełnia wymagań traktatu.

Wilfredowi spadł kamień z serca.

– Lucy się nie zgodzi – stwierdził, wiedząc, że odrzuciła gromadę starających się o jej rękę.

– W takim razie Methven zrobi wszystko, co tylko możliwe, by ją przekonać. Nie będzie przebierał w środkach, to jego ostatnia szansa. Walczy o ojcowiznę.

Cardross obserwował, że od czasu przyjazdu do kraju Robert Methven skupił się na odzyskaniu majątku, zaniedbywanego przez dłuższy czas przez jego dziadka, i zaprowadzeniu porządków. Stary markiz pozwalał, żeby ludzie Cardrossa wchodziłi mu w szkodę; tu zagarnęli stado bydła, tam uszczknęli trochę ziemi, palili wsie i niszczyli zbiory bez miłosierdzia. Kolejny rajd spotkał się ze srogim odwetem, bo właśnie powrócił Robert Methven.

– Coś trzeba przedsięwziąć – orzekł hrabia. – Nie mogę liczyć na to, że kolejna narzeczona Methvena się rozmyśli.

– Za duże ryzyko – zgodził się Pardew.

– Właśnie. Tyle że nie mogę działać zbyt otwarcie. Książę Forres jest bogaty i wpływowy, a mnie nie stać na to, by zrobić sobie z niego wroga.

– Może pan ożeniłby się z lady Lucy.

Cardross rzucił Pardew baczne spojrzenie, lecz nie dopatrzył się w jego twarzy szyderstwa.

– Ona mnie nie cierpi – wyjął.

– Wielka szkoda.

Tym razem hrabia był pewny, że rozmówca zeń kpi.

– W tej sytuacji nie uniknie pan pobrudzenia sobie rąk.

Naturalnie, w imię wyższego dobra.

Wilfred się wzdrygnął. Brudne ręce, dosłownie lub w przenośni, nie były w jego stylu, wiedział jednak, że Pardew najprawdopodobniej ma rację.

– Znajdź ludzi, którzy zorganizują porwanie. Doświadczonych w...

– ...użyciu przemocy? – podrzucił uprzejmie Pardew.
Hrabia przecząco pokręcił głową, myśląc, że Pardew z upodobaniem go prowokuje.

– W uprowadzeniu – podkreślił. – Na tyle odpowiedzialnych, żeby nie wyrządzili krzywdy.

– Rozumiem. To będzie dużo kosztowało. Porwanie to fraszka, natomiast odpowiedzialność jest bardzo droga.

– Oczywiście – przyznał niechętnie hrabia i popchnął sakiewkę ku rozmówcy, który zręcznym ruchem wsunął ją do kieszeni. – Czy Methven wybiera się na Golden Isle?

– Nie, milordzie.

– Potrzebuję więcej informacji dla mojego kontaktu tam, na miejscu.

– To będzie wymagało dodatkowego wydatku. Oficerowie królewscy ostrożnie wybierają ludzi, którym zdecydują się zaufać.

Cardross zmiął w ustach przekleństwo. Tym draniom ciągle mało. Rzucił na stół drugą sakiewkę, a Pardew szybko rozluźnił jej sznurki. Błysnęło złoto.

– Proszę bardzo, może pan przeliczyć zawartość jak jakiś przeklęty lichwiarz – rzucił zirytowany hrabia.

– Nie ma potrzeby. Wkrótce przekażę interesujące pana informacje pańskiemu człowiekowi. – Dopił piwo i wstał od stołu. – Interesy z panem hrabią to dla mnie prawdziwa przyjemność.

Cardross zamówił kolejną szklaneczkę brandy i zapatrzył się w ogień. Był lekko podpity i w nastroju do użalania się nad sobą. Jakie to niesprawiedliwe, biadolił w duchu, że po przegraniu fortuny musiał sprzedawać sekrety Francuzom, żeby spłacać karciane długi. Nie potrafił zrozumieć, jak to się stało, że znalazł się w tak trudnej sytuacji. Na dobitkę zanosilo się na to, że jeśli Robert Methven przejmie kontrolę nad swoimi ziemiami na północy, skończą się dochody z przemytu oraz sprzedawania mężczyzn i chłopców gangom porywającym ludzi do służby w marynarce wojennej. Gdyby udało mu się ożenić z lady Lucy MacMorlan, rozmyślał, nie tylko pokrzyżowałby najnowsze plany małżeńskie Methvena, lecz także zainkasował sześćdziesiąt tysięcy funtów jej posagu. Potrzebował tych pieniędzy i na nie zasługiwał.

Musi działać szybko. Na szczęście był na tyle przewidujący, że

dawno temu umieścił swojego szpiega w domu księcia Forres.
Nadszedł czas, żeby ta kobieta zapracowała na swoje wynagrodzenie.

– Ostatnim razem, kiedy się widziałyśmy, przygotowywałaś artykuł na temat sonetów Szekspira. Jak zaawansowana jest ta praca?

Lady Kenton przechyliła się w stronę Lucy, żeby chrześnica mogła ją lepiej usłyszeć poprzez gwar panujący w oranżerii Durness Castle, gdzie podano popołudniową herbatę damom przybyłym na zjazd Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy.

– Pan Walsh przyjmie mój artykuł do zimowego wydania „History Review” – wyjaśniła Lucy.

– Wspaniała wiadomość! – ucieszyła się lady Kenton. – Jak zawsze sprzyja nam i chętnie publikuje teksty.

Lady Kenton była autorką opowiadań opartych na folklorze góralskim. Panie należące do Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy były powieściopisarkami i poetkami publikującymi utwory w różnych czasopismach. Lucy napawał dumą fakt, że jest wśród nich najmłodsza.

– Zastanawiałaś się na poślubieniem Wilfreda Cardrossa? – zagadnęła lady Kenton. – Jestem pewna, że twojej drogiej mamie podobałby się ten związek.

Lucy zdawała sobie sprawę z tego, że matka chrzestna, mając poczucie misji, nie przestanie jej nagabywać.

– Nie mogę za niego wyjść, droga cioteczko. – Lucy uznała, że chociaż swoją szczerością może urazić chrzestną matkę, woli, aby nie było między nimi niedomówień w tej sprawie. – Nie lubię go.

– Ciągle jesteś wierna pamięci lorda MacGillivraya – z wyraźnym niezadowoleniem zauważyła lady Kenton. – Twój ojciec postąpił nierozsądnie, w swoim czasie godząc się na zaręczyny. Ten mól książkowy był tak stary, że mógłby być twoim dziadkiem. Doprawdy, Lucy, co to za pomysł wiązać się z kimś, kto jedną nogą znajdował się w grobie. Cieszę się, że umarł przed ślubem. Wykończyłby się w noc poślubną, a z tego wyniknąłby skandal i nieprzyjemności dla ciebie – zakończyła dobitnie lady Kenton, pozwalając sobie na brutalną szczerść.

Lucy czuła, jak na policzki wypływają jej rumieńce. Nie zamierzała zwierzać się chrzestnej matce, że ona i lord MacGillivray zamierzali spędzić noc poślubną na ożywionej dyskusji na temat epickich poematów Jamesa MacPhersona. Otworzyła wachlarz, żeby

ochłodzić twarz. Odniosła wrażenie, że sznurówka gorsetu została zaciągnięta zbyt ciasno. Zawsze tak było, gdy ktoś poruszał temat jej zaręczyn.

Drzwi do oranżerii otwarły się i do środka wszedł Robert Methven. Był ostatnią osobą, którą Lucy spodziewała się tu spotkać. Zdjął przemoczony na deszczu płaszcz podróżny, pod którym miał stosowny strój. Potężnej postury, energiczny i zdecydowany, nie pasował do otoczenia. Trudno było wyobrazić go sobie siedzącego na eleganckim krzeselku, wśród pań w pastelowych sukniach, pijących herbatę z delikatnych porcelanowych filiżanek i rozprawiających o literaturze i nauce.

– A ten co tu robi? – wyrwało się Lucy, zbyt wytrąconej z równowagi, by kontrolować mało uprzejmy ton.

Panowie byli zapraszani na zgromadzenia Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy tylko wtedy, gdy byli znanymi uczonymi, pisarzami lub publicystami. Zdaniem Lucy, Roberta Methvena trudno byłoby zaliczyć do tej kategorii. Widocznie jednak pomyliła się, skoro lady Durness wyszła mu naprzeciw, podała na powitanie dłoń, nad którą on pochylił się szarmancko i złożył na niej pełen uszanowania pocałunek. Rozmowy w oranżerii przycichły na chwilę, po czym wybuchły ze zdwojoną siłą.

Robert Methven rozejrzał się dyskretnie, po czym utkwiał wzrok w Lucy, która w pomieszczeniu wypuściła z dłoni wachlarz.

– O, widzę, że przyjechał nasz popołudniowy prelegent – odezwała się lady Kenton.

Prelegent! Lucy schyliła się po wachlarz, który upadł ze stukiem na podłogę, zadowolona, że matka chrzestna nie zauważy jej zdenerwowania.

– Pani pozwoli, lady Lucy.

Methven przyklęknął na jedno kolano i podniósł wachlarz.

– Dziękuję – powiedziała niechętnie Lucy.

– Czy mogę przysiąc się do pań? – zapytał.

– Byłoby lepiej – popatrzyła wymownie na jego zabłocone buty – gdyby najpierw przebrał się pan po uciążliwej podróży. Pański strój nie nadaje się do salonu.

– W takim razie dobrze się składa, że jesteśmy w oranżerii – stwierdził markiz i przyciągnął sobie krzesło. – Jestem pewny, że

wybaczą mi panie mój ubiór.

Lady Kenton przywołała gestem lokaja, który przyniósł dodatkową filiżankę i dzbanek świeżo zaparzonej herbaty.

– Słyszę, że przyjechał pan z prelekcją, którą wygłosi wieczorem – powiedziała Lucy. – Ciekawe, o czym będzie pan mówił – dodała z przekąsem.

– Uważa pani, że nie miałbym do powiedzenia niczego, co mogłoby panią zainteresować? A może obawia się pani, że się zblamuję? Nie mam pani tego za złe. Moja babka uważa mnie za tępaka.

– Wstrzymam się od komentarza, dopóki nie dowiem się, jaki jest temat pańskiego wystąpienia. Musi pan wiedzieć, że członkinie Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy mają wysokie wymagania.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Obiecuję dać z siebie wszystko.

Lucy nie doczekała się, by Methven zdradził temat wykładu, co ją zirytowało. Zrobił jej na złość, bo z pewnością zdawał sobie sprawę z tego, że ciekawi ją, o czym będzie mówił. Była świadoma, że wyraźne zaciekawienie jest w złym tonie, a uwaga o niezadawalających kwalifikacjach markiza jako prelegenta wręcz niegrzeczna, ale nic na to nie mogła poradzić. Robert Methven wyprowadzał ją z równowagi.

– Jak dowiedział się pan o Stowarzyszeniu Błękitnej Pończochy? – zapytała.

– Tyle pytań naraz; pochlebia mi pani zainteresowanie.

– Nie interesuje mnie pan, tylko pańskie źródło informacji.

– Albowiem Stowarzyszenie Błękitnej Pończochy jest tylko dla wtajemniczonych?

– Właśnie.

– Może być pani pewna mojej dyskrecji.

Znowu wykręcił się od odpowiedzi, a ją ponownie ogarnęła irytacja. Patrzyła, jak dopija herbatę i ostrożnie odstawia filiżankę na stolik. Kiedy to zrobił, wstał i skłonił się.

– Panie wybaczą. Muszę przygotować się do prelekcji. Mam nadzieję, że pani jej nie opuści, lady Lucy.

– To zależy od tematu – odrzekła.

Roześmiał się.

– Zawsze jest pani taka niecierpliwa? Nie przypuszczałem. –

Pochylił się do jej ucha tak nisko, że musnął je wargami. – Niekiedy – dodał cicho – najlepsze jest oczekiwanie. – Wyprostował się i odszedł.

– Co za prowokacyjne zachowanie! – wybuchła Lucy.

Nie miała zwyczaju oceniać ludzi, zwłaszcza publicznie, ale Robert Methven za każdym razem wyprowadzał ją z równowagi do tego stopnia, że nie potrafiła nad sobą zapanować. Obejrzał się na nią i zrobiło się jej gorąco. Nie było to nieprzyjemne, ale mocno niepokojące.

– Dlaczego go nie lubisz? – zapytała lady Kenton.

– Jest dokładnie na odwrót – odparła Lucy. – To on mnie nie lubi.

– Jest bezpośredni, nie taki jak edynburscy galanci. Nie zauważyłam jednak, żeby cię nie lubił.

– Nie czuję się przy nim swobodnie.

To było wszystko, do czego mogła się przyznać Lucy, którą Robert Methven zarówno fascynował, jak i peszył. Mówiąc dokładniej, krępowało ją własne zachowanie w jego towarzystwie.

– Zbyt dużo czasu spędzasz wśród moli książkowych – orzekła lady Kenton. – Nie sądzę, że nie doceniam mężczyzn o zainteresowaniach intelektualnych, uważam jednak, że mężczyzna powinien być bardziej przyziemny i męski. Robert Methven jest bardzo męski, a na dodatek bogaty, przystojny i inteligentny. Podejrzewam, że wie, co się liczy w małżeńskim łożu, i potrafi obdarzyć kobietę wielką przyjemnością.

Lady Kenton wyrażała się zbyt otwarcie o takich sprawach, czym wprawiała Lucy w zakłopotanie.

– Sprawy alkowy nie są dla mnie najważniejsze w małżeństwie, cioteczko Emily – powiedziała. – Liczę na obcowanie umysłów, nie ciał. Lord MacGillivray miał zaletę, którą cenię najbardziej: wytrawny intelekt.

– Jestem tego w pełni świadoma, kochanie, i dlatego uważałam go za nieprzeciętnego nudziarza. Za czasów mojej młodości marzyłyśmy o bohaterach przybywających z mieczami w dłoniach wprost z pól bitewnych. Dzisiejsza młodzież obniżyła wymagania, niestety.

Bohater wprost z pól bitewnych... Tak, to trafne sformułowanie, pomyślała Lucy. Z lorda Methvena emanowała siła kojarząca się z wojownikami z ubiegłych stuleci, ludźmi z północnych wysp, którzy

mieli w żyłach krew wikingów i byli silnie zakorzeni w szkockim dziedzictwie. Nie wyobrażała sobie, że byłaby zdolna ulec namiętnościom. Prowadziła uporządkowane życie, które toczyło się wolno i spokojnie, dokładnie tak, jak tego chciała. Niech tak pozostanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Prelekcja Roberta na temat astronomii i nawigacji, urozmaicona spostrzeżeniami z jego podróży, została przyjęta entuzjastycznie. Panie oklaskiwały go gorąco i zmusiły, żeby został na kolacji. Robert nie wzbraniał się, bo jadąc do Durness nie liczył na więcej niż zimny posiłek i niewygodne łóżko w miejscowej gospodzie. Uznał również, że zyska dodatkową okazję do rozpoczęcia starań o względy lady Lucy.

Przed wyjazdem długo rozważał, jaką obrać wobec niej strategię, i nic nie wymyślił. Najchętniej poszedłby prosto do celu, wiedział jednak, że gdyby ni stąd, ni z owąd oświadczył się lady Lucy, dostałby kosza. Zastanawiał się też, czy jej nie porwać. Urowadzenie, jako metoda doprowadzenia wybranki do ołtarza, było w obecnych czasach raczej niepochwalone, on był jednak przekonany, że jemu uszłoby na sucho. Wadą takiego rozwiązania było to, że Lucy byłaby jeszcze bardziej niechętnie do niego usposobiona, a on uważał, że zmuszanie kobiety siłą do zamążpójścia jest niegodne mężczyzny. Tyle że on znajdował się w wyjątkowej sytuacji.

Panie miały przed kolacją zaplanowane kolejne zajęcia i mogły wybierać między dwiema propozycjami. Robert nie został zaproszony na żadne z nich, więc snuł się bez celu po korytarzach zamkowych. Z jednego z salonów dobiegały dźwięki egzotycznej wschodniej muzyki, którym towarzyszyły ożywione głosy i śmiechy uczestniczek spotkania. Co działo się za zamkniętymi drzwiami, że on nie mógł w tym uczestniczyć?

Zebrane przed kolacją w bawialni damy były w bardzo dobrych humorach. Robert odnalazł lady Lucy siedzącą na sofie w towarzystwie siostry, lady Mairi MacLeod, i zapytał, czy może się do nich przyłączyć. Zauważył, że Lucy miałyby ochotę odmówić, ale lady Mairi ucieszyła się na jego widok i wskazała mu miejsce obok siebie.

– Bardzo nam się podobała pańska prelekcja, lordzie Methven – zainicjowała rozmowę lady Mairi. – Lucy była zachwycona. Mówiła mi, że nie podejrzewała pana o taki dar skupiania na sobie zainteresowania audytorium.

– Cieszę się, że miałem okazję rozwiać pani uprzedzenia wobec mnie, lady Lucy. Liczę na to, że następne zajęcia były równie

interesujące jak mój odczyt. Zdaje się, że uczyły się panie rysować z udziałem żywego modelu – powiedział Robert.

– Nie brałam udziału w tych zajęciach, bo nie mam uzdolnień plastycznych – wyjaśniła Lucy

– To tylko dodatkowy powód, żeby próbować – stwierdziła Mairi. – Nie uważa pan?

– Jestem pewny, że panowie, którzy pozowali jako modele, potrafiliby zainspirować każdą damę.

Mairi zachichotała, ale Lucy pozostała niewzruszona.

– Rysunki z natury stanowią poważną formę sztuki – oznajmiła.

– A ile dostarczają radości – wtrąciła Mairi. – Byłybyśmy zachwycone, gdyby pan zechciał nam kiedyś pozować, lordzie Methven.

Mairi MacLeod była flirtiarą. Bez wątpienia jej śmiałość brała się stąd, że jako była mężatka zyskała doświadczenie w sprawach damsko-męskich. Natomiast Lucy, zdaniem markiza, nie interesowały flirty, nie była jednak również naiwną debiutantką. Świadczyła o tym jej spontaniczna reakcja na pocałunek w Brodrie Castle. Robert pożałował, że o tym pomyślał, gdy przyłapał Mairi na zerkaniu na jego spodnie, i poczuł się zażenowany.

– Jestem zaszczycony zaproszeniem do pozowania, obawiam się jednak, że zawiódłbym oczekiwania pań.

– Wątpię, czy rzeczywiście ma pan jakiegolwiek obawy w tym względzie. – Mairi ciągle patrzyła w tym samym kierunku. – Moim zdaniem, jest pan wielce utalentowany we wszystkich dziedzinach.

– Skoro nie brała pani udziału w lekcji rysunku – zwrócił się Robert do Lucy, aby zmienić temat – to przypuszczam, że uczestniczyła pani w lekcji tańca wschodniego.

– Skąd pan wie? Podglądał pan?

– Nie zaglądałem przez dziurkę od klucza, ale rozpoznałem muzykę i domyśliłem się, że musiały panie tańczyć. Podobało się pani?

– To było całkiem odmienne...

– Inne niż salonowy kadryl czy kotylion?

– Tak, a nawet niż skoczny szkocki reel. Uważam, że komponowanie muzyki ma coś wspólnego z matematyką, jednak ta muzyka jest niezwykle zmysłowa.

W tej chwili Robert wolałby, żeby nie było obok nich lady Mairi.

Chciałby znaleźć się z Lucy w przytulnym miejscu, gdzie mogliby sam na sam kontynuować rozmowę i przekonać się, dokąd by ich zawiodła. Racjonalne podejście Lucy do wszystkiego, co zmysłowe, było zarazem naiwne i intrygujące. Czas najwyższy, aby lady MacMorlan przebudziła się i poznała świat, w którym królują rozpalone namiętności, uznał Robert.

Mairi, jakby domyślając się, o czym markiz myśli, wstała i oznajmiła, że musi poszukać lady Kenton, bo ma z nią do pomówienia. Robert zauważył wyciągniętą dłoń Lucy, pragnącej zatrzymać siostrę. Uniosła się z kanapy, jakby również chciała go opuścić.

– Mam nadzieję – pospieszył z prośbą – że nie zostawi mnie pani samego na łasce tyłu dam, lady Lucy.

– Jestem przekonana, że dałby pan sobie z nimi bez trudności radę. Opędzałby się pan od nich laską.

– Właśnie tego chciałbym uniknąć. Byłaby to wielka nieuprzejmość i z pewnością damy mogłyby się na mnie obrazić.

Lucy uśmiechnęła się i zrezygnowała z ucieczki.

– Przypuszczałam, że w swojej bezgranicznej szczerości nie dba pan o to, że może kogoś obrazić.

– Nawet ja muszę wyznaczać sobie granice. Odnoszę wrażenie, że pani nie czuje się swobodnie w moim towarzystwie i dlatego zamierzała czmychnąć – zauważył markiz.

– Zapewniam pana, że czuję się swobodnie w każdym towarzystwie – odpowiedziała chłodnym tonem.

– Nie ma we mnie niczego specjalnego? Jestem zawiedziony. Myślałem, że być może po naszym ostatnim spotkaniu... – Robert znacząco zawiesił głos.

Lucy zarumieniła się i odwróciła wzrok. Wyglądała na mocno zmieszaną.

– Jest mi naprawdę bardzo przykro. Ogromnie żałuję, że rozbiłam pańskie narzeczeństwo.

Robert uznał, że mówiła szczerze. Świadczyła o tym strapiona mina i z rezygnacją opuszczone ramiona. Do tej pory było mu wszystko jedno, czy lady Lucy żałuje swojego postępu i czy on wierzy w jej skruchę. Teraz jednak, skruszona i bezradna, obudziła w nim instynkt opiekuńczy, z czego nie był zadowolony. Nie miał czasu na sentymenty, potrzebował szybko ożenić się z właściwą kandydatką,

a właśnie taką była lady Lucy.

– Nie gniewam się już – powiedział oschle.

– Ma pan wszelkie do tego prawo.

– Być może. – Unikał jej wzroku, żeby nie poddawać się niechcianemu uczuciu.

– Pomyślałam, że mogłabym panu pomóc, pisząc kilka listów, którymi pan mógłby zjednać sympatię innej damy... – Urwała zakłopotana, chyba uświadamiając sobie niestosowność tej oferty.

Tymczasem markiz poczuł się jak łajdak, bo dokładnie wiedział, jak ona mogłaby mu pomóc.

– Lepiej, żeby pani nie próbowała – powiedział.

– Tak, to była nietaktowna propozycja. Gdyby pan miał inny pomysł...

– Na pewno pani go przedstawię. – Uznał, że czas zmienić temat.

– Na marginesie, lord Brodrie nie był zadowolony, gdy odkrył, że zniknęło sporo jego najlepszego czerwonego wina. Jak się domyślam, pani je wypila. Przepraszam, jeśli mój pocałunek tak bardzo wytrącił panią z równowagi, że musiała pani posiłkować się winem.

– Musimy o tym rozmawiać? Wypiłam, bo byłam w szoku.

– Nie miałem pojęcia, że moja technika była tak mało finezyjna.

– Skończmy z tym tematem. Moja reputacja...

– Ucierpi daleko bardziej – przerwał jej markiz – gdy rozejdzie się, że bierze pani udział w lekcjach tańca wschodniego lub rysunku z udziałem żywych modeli. Istotnie, program działalności Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy jest bardzo interesujący. Nic dziwnego, że trzymacie go, panie, w tajemnicy.

Rumieniec Lucy nabrał barwy szkarłatu.

– Nasze zainteresowania mają charakter czysto intelektualny – oświadczyła, zmagając się z zakłopotaniem.

– Muszę wierzyć na słowo – odparł markiz.

– Stosuje pan podwójne standardy. Nikt nie potępia Rubensa, że malował nagie kobiety. Nikt nie wypomina dżentelmenom, że w Edynburgu chodzą do klubów, gdzie pielęgnują swoje zamiłowania. Natomiast kobietom wiele się zabrania.

Wygląda prześlicznie i elegancko w skromnej sukni z białego jedwabiu wyszywanego srebrną nicią, pomyślał Robert. Niezwykle rude włosy, wysoko spiętrzone, były spięte brylantowymi spinkami.

– Dziwne – zauważył – że pani, tak na zewnątrz poprawna, przestrzegająca wymogów, pisze erotyki, pije wino i tańczy zmysłowe tańce. Czy pani poprawność jest tylko na pokaz?

Wreszcie udało mu się ją sprowokować, sądząc po błysku w oczach.

– Jestem poprawna, wręcz doskonała – podkreśliła. – Każdy to przyzna.

– Każdy tak myśli – sprostował. – A może oszukuje pani również siebie, nie tylko otoczenie, i rzeczywiście wierzy, że nie ma w pani ani odrobiny namiętności?

Robert przysunął się bliżej i musnął palcami dłoni Lucy w miejscu, gdzie rękawiczka odsłaniała skórę. Zauważył, że zadrżała, i uśmiechnął się z satysfakcją. Podejrzewał, że umyślnie stłumiła w sobie zmysłowość, a on byłby szczęśliwy móc uświadomić jej, co straciła.

– Proszę mi powiedzieć, jakich cech szukałaby pani w mężczyźnie, którego zgodziłaby się pani poślubić?

– Dlaczego pan pyta?

– Dziwi mnie, że odrzuciła pani wielu mężczyzn gotowych się ożenić.

– Istotnie, budzi to zdziwienie. Byłam zaręczona z lordem MacGillivrayem, który w mojej ocenie uosabiał ideał dżentelmena. Nie spodziewam się wyjść za mąż, gdyż nie sądzę, bym poznała kogoś, kto mu dorówna.

Powiedziała to jednym tchem jak dobrze wyuczoną lekcję, doszedł do wniosku Robert, i dlatego te słowa trąciły fałszem. Nie sądził, by Lucy kłamała z premedytacją, podejrzewał raczej, że tak często powtarzała te zdania, iż w końcu w nie uwierzyła.

– Ideał dżentelmena? – powtórzył. – Pani wybaczy, ale jak żyję, nie słyszałem takiej bzdury.

Lucy wyraźnie się zmieszała. Widocznie nie nawykła do tego, by ktoś kwestionował jej prawdomówność.

– Dziękuję, że podzielił się pan ze mną swoją opinią. Zapomniałam, że potrafi pan być dosadny.

– Ponieważ jestem szczery?

– Ponieważ jest pan obcesowy. Pańskie maniery pozostawiają wiele do życzenia.

– Podejrzewam więc, że nie pasuję do pani wyobrażenia o idealnym kandydacie na pani męża.

– Z całą pewnością nie – przyznała, zachowując uprzejmy ton. – Jest pan zanadto bezpośredni i mało subtelny.

– Czy mam inne wady? – zapytał prowokacyjnie markiz.

Chciał wytrącić Lucy z równowagi. Obserwował, jak wahała się, czy nie zrezygnować z nieposzlakowanych manier i porządnie go zgromić.

– Jest pan za wysoki i za... szeroki – powiedziała po namyśle, najwyraźniej stawiając na szczerość.

Robert o mało się nie roześmiał.

– Zgadzam się – powiedział. – Jestem wysoki i szeroki w barach, ale nic nie mogę na to poradzić.

– Nie jest pan erudytą – wytknęła markizowi Lucy.

Dla Roberta interesujący był fakt, że musiała sporo o nim rozmyślać, skoro miała w zanadrzu listę jego wad.

– Mogłabym wyjść za mąż tylko za mężczyznę o intelektualnych zainteresowaniach, spokojnego, ceniącego raczej aktywność umysłową niż fizyczną. Pan jest zbyt żywiołowy.

– Nie docenia mnie pani, i to pod wieloma względami. Nie jestem erudytą, ale czytam, na przykład czytałem listy pani autorstwa. – Robert utkwiał w niej wzrok i zaczął recytować:

– „Twoja nieziemska uroda kusi mężczyznę, by spróbował...”

Widoczne w wycięciu białej sukni piersi Lucy wznosiły się i opadały przy każdym ciężkim oddechu. Robert kontynuował:

– „...skraść ci pocałunek i bez końca spijać do ostatniej kropli rozkosz z twych słodkich ust... upajać się twoją słodyczą, wielbić cię w namiętym zachwycie...”

Lucy wydała z siebie jęk, który nieoczekiwanie przyprawił Roberta o dreszcz podniecenia. Zapragnął zanieść ją na górę, zedrzyć z niej elegancką suknię i kochać bez końca. W tym momencie zadzwonił gong wzywający na kolację, a Lucy silnie drgnęła. Markiz zauważył zbliżającą się ku nim lady Durness, która wcześniej zapowiedziała, że on poprowadzi ją do jadalni. Wstał grzecznie, mając nadzieję, że będzie mógł to zrobić i nie narobić sobie wstydu.

– Skorzystam z przywileju gospodyni i porwę pana, lordzie Methven! – zawołała lady Durness. – Lady Lucy, liczę na to, że pani

nie będzie mi miała tego za złe.

– Postaram się – odparła sucho Lucy. W mgnieniu oka odzyskała swój zwykły spokój. – Życzę smacznego, markizie.

Przed kolacją Robert suto opłacił kamerdynera, żeby nakrycia jego i lady Lucy znalazły się obok siebie, ale gdy znalazł swoje miejsce przy stole, okazało się, że został wymanewrowany. Lucy przewidująco zdążyła sprawdzić, jak zostali rozsadzeni goście, i zadbała o to, żeby usiąść jak najdalej od niego.

W czasie kolacji ani razu nie spojrzała w jego stronę i Robert nie bez rozbawienia zauważył, że jej obojętność działa mu na nerwy. Do tej pory brak zainteresowania dam nie robił na nim wrażenia, nie bywał też zazdrosny. Ta kobieta była jednak wyjątkowa. Doszedł do wniosku, że jest mu przeznaczona.

Zamierzał po kolacji kontynuować rozpoczętą rozmowę, żeby mając na uwadze nauki babki, spróbować dalszych umizgów, lecz zdawał sobie sprawę, że to wcale nie jest takie proste. Czuł, że nie jest Lucy kompletnie obojętny, lecz ona z sobie tylko wiadomych względów stara się tego nie okazywać. Zdążył się zorientować, że ma niechętnie nastawienie do małżeństwa w ogólności, a on jako kandydat na męża szczególnie jej nie odpowiada. Honor nie pozwalał mu zmuszać kobiety do związania się z nim węzłem małżeńskim, ale po raz pierwszy w życiu Robert stanął przed wyborem między honorem a widmem zagłady klanu. Nie miał wątpliwości, co jest ważniejsze.

Po kolacji towarzystwo przeszło do salonu i Robert zauważył, że Lucy zamierza się wymknąć. Zdziwiło go, że tak wcześnie chce położyć się spać, więc podążył za nią dyskretnie. Zniknęła za drzwiami jednego z pokojów na pierwszym piętrze. Robert czekał. Po chwili zza drzwi wystawiła głowę pokojówka. Zauważyła go i dała mu znak głową, żeby wszedł.

– Jeszcze za wcześnie – powiedziała. – Moja pani nie jest gotowa. Tam proszę zaczekać – dodała, wskazując inne drzwi.

Robert poczuł się tak, jakby wylano mu na głowę kubeł zimnej wody. Lucy oczekiwała mężczyzny i dlatego tak spieszyła się do siebie po kolacji. Ogarnęła go złość. Nie dalej jak tydzień temu wyraził się, że ożeniłby się z każdą, nawet niezbyt cnotliwą kobietą, by uratować rodowe włości. Czyżby Lucy należała do takich kobiet? W Brodrie zapewniała, że jest niewinna. Przypomniał sobie sformułowania z

miłosnych listów, które wyszły spod jej pióra. Jakież z niego głupiec! Oczywiście, że nie była niewinna. Manipulowała nim od początku. Kłamstwo miała we krwi, a on jej uwierzył.

Zjawiała się pokojówka i Robert poszedł za nią do garderoby. Zostawiła go znowu, starannie zamykając za sobą drzwi. Przystawił do nich ucho.

– Już jest, milady – usłyszał jej głos. – Prosiłam, by zczekał w garderobie. Wiem, że to nie moja sprawa, ale to nie jest w porządku.

– Mówisz bzdury, Sheena – powiedziała Lucy. – To jest terapia. Lady Kenton ją zaleca, a ona wie, co wypada, a co nie wypada.

Terapia? W ostatnich czasach rozwiązłość nie budziła takiego potępienia jak niegdyś, ale Robert nie słyszał, by nazywano ją terapią.

– Nie podoba mi się to – znowu odezwała się pokojówka. – To jawne pogaństwo.

– Sheena, dość tych bredni – zniecierpliwiła się Lucy. – Pomóż mi się rozebrać.

Rozebrać?! Lucy MacMorlan rozbierała się na powitanie mężczyzny w swojej sypialni! Robert puścił wodze wyobraźni. Naga Lucy z rozpuszczonymi do pasa ognistymi włosami, na wpół osłaniającymi białe piersi, czekała na kochanka, który zbliżał się ku niej z wciągniętymi ramionami...

– Proszę pani... – Pokojówka podjęła ostatnią próbę.

– Wprowadź go, proszę – ucięła Lucy.

Robert odskoczył od drzwi.

– Pani mówi, że można wejść – oznajmiła pokojówka, otworzywszy drzwi. Przybrała przy tym ton niebudzący wątpliwości, że gdyby to od niej zależało, przepędziłaby go z zamku.

Robert podążył za nią do obszernego pokoju. Wielkie okno w wykuszu wychodziło na morze. Grube aksamitne zasłony były rozsunięte. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlały wnętrze pokoju i oświetlały kobiecą postać, leżącą na szezlongu na środku wnęki okiennej. Stał jak wryty. Przez chwilę zdawało mu się, że to znowu wybryk wybujałej wyobraźni.

Lucy leżała na brzuchu z głową odwróconą w bok i zamkniętymi oczami, jakby spała. Jedwabna narzuta przykrywała ją od pasa w dół, ale plecy były nagie. Delikatna szyja, wsparta na aksamitnej poduszce, była wygięta we wdzięczny łuk i aż kusila, żeby złożyć na niej usta i

wodząc nimi, obsypać pocałunkami plecy. Robertowi zaschło w gardle. Pod narzutą rysowały się wypukłe pośladki i długie nogi. Ramiona, białe i szczupłe, leżały wzdłuż ciała. Lucy nie otworzyła oczu i nie przywitała się. Robert nie wiedział, co robić. Od razu rozpocząć pieszczoty? Wtedy odezwała się pokojówka.

– Na co czekasz? Miał być masaż. Moja pani nie będzie leżała wiecznie, proszę nie tracić czasu.

Robert dostrzegł flakonik z oliwką na stoliku przy szezlongu. Poczłł słodki i delikatny aromat lawendy. Na krześle nieopodal stolika leżał złożony ręcznik. Co za ulga! Został pomyłkowo wzięty za masażystę. Masaże to jeszcze jeden sekret pań ze Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy.

– No? – nagliła pokojówka.

Dżentelmen wytłumaczyły, że to pomyłka. Przeprósłby i się wycofał. Robert postanowił skorzystać z okazji. Nalał oliwkę na dłonie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Lucy zamierzała przyjąć masażystę chłodno, acz uprzejmie, tymczasem w ostatniej chwili, gdy się do niej zbliżał, sparaliżowała ją nieśmiałość. Słyszała przytłumione grubym dywanem kroki. Sheena miała przykazane nie opuszczać pokoju. Zresztą nie wyszłaby nawet wtedy, gdyby otrzymała takie polecenie. Była zgorszona, dowiadując się, że lady Kenton postanowiła wypożyczyć lady Lucy swojego masażystę. Matka chrzestna zapewniała, że Anton jest profesjonalistą, a co więcej, nie interesuje się kobietami. Mimo to Lucy czuła się bardzo nieswojo. Postanowiła, że doliczy do dwóch, włoży peniuar i wyprosi go z pokoju. Raz... dwa...

W tym momencie poczuła na sobie jego dłonie. Okazały się gorące, nie zimne, jak sobie wcześniej wyobrażała. Ześlizgnęły się z jej karku na ramiona i na łopatki. Wokół rozszedł się słodki i odurzający zapach olejku lawendowego. Miarowe ruchy dłoni masujących jej plecy od karku poprzez żebra do talii i z powrotem, działały rozluźniająco. Po chwili Lucy poczuła się wręcz błogo.

– Miłe uczucie – odezwała się, nie otwierając oczu.

– To terapia, milady – przypomniła jej czujna pokojówka. – Od pisania mojej pani doskwiera ból w lewym ramieniu – poinformowała masażystę.

– Plecy też bolą – szepnęła Lucy.

Masażysta zaczął dosyć mocno ugniatać palcami mięśnie łopatki. Uczucie przyjemności graniczyło z bólem do tego stopnia, że Lucy chciała zaprotestować, ale po chwili ból złagodniał i wyrwało się jej z ust westchnienie ulgi. Wydawało się, że masażysta roześmiał się cicho.

– Lepiej? – mruknął.

– O tak, dziękuję.

Lucy słyszała, że Sheena burczy pod nosem niezadowolona, ale nie zwracała na nią uwagi. Masażysta wykonywał dość silne ugniatające ruchy, przeplatane delikatnymi, posuwistymi pociągnięciami od karku po talię. Niekiedy jego dłonie ześlizgiwały się na boki, muskając piersi Lucy, rozplaszczone od leżenia na brzuchu. Wrażenie było przyjemne, a gdy dotknął jej piersi jeszcze raz, przyjemne ciepło rozlało się po całym ciele.

Ze zdumieniem uzmysłowiła sobie, że ma chęć odkryć się zupełnie i wystawić ciało na te przyjemne doznania. Kiedy dłonie masażysty kolejny raz musnęły jej piersi, z trudem powstrzymała wyrywający się z ust jęk. Odkryła, że jest jej przyjemnie, gdy stwardniałe brodawki ocierają się o koc, na którym leżała. Nigdy czegoś podobnego nie doświadczyła. Uzmysłowiła sobie nagle, że porusza się pod dotykiem dłoni masażysty, i czyni to w sposób zupełnie od niej niezależny. Nie chciała tego, ale nic nie mogła na to poradzić. Chęć zapomnienia się, oddania się przyjemności, była silniejsza od głosu rozumu.

Ktoś zapukał do drzwi. Ręce masażysty znieruchomiały, zaraz jednak wznowiły powolne ruchy. Przerwa, a nie pukanie, wyrwała Lucy z kokonu błogości. Otworzyła oczy. Sheena poszła zobaczyć, kto przyszedł. Rozmawiała z tym kimś przez chwilę, po czym wróciła do swojej pani.

– Milady, tam jest jegomość, który twierdzi, że przysłała go pani chrzestna matka, i zapewnia, że jest masażystą. Jeśli to prawda, kim jest ten?

Lucy usiadła i przyciągnęła do piersi narzutę, którą była przykryta do połowy. Nie mogła uwierzyć w to, co widzi. To niemożliwe, myślała gorączkowo, że on dotykał jej w taki sposób. To straszliwa pomyłka!

Robert Methven wytarł ręce o ręcznik, który Sheena powiesiła na oparciu krzesła. Nie udawał ani zaskoczonego, ani zmieszanego faktem, że został przyłapany na podszywaniu się pod masażystę.

– Co, u diabła, pan tu robi?! – wykrzyknęła oburzona Lucy.

– Pani pokojówka wzięła mnie za kogoś innego – wyjaśnił markiz.

– To oczywiste! Dlaczego pan nie wyprowadził jej z błędu?! – Lucy nie potrafiła się uspokoić.

– To nie takie trudne do zrozumienia, przynajmniej dla dżentelmena. Pochlebiam sobie, że udało mi się wypędzić ból z pani ramienia. Mam niejaki doświadczenie w tej materii, jako że byłem wprowadzany w sztukę masażu podczas podróży...

Lucy uciszyła go zrezygnowanym machnięciem ręki. Zamilkł, ale nie przestawał wpatrywać się w nią rozbawionym wzrokiem.

– Sheena, odpraw tego masażystę spod drzwi – poleciała

pokojówce. – Pan też będzie musiał wyjść. Pańskie zachowanie jest niedopuszczalne – zwróciła się do Methvena.

– Widzę, że jest pani zdenerwowana.

– Nie jestem zdenerwowana, tylko wściekła.

Kłamała. Była poruszona i zarazem zła. Najbardziej trapiło ją to, że wciąż czuła na sobie jego dłonie i pamiętała, jak było jej przyjemnie, gdy jej dotykał. Przecież to nienormalne, aby masaż dostarczał takich wrażeń. To miała być tylko terapia. Tymczasem jeszcze teraz była podminowana i nic nie mogła na to poradzić. Czekwała, by Methven zaczął się kajać, ale najwyraźniej nie zamierzał. Zrobiła groźną minę.

– Na co pan czeka?! Prosiłam, żeby pan wyszedł.

Pocałunek, który wymienili w bibliotece w Brodrie, wystarczająco wytrącił ją z równowagi, wywołując nieznanie wcześniej doznania. To, co przydarzyło się przed chwilą, przekraczało wszelkie granice. Tymczasem markiz podszedł nonszalanckim krokiem do okna. Zachowywał stoicki spokój, podczas gdy ona miała wrażenie, że spali się ze wstydu. Powinno być na odwrót. To przecież on dopuścił się rażącego wykroczenia.

– Rad byłbym spełnić pani polecenie, lecz sądzę, że powinniśmy wspólnie zastanowić się, jaką szkodę ten incydent wyrządził pani reputacji.

– Trzeba było pomyśleć o tym, gdy postanowił pan udawać masażystę mojej chrestnej matki – skarciła go.

– Prawdę powiedziawszy, pomyślałem – odparł. – Wcześniej rozważałem skompromitowanie pani, a los nastęrczył mi sposobność, więc z niej skorzystałem.

Lucy z wrażenia zabrakło tchu.

– Nie rozumiem – powiedziała po dłuższej chwili.

– Myślę, że pani doskonale rozumie.

– To zemsta za listy? – Starła się panować nad głosem, ale lekkie drżenie zdradzało, że się bała. – Zrobił pan to umyślnie, żeby mnie zrujnować?

– Nawet ja tak bym nie postąpił – oświadczył z krzywym uśmiechem Robert.

Lucy nie potrafiła odczytać wyrazu jego twarzy. Czuła, że znalazła się na straconej pozycji, niepewna, jak się zachować.

– Przyznaję, że swoim postępowaniem naraziłem na szwank pani

reputację, i dlatego poczytuję sobie za honor zaproponować małżeństwo.

Lucy uważała się za osobę poukładaną, akuratną, wręcz doskonałą. Nigdy nie przyszłoby jej do głowy, że coś takiego jak dziś może się zdarzyć. A jednak: okryta jedwabną narzutą, ubrana tylko w majtki, wpadła w pułapkę małżeńską zastawioną przez Methvena. Nie może wyjść za mąż za markiza, w ogóle za żadnego mężczyznę. Sama myśl o tym, że rozpocznie życie małżeńskie i zajdzie w ciążę, była przerażająca. Nie mogła jednak wyjawić Robertowi, dlaczego tak podchodzi do związku z mężczyzną, bo musiałaby ujawnić sekret Alice, ożywić pogrzebaną przeszłość, a tego nie chciała.

– Uważam, że okazałby się pan łajdakiem, gdyby mnie w ten sposób wykorzystał – powiedziała.

– Obawiam się, że ma pani rację.

– Człowiekiem bez honoru – podkreśliła.

– To trochę za surowa ocena.

– Dla pana to może nic nadzwyczajnego zawierać małżeństwo z kimś, kogo ledwie pan zna – dodała z przekonaniem – ale ja nie zwykłam tak postępować.

– Trafiła pani – przyznał ze śmiechem markiz. – Rzeczywiście, nie znałem za dobrze panny Brodrie, ale nam chyba dobrze szło zapoznawanie się ze sobą.

Rozmowa nie toczyła się tak, jak życzyłaby sobie tego Lucy.

– Nie potrafię się skoncentrować, gdy jestem na wpół naga! – wybuchła. – Niech pan wyjdzie, żebym mogła się ubrać, a wtedy będziemy kontynuować rozmowę.

– Naturalnie. Wygląda pani zachwycająco i nie mam powodów do narzekań, ale skoro pani nalega... Uwaga, okrycie się zsuwa.

Lucy ze złością zaciągnęła szczelniej wokół siebie narzutę i ruszyła do garderoby, gdzie czekała na nią Sheena. Spodziewała się wymówek, że dała się namówić na masaż, i nie zawiodła się.

– Mówiłam pani... – zaczęła pokojówka.

– Wiem – ucięła Lucy.

– Mogę zaświadczyć, że nie zdarzyło się nic niestosownego.

– To na nic.

Lucy wiedziała, że świadectwo pokojówki nie będzie miało znaczenia, jeśli sprawa się wyda. Będzie doszczętnie

skompromitowana i jedynym sposobem ocalenia reputacji byłby ślub z Robertem Methvenem. Znalazła się w pułapce. Wyrzekła się wszelkich myśli o miłości i małżeństwie po śmierci Alice. Żal, wstyd, rozgoryczenie związane z utratą siostry miały wpływ na jej psychikę i zaważyły na nastawieniu do mężczyzn. Nie wyobrażała sobie pożycia z mężem i macierzyństwa i wcale za tym nie tęskniła. Przeciwnie, bała się następstw zbliżenia i nie chciała do niego dopuścić. Uważała, że w tej sytuacji byłoby nieuczciwością oddawanie ręki jakiemukolwiek mężczyźnie.

– Nie może pani za niego wyjść, milady – wyraziła swoje zdanie Sheena.

– Wiem.

Zegar wybił pół godziny. Dłużej nie dało się odwlekać konfrontacji z Robertem Methvenem. Lucy miała obawy, że jeśli wkrótce nie wyłoni się z garderoby, markiz wejdzie bez uprzedzenia, aby się upewnić, czy ona nie uciekła przez okno. Przejrzała się w lustrze. Wyglądała tak samo jak zwykle. Doskonała w każdym calu i elegancka. Nic nie wskazywało na to, że ogarnął ją strach.

Methven stał tam, gdzie go zostawiła, z rękami w kieszeniach surduta, i wyglądał przez okno na zatokę. Czoło między brwiami przecinała głęboka bruzda. Onieśmiał wyglądem. Nie odpowiadał jej pod żadnym względem ze swoją gwałtownością, fizyczną siłą i żelaznym zdecydowaniem. Była pewna, że on nie przystanie na platoniczny związek. Potrzebował dziedzica włości, o które usilnie zabiegał. Musiała znaleźć sposób wyplątania się z tej afery, lecz nie miała pojęcia, jak to przeprowadzić bez utraty dobrego imienia.

Podszedł do niej i ujął jej dłonie w swoje ręce.

– Ślicznie pani wygląda – powiedział. – Chociaż wolałem panią owiniętą tylko narzutą.

Lucy uwolniła dłonie i odsunęła się, ponieważ dotyk markiza wytrącał ją z równowagi i przeszkadzał myśleć logicznie. W jego bliskości kręciło się jej w głowie i robiło gorąco. Zanim Robert Methven wkroczył w jej życie, nie wyobrażała sobie, że mogłaby doświadczać takich gwałtownych reakcji na widok mężczyzny.

– Małżeństwo jest interesem, markizie – zaczęła, starając się panować nad strachem. Zajęła miejsce w fotelu i starannie wygładziła spódnice. – Porozmawiajmy więc o interesach.

– Jaka pani praktyczna, lady Lucy. Zaczynamy.
Postawił sobie krzesło naprzeciwko fotela i usiadł ze skrzyżowanymi nogami, czekając, by odezwała się pierwsza.

– Czy przyjechał pan do Durness z góry powziętym zamiarem skompromitowania mnie? – zapytała.

– Przyjechałem, żeby złożyć pani propozycję małżeńską.

– Dlaczego więc nie uczynił pan tego w godny sposób?

– Bo pani by ją odrzuciła – odparł bez wahania.

Nie mogła zaprzeczyć; tak by postąpiła.

– Proszę wybaczyć – rozwarł dłonie błagalnym gestem – nie miałem wyjścia. Musiałem znaleźć sposób na skłonienie pani do przyjęcia oświadczyn.

– Nie wybaczę panu. To szantaż. Postępuje pan niehonorowo.

– Odpowiadam honorem przed własnym klanem. Jestem mu winien lojalność w pierwszej kolejności – oświadczył Robert.

Lucy ścisnęła palcami skronie, bo zaczynała ją boleć głowa. Methven nie próbował się usprawiedliwiać ani tłumaczyć. Problem polegał na tym, że on najprawdopodobniej nie zadowolił się odmową. Zechce wiedzieć, dlaczego ona woli poświęcić swoją reputację, niż za niego wyjść. Trzeba go jednak przekonać, żeby zaakceptował odmowę. Nie miała pojęcia, jak to osiągnąć, ale to była jej ostatnia deska ratunku.

– Zdaję sobie sprawę, że pański wybór przyszłej żony jest ograniczony warunkami dziedziczenia. Czy ja jestem jedyną kandydatką spełniającą wymagania?

– Zna pani swoje drzewo genealogiczne?

– Nie ze wszystkimi szczegółami. Ma pan może przy sobie kopię dokumentu?

– Niestety, nie. Musi pani uwierzyć mi na słowo. Do rozstrzygnięcia tej kwestii zatrudniłem najlepszych prawników w Edynburgu.

Lucy w to nie wątpiła. Nie ryzykowałaby popełnienia omyłki w tak fundamentalnej sprawie. Zatem nie tędy wiodło wyjście z opresji.

– Nie miałam pojęcia, że jestem na pańskiej liście potencjalnych kandydatek na żonę – zauważyła z przekąsem.

Niżej niż Dulcibella, stwierdziła w duchu, i to ją zirykowało, choć to nie miało znaczenia. Była jednak zbyt dumna, by ustępować pola

takiej Dulcibelli. Methven uśmiechnął się, jak gdyby odgadł, o czym myślała.

– Ja też nie miałem, proszę mi wierzyć. Inaczej oświadczyłbym się najpierw pani, a w razie odmowy poprosiłbym o rękę pannę Brodrie – wyjaśnił z wyraźnym rozbawieniem w ciemnoniebieskich oczach.

– Nie mogę za pana wyjść. Proszę zwrócić się do innej damy.

– Daje mi pani kosza, czego się nie spodziewałem. Zakładałem, że po tym jak pozwoliła mi pani, będąc prawie naga, na zawarcie szokującej znajomości z własnym ciałem, uzna pani konieczność szybkiego ogłoszenia zaręczyn.

Lucy skoncentrowała cały wysiłek na niedopuszczeniu do świadomości takich słów jak: „naga”, „szokująca znajomość”, „ciało”. Niestety, nie dość skutecznie. Ogarnęło ją niewytłumaczalne podniecenie, dające o sobie znać łaskotaniem w dole brzucha i uderzeniem krwi do głowy. Mimo to nakazała sobie skupić się na znalezieniu przekonujących, racjonalnych argumentów.

– Nie zamierzam wychodzić za mąż – oznajmiła stanowczo. – Uważam, że pan postępuje niegodnie, próbując szantażem wymusić na mnie zgodę na małżeństwo.

Zdawała sobie sprawę, że to najważniejszy argument. Niestety, kiedy patrzyła w oczy Roberta, była skłonna zapomnieć o tym, co najważniejsze.

– Wiem, że nie powinno się nikogo szantażować – przyznał markiz. – Skoro mówimy o nagannym, wręcz złym postępowaniu, to jak nazwać fakt, że pani przyczyniła się do ucieczki mojej narzeczonej, pisząc dla brata erotyczne listy? Zostanie pani moją żoną w ramach rekompensaty za wyrządzoną mi krzywdę.

– Przyjmuję na siebie część odpowiedzialności za ucieczkę Lachlana z panną Brodrie, ale nie mogę za pana wyjść, by zrekompensować panu doznaną stratę. Musi pan poszukać innej kandydatki. – Wstrzymała oddech przed wypowiedzeniem ostatecznego i jej zdaniem przeważającego argumentu. – Zachowałby się pan bardzo niehonorowo, gdyby upublicznił pan okoliczności, w jakich dzisiaj mnie skompromitował. – Spojrzała Robertowi prosto w oczy. – Proszę pana o zaakceptowanie odmowy. Nie przyjmuję pańskiej propozycji małżeńskiej i nie wracajmy więcej do tego tematu.

Zapanowało nieprzyjemne milczenie. Za oknem zapadał

zmierzch, niebo nad powierzchnią morza pociemniało. Lucy była zdenerwowana, ale starała się jak najspokojniej czekać na reakcję markiza. Wstał i podszedł do okna, a po chwili odwrócił się i patrzył na nią, jakby była zagadką, którą musi rozwiązać. Ostatnie światła dnia padały mu na twarz. Lucy przyszło do głowy, że on też znalazł się w potrzasku.

– Jeśli nie spełnię wymogów piętnastowiecznego traktatu – zaczął niespiesznie – pani kuzyn, Wilfred Cardross, przejmie moje włości. Pani o tym wie. Chciałbym, żeby pani dobrze zrozumiała: bezpieczeństwo klanu jest dla mnie ważniejsze niż wszystko inne. Nie oddam obcemu tego, co moje.

Lucy przeszył lodowaty dreszcz. Wróciły jak echo słowa lady Kenton: „Bohater prosto z pola bitwy”. Robert Methven nie odda bez walki tego, co mu się należy. Wcześniej nie spotkała się z taką determinacją u żadnego mężczyzny. Uciekła wzrokiem w bok, nie będąc w stanie znieść intensywności, z jaką na nią patrzył.

– Pani jest moją jedyną szansą – podkreślił markiz. – Nie ma innej kobiety, którą mógłbym poślubić.

– To niemożliwe! Skoro jestem odpowiednia, odpowiednie muszą być Mairi albo Christina...

– Z pewnych względów nie są – przerwał jej Robert. – Pozostajesz tylko ty, Lucy – dokończył cicho.

Po raz pierwszy Robert zwrócił się do niej po imieniu. Była zaskoczona, że zdobył się na taką poufałość. Przerazająca była myśl, że nikt oprócz niej nie mógł mu pomóc, ponieważ oznaczało to, że on nie ustąpi, będzie parł do ślubu. Lucy sięgnęła po leżący obok niej szal. Wieczór, chociaż majowy, był chłodny, a służba nie zdążyła rozpalic ognia w kominku.

Methven zbliżył się i oparł dłonie na poręczach fotela. Pochylony, wpatrzył się w jej twarz. Nie dotykał jej, ale czuła jego bliskość. Onieśmiał ją fizycznością, emanującą z niego męską siłą. Zadrżała z obawy i nerwowego napięcia.

– Nie mogę pozwolić ci odejść, Lucy, na pewno to rozumiesz – powiedział. – Obiecuję, że raczej będę cię przekonywał do siebie, niż zmuszał do pójścia do ołtarza, rozpowiadając wszem wobec o twojej hańbie.

Lucy wstała. Czuła, że musi to zrobić, aby odzyskać chociaż

część samokontroli. Okazało się, że popełniła błąd, ponieważ teraz Robert znalazł się bliżej i bardziej porażał męską siłą.

– Proszę, Lucy, pomóż mi.

Pomyślała o Wilfredzie, przejmującym ziemię Methvena, o pozbawionych pracy ojcach rodzin, o wtrąconych w nędzę kobietach i dzieciach. Zamknęła powieki, żeby te obrazy zniknęły sprzed oczu, ale one nie dawały się tak łatwo usunąć.

– Nie mogę... – powiedziała. – Naprawdę. Bardzo żałuję... – Głos ją zawiódł.

Robert niemal dotykał jej swoim ciałem. Zadrzała jak osika. Uniosła wzrok i ujrzała poważną twarz. Kładące się na niej cienie uwydatniały wyraziste rysy. Bliskość porywała ją z siłą przyboju morskiego. Miała wrażenie, że zostanie zmiażdżona. Poczowała suchość w ustach, uszy rozsadzał łomot własnego serca.

– Pomóż mi – poprosił ponownie markiz.

Na policzku poczuła muśnięcie jego oddechu; jego usta znajdowały się zaledwie parę centymetrów od jej warg. Otworzyła je, żeby ponownie odmówić zgody na małżeństwo, ale nie była zdolna wypowiedzieć choćby słowa. Tymczasem Robert uniósł dłoń i wargami usunął z policzka Lucy zagubiony kosmyk, a następnie musnął nimi kącik jej ust. Ugięły się pod nią kolana i zapragnęła, by ją pocałował. Odpowiedział na to pragnienie i na dłuższy czas zapomniała o całym świecie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Robert wreszcie oderwał się od Lucy. Jej obrzmiałe czerwone usta pozostały lekko rozwarte, a pod cienką jedwabną bluzką wyraźnie odznaczały się sterczące brodawki. Wyglądała cudownie i Robert pożądał jej aż do bólu. Nigdy by jej siłą nie uwiódł. Zamierzał tylko pokazać, jak bardzo na siebie oddziałują i jakich rozkoszy mogłaby się spodziewać w małżeństwie, aby przekonać ją do przyjęcia oświadczyn.

– Jesteś pewna, że nie nadaję się na twojego męża?

– Nie chcę, żeby mąż całował mnie w taki sposób – odparła, kładąc rękę na piersi, jakby chciała opanować wzburzenie. – Tak gorąco, tak namiętnie.

– Wolisz, żeby mąż cię nie pożądał? – upewnił się Robert, nie kryjąc zdziwienia.

Wiedział, że w wielu małżeństwach wiało chłodem. Pożądanie mogło sprawić, że życie w aranżowanych związkach miało szansę stać się znośniejsze. Lucy skinęła głową. Policzki nadal jej pałały, ale odzyskiwała opanowanie i chroniła się w nim jak pod peleryną. Robert czuł, że ona mu się wymyka.

– Jeśli wyjdę za mąż, będzie to związek, w którym króluje rozum, a nie zmysłowość – oznajmiła.

– Dlaczego? – Zrobił krok w jej stronę, ale odsunęła się, nie dopuszczając do powtórnego pocałunku.

– Bo tak chcę – wyszeptała.

Robert uchwycił ją za ramiona i odwrócił, by spojrzała na swoje odbicie w wiszącym na ścianie lustrze. Wciąż miała włosy w nieładzie i obrzmiałe od pocałunków usta. Zdawał sobie sprawę, że gdyby zechciał, nie potrafiłaby mu się oprzeć. Zniżył głowę, dotknął językiem zagłębienia w jej szyi ponad obojczykiem i poczuł, że zadrzała. Zsunął jej z ramienia suknię. Miała jasną skórę, niemal przezroczystą, upstrzoną piegami. Ugryzł ją delikatnie w ramię i usłyszał, jak westchnęła.

– Spójrz na nas – powiedział, unosząc głowę. – Zaprzeczysz, że tego pragniesz? – spytał.

Uważnie popatrzył w lustro, szukając w twarzy Lucy jakiejś wskazówki, która pomogłaby mu odgadnąć przyczynę upartej niezgody

na matrymonialną propozycję. Nagle w spojrzeniu dużych oczu nieoczekiwanie dostrzegł popłoch, a nawet strach. Poczul się tak, jakby dostał silny cios w żołądek.

– Lucy?

– Nie pragnę i nie będę pragnąć takich doświadczeń – szepnęła.

Nim zdążył cokolwiek powiedzieć, wyrwała mu się i wybiegła z pokoju, zatraskując za sobą drzwi. Zamierzał ruszyć za nią i domagać się wyjaśnień, ale zatrzymał się w pół kroku. Musi dać Lucy czas, by dojrzała do rozmowy, o ile w ogóle to nastąpi. Położył się na srebrzystym szezlongu, na którym wcześniej ona spoczywała. Poduszki wciąż pachniały perfumami, a on miał w oczach jej jasne, obnażone ciało. Wstał, podszedł do stołu i zapalił stojące w kandelabrze świece. Ciepłe światło zalało pokój, zaigrało na powierzchni lustra i nagle Robert przypomniał sobie odbicie twarzy Lucy i wyzierający z jej oczu strach.

Bała się go, a jednak wzbudził w niej namiętność i potrafiła zapomnieć się w jego ramionach, upojona pocałunkami. Jak to możliwe? Nalał sobie szczyrce wina do zakurzonej szklanki, porzuconej na stoliku pod ścianą, i wypił je duszkiem jak lekarstwo, po czym usadowił się w fotelu stojącym przed kominkiem. Palenisko było oczyszczone z popiołu, jednak śmierdziało spalenizną. Zastanawiał się, dokąd uciekła Lucy, i czy jej strach wziął się stąd, że poznała przedsmak rozkoszy, jakie mogliby przeżywać wspólnie, on i ona. Czytała o tych sprawach, nawet o nich pisała, jednak nie miała o nich pojęcia, bo najwyraźniej nie doświadczyła fizycznej miłości. Nagle spotkała mężczyznę z krwi i kości i jego zachowanie zderzyło się z jej wyobrażeniami na temat doskonałego dżentelmena i platonicznej przyjaźni męsko-damskiej.

Prawdopodobnie idealizowała pierwszego narzeczonego, tyle lat od niej starszego, który był dla niej raczej mentorem, nie kochankiem, rozważał Robert. Mógł jej dawać poczucie bezpieczeństwa, a teraz odkryła, że w obcowaniu z mężczyzną temperatura uczuć może być o wiele wyższa, i się przełękała. Niewykluczone, że o to chodziło, ale nie miał pewności. Po namyśle doszedł do wniosku, że strach, który dostrzegł w oczach Lucy, świadczył o czymś zgoła innym. Musiała przeżyć bolesne doświadczenia. Rozpoznał tę reakcję, bo dźwigał własny ciężar smutku nie do zniesienia.

Tak, w tym rzecz, uznał. W przeszłości Lucy doświadczyła czegoś tak przerażającego, że nie potrafiła o tym zapomnieć. Westchnął ciężko. Potrzeba czasu, by uśmierzyć lęk, przekonać ją łagodną perswazją. Niestety, z powodu podłego i chciwego Wilfreda Cardrossa, który w każdej chwili mógł wysunąć roszczenia do włości Methvenów, czas był towarem, którego Robert nie posiadał w nadmiarze.

– Moim zdaniem, ma wszelkie zalety – stwierdziła Mairi. – Jest przystojny, inteligentny, bogaty, interesujący – wyliczała przymioty Roberta Methvena na palcach. – Aha, i według tego, co mówisz, potrafi całować. Co prawda, nie masz skali porównawczej, ale wierzę ci, skoro tak twierdzisz.

– Jesteś trywialna! – oburzyła się Lucy.

Zaczynała żałować, że zwierzyła się siostrze, bo najwyraźniej nie potrafiła jej zrozumieć. Była niewiele starsza, ale nie były ze sobą zżyte. Lucy nie umiała mówić z Mairi o odejściu Alice i o tym, jak ta śmierć zaważyła na jej nastawieniu do życia. Nie otrząsnęła się po tym, jak ukochana bliźniaczka zmarła tragicznie na jej rękach, i ciągle czyniła sobie wyrzuty, że ją zawiodła. Okoliczności śmierci Alice spowodowały rozłam między siostrami, zamiast je do siebie zbliżyć, i tak już zostało.

Nadal nawiedzały ją nocne koszmary, w których wracała do ocienionego okiennicami pokoju, wypełnionego cichym kwileniem dziecka. Trzymała w dłoniach zimne ręce Alice i czuła, jak siostra odchodzi w pustkę. Nie zdołała temu zapobiec, tkwiła więc przy jej łóżku, pogrążona w rozpacz i obciążona poczuciem winy.

– Zawsze taka byłam, kochanie – przyznała bez urazy Mairi. – To moja główna cecha. Nie oczekuj, że poślubię Roberta Methvena tylko po to, by uratować jego dziedzictwo. Chociaż jest niezwykle atrakcyjnym mężczyzną, wolę pozostać wdową. Ten stan ma wiele dobrych stron.

– Ja nie chcę za niego wyjść, a ty, nawiasem mówiąc, nie możesz, bo nie spełniasz warunków traktatu – zauważyła z przekąsem Lucy, bo siostra drażniła ją coraz bardziej.

Nazwała markiza „atrakcyjnym mężczyzną” i Lucy zastanawiała się, czy za każdym razem na wzmiankę o Robercie Methvenie będzie doświadczała sprzecznych emocji: namiętności, a także strachu i poczucia winy.

– Dałaś mu kosza, a jednocześnie nie chcesz, by dostała go inna kobieta. Zachowujesz się jak pies ogrodnika.

– Nic nie rozumiesz. – Lucy zebrało się na płacz, ponieważ była to prawda; wolałaby, żeby Robert Methven nie poślubił innej.

– Wcześniej też nie rozumiałam – przyznała ze spokojem Mairi.
– Odmówiłaś wielu odpowiednim kandydatom na męża, bo uważałaś, że żaden nie dorównuje Duncanowi MacGillivrayowi. Potrzebujesz pomocy, moja droga. MacGillivrayowi niczego nie brakowało, ale daleko mu było do ideału. Był zwyczajnym starym nudziarzem.

Lucy przypomniała sobie, że lady Kenton tak samo wyraziła się o jej zmarłym narzeczonym. Tymczasem ona czuła się bezpieczna i spokojna w obecności Duncana, a właśnie na tym jej zależało.

– Wyjdź za Roberta Methvena. Przynajmniej będzie wiedział, jak ci dogodzić w łóżu – doradzała siostra.

Lucy przypomniała sobie, jak cytował przed kolacją fragmenty jej miłosnych listów, wymawiając poszczególne słowa z silnym szkockim akcentem. Niski, głęboki głos drażnił jej zmysły. Pomyślała o późniejszych pocałunkach i jego działającej na nią zniewalająco bliskości. Ten silny, bezwzględny mężczyzna potrafił całować czule, był przy tym delikatny. Na wspomnienie pocałunków fala gorąca rozlała się po wszystkich jej członkach. To było nowe doznanie, pod wpływem którego zadrzała.

Na szczęście Mairi tego nie zauważyła. Ostentacyjnie ziewała i spoglądała na porcelanowy zegar ustawiony na gzymsie nad kominkiem.

– Późno już – powiedziała.

– Spodziewasz się towarzystwa?

Lucy wstała, bo siostra nie mogła jaśniej dać do zrozumienia, że życzy sobie zostać sama.

– Nie dzisiaj – odparła, uśmiechem pokrywając zażenowanie. – Lady Durness zaprosiła obu przystojnych modeli do swojej sypialni. Powiadają, że jest nienasycona. Wolałaby zapewne Methvena, ale on nie widzi żadnej poza tobą.

– Obu? – Lucy zaczerwieniła się. W jednej z ksiązek zalegających bibliotekę dziadka widziała taką ilustrację. – Dziwię się, że do tej pory lady Durness uniknęła ciąży.

Siostra roześmiała się, a Lucy poczuła się jak ostatnia naiwna.

– Są na to sposoby – odrzekła wymijająco Mairi. – Różne przyrządy, wywary... Można się czuć bezpiecznie. Nie będę wdawała się w szczegóły, bo taka jak ty, panienka z dobrego domu, nie powinna o nich wiedzieć.

– A szacowna wdowa może o tym mówić? – odcięła się Lucy. Nie spotkała nikogo, wracając do swojego pokoju długimi korytarzami Durness Castle. Drogę oświetlały zatknięte w uchwytach ściennych pochodnie, nie penetrowały one jednak ciemności po wysoko sklepienie sufity. Lucy z odrobiną wahania otwierała drzwi pokoju. Nie dlatego, że spodziewała się zastać Roberta Methvena – była pewna, że od dawna siedzi w przyzamkowej gospodzie – ale wspomnienie tego, do czego doszło między nimi było tak żywe, że przystanąła i wzięła głęboki oddech.

W kominku buzował ogień, ciemność rozpraszało światło świecy. Sheena drzemała w fotelu przy ogniu. Koszula nocna nagrzewała się, rozwieszona na metalowym parawanie osłaniającym palenisko. Lucy po raz pierwszy tego wieczoru poczuła się bezpiecznie. Miała nadzieję, że łatwo zaśnie.

Zbudziła Sheenę, która pomogła jej rozebrać się, po czym wycofała się do sąsiedniego pokoju. Lucy naląła do miski trochę zimnej wody z dzbanka i umyła twarz. Wciąż była podminowana. Usiłowała przywołać obraz Duncana MacGillivraya, ukoić wzburzenie wspomnieniem jego łagodności i staromodnej galanterii. Niczego od niej nie chciał oprócz towarzystwa, i to jej odpowiadało. Nieoczekiwanie odkryła, że obraz Duncana przyblakł w jej wspomnieniach. Zamiast jego łagodnej twarzy stawało jej przed oczami wyraziste i zdeterminowane oblicze Roberta Methvena. Nadal nie miała pojęcia, co jutro mu powie.

Wsunęła się pod kołdrę i zdmuchnęła świecę. Pogoda zmieniła się gwałtownie. Po ciepłym dniu rozszalała się ulewa. Ciężkie krople deszczu waliły o dach zamkowy, woda bulgotała w rynnach i wylewała się z nich na taras u podnóża murów. Lucy zostawiła otwarte okno. Odgłos deszczu wypełniał jej uszy i działał kojąco. W zamku panowała cisza, goście spali. W końcu Lucy także zmorzył sen.

Po pewnym czasie coś ją wyrwało z uśpienia. Otworzyła oczy, ale w ciemnym pokoju niczego nie dostrzegła. Uszy jednak wychwyciły odgłos kroków, pod czyimiś stopami zaskrzypiała podłoga.

Nagle coś poruszyło się w ciemnościach i ktoś znalazł się przy jej łóżku. Lucy usiadła i chciała zawołać pomocy, ale było za późno. Została omotana duszącymi fałdami materiału. Szamotała się, rozdając na oślep ciosy temu komuś, kto ją skrepował i dusił, lecz on zdołał ją unieruchomić i związać ręce. Usłyszała męski głos przeklinający pod nosem, więc w tamtą stronę wymierzyła kopniaka. Zaklął jeszcze raz i niósł ją w powietrze. Była bliska omdlenia, brakowało jej powietrza, niczego nie widziała, a mimo to nie poddawała się i szamotała. Cios w tył głowy sprawił, że zapadła w ciemność.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Pierwszym przedmiotem, jaki zobaczyła Lucy, kiedy oprzytomniała i uniosła powieki, była latarnia. Kołysała się tam i z powrotem w nużącym rytmie, odpowiadającym pulsowaniu bólu w jej głowie i skurczom żołądka. Przewróciła się na bok i zebrało się jej na wymioty. Na szczęście ktoś przewidująco postawił obok miskę. Zwymiotowała i poczuła się nieco lepiej. Położyła się z jękiem i zamknęła oczy. Po jakimś czasie poczuła zimny kompres na rozgrzanym czole. Nie interesowało jej, gdzie jest i co się z nią dzieje. Wszystkie myśli skupiały się na tym, że jest chora. Leżąc z zamkniętymi oczami, zapadła w sen.

Gdy obudziła się ponownie, stwierdziła, że czuje się lepiej. Uniosła powieki i ujrzała tę samą latarnię z lekka rozpraszającą ciemności. Wokół nikogo nie było. Lucy usiadła i spuściła nogi z łóżka. Natychmiast zakręciło się jej w głowie i zebrało na wymioty. Dotknęła tyłu głowy i wymacała guz wielkości małego jajka. Był bardzo bolesny. Poobcierane nogi i ręce też ją bolały. Spostrzegła, że ma na sobie koszulę nocną, porozdzieraną i brudną.

Przypomniała sobie, jak obleciał ją strach, gdy zdała sobie sprawę z tego, że ktoś zakradł się w ciemnościach do pokoju, który zajmowała w Durness Castle. Zapamiętała determinację, z jaką stawiała opór porywaczowi, i bolesne uderzenie w głowę, po którym straciła przytomność. Zorientowała się, że nie padła ofiarą przemocy seksualnej, i poczuła ulgę. Zaraz jednak wróciły niepewność i bezsilna złość. Bezradna, siedziała na skraju łóżka i czekała, aż będzie w stanie zastanowić się nad obecną sytuacją.

Rozejrzała się wkoło. Pokój był mały. Pojedyncza świeczka umieszczona w latarni rozświetlała wnętrze, w którym stały podniszczone meble, w tym łóżko, na którym leżała w zmiętej pościeli i na nierównym materacu. W głębi ustawiono komodę, a na niej wyszczerbioną porcelanową miskę i dzban do kompletu z wytartym wzorem w różyczki.

Lucy poczłapała w tamtą stronę. Nalała trochę wody do miski. Woda była ciepła i pachniała stęchlizną, ale umyła w niej twarz, dzięki czemu poczuła się bardziej przytomna. Podeszła do okna i odsunęła

połamane okiennice. Na zewnątrz panował zmierzch. Delikatna niebieska mgiełka przesłaniała niebo, które latem w Szkocji nigdy nie jest zupełnie ciemne. Lucy pomyślała, że musi być późno: dziesiąta lub jedenasta. Nic dziwnego, skoro została uprowadzona w nocy. Zaraz jednak nawiedziło ją podejrzenie: to nie mogła być ta sama noc.

Wyjrzała za okno. Zauważyła oświetlone księżycem mury, bielejące na tle rozgwieźdzonego nieba. Znajdowała się w gospodzie – szyld kołysał się na wietrze. Dziedziniec poniżej okna był pusty. Na palcach zbliżyła się do drzwi, krzywiąc się, gdy pod jej stopami skrzypnęła spróchniała deska podłogi. Nie chciała, żeby dowiedziano się, że już nie śpi.

Przekręciła gałkę, ale drzwi nie ustąpiły. Lucy nie zdziwiła się, ale mimo wszystko miała odrobinę nadziei, że nie okażą się zamknięte na klucz i będzie mogła wybiec na zewnątrz, aby zawołać o pomoc. Byłby to prawdopodobnie krok bardzo nierozsądny, ale nie zamierzała czekać beczynn timer na łasce tego, kto ją porwał. W tym momencie ktoś włożył klucz do zamka. Lucy natychmiast odskoczyła od drzwi i stanęła w pobliżu łóżka. Po chwili do środka pokoju wszedł Robert Methven. Na jego widok ugięły się pod nią kolana i ciężko opadła na skraj łóżka.

– To ty?! – zawołała.

– Nie śpisz? – spytał markiz. – Jak się czujesz?

To on uderzył mnie w głowę i wyniósł z Durness Castle, myślała gorączkowo Lucy. Dałam mu kosza, nie uległam szantażowi, więc sięgnął po to, czego mu odmówiono. Najbardziej była rozgoryczona okrucieństwem, z jakim ją potraktował.

– To ty! – powtórzyła, dając wyraz złości i rozczarowaniu, po czym powodowana wściekłością odnalazła w sobie siłę i rzuciła się z pięściami na markiza. – Porwałeś mnie! Ty nędzna, podstępna kreaturo! – wybuchła. – Ty przebiegły łotrze bez serca i sumienia! – wołała, nie przestając pięścią uderzać w twardą męską pierś.

– Oto korzyści z odczytania, przynajmniej nie brak ci epitetów – zakpił.

Unieruchomił jej rękę, ale zrobił to delikatnie, czym jeszcze bardziej rozzłościł Lucy. Szkoda, że nie był taki uważny, gdy walił mnie w głowę, pomyślała.

– Miałam o tobie lepsze mniemanie – zakończyła z goryczą.

– Dziękuję, czuję się zaszczycony.

Lucy była bliska płaczu, ale nie pozwoliła popłynąć łzom. Chęć płaczu tłumaczyła złym samopoczuciem, a nie ogromnym rozczarowaniem markizem. Przecież nic dla niej nie znaczył, powiedziała sobie w duchu, i dlatego zdrada jej nie zaboląła. Była wciąż na niego wściekła, wiedziała jednak, że nie pokona go siłą. Musi użyć rozumu, by go przechytryć i uciec – albo pistoletu, jeśli nawinie się jej pod rękę. Nagle zakręciło się jej w głowie i natychmiast Methven ją podtrzymał. Nie mogła znieść okazywania przez niego troski po tym, jak ją potraktował.

– Proszę mnie nie dotykać! – wyrwała mu się. – Uderzyłeś mnie!

Zreflektowała się, że za dużo żalu wlała w te słowa, bo nie chciała, by wiedział, jak bardzo się na nim zawiodła.

– Mylisz się – oznajmił dobitnie Robert, patrząc prosto w oczy Lucy. – Nie zrobiłem ci krzywdy. Uprowadził cię kuzyn Wilfred. Nie osobiście, wynajął odpowiednich ludzi.

Nie przedstawił żadnego dowodu, nie przekonywał, że mówi prawdę, lecz Lucy uznała, że nie kłamał.

– Wilfred? – zdziwiła się. – A dlaczego miałby to zrobić?

Przypomniała sobie, że przejawiał wyjątkowe zainteresowanie jej osobą podczas przyjęcia weselnego w Brodrie Castle, ale przecież nie traktował jej poważnie. A może pogłoski o jego gigantycznych długach nie mijały się z prawdą i musiał się ożenić dla pieniędzy?

– Przypuszczam, że chciał pod przymusem wymóc na tobie zgodę na małżeństwo albo uniemożliwić nasz ślub, żeby zgłosić roszczenia do mojej ziemi. On wie, że muszę spełnić określone wymogi, aby przejąć dziedzictwo, i ożenić się ze ściśle określoną damą, więc jeśli wyniuchał, że wybrałem ciebie... – Robert nie dokończył.

Lucy dotknęła guza w tyle głowy.

– Oni mnie uderzyli.

– Wiem. Dlatego długo byłaś nieprzytomna.

– Byłam chora.

Lucy przypomniała sobie miskę przy łóżku i zimny kompres na czole. Czyżby Robert Methven siedział przy niej, gdy cierpiała?

– Przykro mi – powiedział. – Brutalnie się z tobą obeszli, ale poza tym nie zrobili innej krzywdy. Byli dobrze opłaceni.

– Och – zachnęła się. Wiedziała, co miał na myśli, o jaką krzywdę mu chodziło. – Pytałeś... ich o to?

– Przyłożywszy im szablę do gardeł. Jestem szczęśliwy, że to prawda. Byli gotowi nazwać czarne białym, byle ujść spod mojej ręki.

Lucy przeszły ciarki, gdy uprzytomniła sobie, jak musieli się go bać.

– A co z Wilfredem? Gdzie on jest teraz?

Fakt, że kuzyn mógł potraktować ją tak brutalnie, był niewyobrażalny. Nie przepadali za sobą nawzajem, ale nie podejrzewała, że stać go było na tak haniebnny uczynek.

– Nie mam pojęcia, gdzie się podziewa – odparł obojętnie Robert, ale czujne ucho Lucy wychwyciło groźbę w jego głosie. – Dogoniłem ich tutaj. Cardross zamierzał zabrać cię do zamku w Cairn Rock. Nagiego wyekspediowałem tam na piechotę. Miał szczęście, że przestało padać, choć może już nie dożył tej chwili.

– Zabrałeś mu ubranie?

– Powinien się cieszyć, że nie posłałem go na dno jeziora. Zabiłbym go, gdyby cię tknął.

– Wiem, że nie żartujesz.

– Nie żartuję. Rozgościł się tu jak panisko i czekał zadowolony z siebie i ze swoich planów. Popił sobie, co dodawało mu pewności siebie. Ptasi mózdzek. Wykoncypował sobie, że posłuży się przeciwko mnie kobietą.

– Jestem ci winna wdzięczność. Wcześniej nie zdawałam sobie sprawy z zagrożenia ze strony kuzyna. Przepraszam.

W oczach Methvena zabłyśły iskierki uśmiechu.

– Zawsze będę cię chronił.

Powiedział to serio i Lucy zrozumiała, że traktował ją, jakby miał do niej prawo.

– Co to za miejsce? – zapytała po chwili milczenia, rozglądając się po niechlujnym pokoju.

– Gospoda nieopodal Thurso. – Robert też obrzucił wzrokiem pokój. – Przepraszam. Trochę spartańskie warunki jak dla córki księcia, ale jeśli jesteś głodna, znajdą tu trochę chleba i sera.

Lucy nie była głodna, natomiast z wielką chęcią by się wykapała, wątpiła jednak, by w gospodzie mogła liczyć na taki luksus, a w każdym razie nie w środku nocy.

– Może być, przecież jutro odstawisz mnie do Durness Castle. Robert nie potwierdził, że właśnie tak uczyni, więc Lucy spojrzała na niego pytająco. Po chwili pojęła, że markiz ma inne plany, i oblał ją zimny pot.

– Nie zawieszysz mnie z powrotem do Durness Castle – stwierdziła.

– To nie miałoby sensu – wyjaśnił beznamiętnie. – Za późno. Zaginęłaś poprzedniej nocy. Jeśli przywiozę cię do Durness nie jako swoją żonę, twoja reputacja będzie zrujnowana.

Zapadło milczenie. Wiatr tłukł okiennicami, płonące w kominku polana osunęły się z sykiem. Lucy słyszała w uszach przyspieszone bicie własnego serca. Małżeństwo albo hańba. Tym razem nie było ucieczki. Na tę myśl ogarnął ją strach. Nie, to niemożliwe, pomyślała, musi być jakieś wyjście.

– Przyjmujesz mnie pod swoje skrzydła? – spytała od niechcienia, starając się nie okazać lęku.

– Owszem, jeśli upierasz się przy takim sformułowaniu. Gdybyś jednak zechciała okazać mi trochę wdzięczności, mogłabyś powiedzieć, że ratuję twoją reputację.

– Wdzięczności! – powtórzyła z ironią. – Nie masz prawa mnie kompromitować ani robić ze mną, co ci się podoba... – Urwała.

W rzeczywistości znalazła się w rękach markiza. Nie brała pod uwagę, że zechce pojąć ją siłą, ale straciła pewność siebie. Była sama, zastraszona i obolała.

Powygniatany materac ugiął się pod Robertem, gdy usiadł w nogach łóżka. Nie odpowiedział, ale jego milczenie było tym bardziej przerażające. Oznaczało, że dokładnie obmyślił dalszy plan działania. Podjął decyzję i ona nie zdołała go od niej odwieść.

– Lucy – odezwał się wreszcie – oferuję ci swoje nazwisko; ono cię ochroni. Tylko tak mogę pomóc.

– Jak to szczęśliwie się dla ciebie złożyło – zauważyła chłodno. – Osiągnąłeś to, na czym ci zależało. Proszę się więc nie dziwić, że zapytam: skąd mogę wiedzieć, że to, co opowiadasz o moim kuzynie, jest prawdą? Może ty jesteś porywaczem.

Robert spojrział na Lucy kamiennym wzrokiem.

– Możesz myśleć, co chcesz. Wszystko, co powiedziałem, jest prawdą. Byłbym zaszczycony, gdybyś tym razem przyjęła moje

oświadczy.

– A jeśli odmówię? Może lepiej odrzucimy wszelkie pozory i zgódźmy się, że nie mam wyboru?

– Zawsze jest wybór.

– Nie, jeśli w grę wchodzi moja reputacja.

– Na tym też polega wybór – odparł z uśmiechem.

Lucy potarła pulsujące od bólu skronie.

Małżeństwo albo hańba. Wiedziała, co ją czeka, jeśli nie wyjdzie za mąż. Powrót do domu wywoła skandal i nie tylko ona ucierpi. Przysporzy wielkiej zgryzoty ojcu. Przyjęcie oświadczyń Roberta Methvena było jedynym ratunkiem – ta prawda stała się oczywista. Rzecz w tym, że Robert nie zadowoli się małżeństwem tylko z nazwy. Będzie chciał sprowadzić na świat syna, dziedzica. Lucy pociemniało w oczach. Wciąż miała w pamięci zalaną łzami, wykrzywioną strachem twarz Alice, czuła jej palce wpijające się w jej rękę. Tyle krwi, bólu... Co to za wybór? Ból w skroniach rozsadał jej czaszkę.

– Potrzebujesz odpoczynku – zauważył troskliwie markiz. – Dokończymy rozmowę jutro.

– Ja tego nie zrobię! – wykrzyknęła pod wpływem wspomnienia o Alice. – Nie wyjdę za ciebie, naprawdę nie mogę.

Objął ją współczującym, łagodnym wzrokiem.

– Na razie o niczym nie myśl – powiedział. – Miałaś bardzo przykre przeżycia. Rano poczujesz się lepiej.

Lucy wiedziała, że tak się nie stanie. Zacisnęła powieki, żeby się nie rozplakać, nie okazywać słabości.

– Muszę poprosić cię o obietnicę, że nie spróbujesz ucieczki – odezwał się Methven.

– Ucieknę z największą przyjemnością.

– W takim razie będę musiał cię związać, zresztą dla twojego bezpieczeństwa.

– Związać? Nie bądź śmieszny.

– W takim razie proszę obiecać.

Byłoby to jak najbardziej uzasadnione i racjonalne, ale Lucy nie zamierzała słuchać głosu rozsądku. Chciała mu się sprzeciwić, chociaż w głębi duszy wiedziała, że zachowuje się dziecinnie. Poza tym była pewna, że on nie zdobędzie się na to, by ją związać.

– Nie będę niczego obiecywać – oznajmiła obrażonym tonem.

– Zatem nie pozostaje mi nic innego, jak cię związać.
Ostrzegałem.

– Nie zrobisz tego, nie możesz.

– Mogę.

Robert podszedł do komody, wysunął górną szufladę i zaczął w niej czegoś szukać. Lucy zauważyła, że było tam pełno krzykliwych ubrań, spódnic i bluzek, zapewne należących do służącej z gospody. Wyciągnął coś, co wyglądało jak jaskrawy jedwabny szal. Nie żartował, pomyślała Lucy, naprawdę mnie zwiąże. Nie posiadała się ze zdziwienia. Rzuciła się ku drzwiom, ale markiz był szybszy. Dopadł ją, gdy przykręcała gałkę.

– Proszę, nie rób głupstw – szepnął jej do ucha. – Nie zrobię ci krzywdy.

Bliskość Roberta sparaliżowała Lucy, więc nie stawiała oporu, gdy markiz zaniósł ją na łóżko. Przywiązał jeden koniec jedwabnej szarfy do słupka u wezglowia, drugi wokół jej nadgarstka. Lucy szarpała się, ale skutek był taki, że jeszcze mocniej zacisnęła pętlę.

– Proszę mnie odwiązać – rzuciła.

Nie mogła uwierzyć, że jednak się na to poważył. Pokazał nową twarz: człowieka lekceważącego wszelkie formy, bezwzględnie dążącego do celu. Podejrzewała go wcześniej o takie cechy, ale teraz stało się to aż nadto oczywiste.

– Zamierzasz mnie błagać?

– Jestem córką księcia i nie mam zwyczaju nikogo błagać.

– Podoba mi się twój upór.

– Nie interesuje mnie to. Proszę mnie odwiązać.

W odpowiedzi Methven przywiązał jej drugą rękę.

– Nic z tego. Boję się, że zechcesz uciec, a to nie tylko przysporzyłoby mi kłopotów, bo musiałbym cię szukać, lecz także naraziłoby cię na poważne niebezpieczeństwo.

– Jesteś potworem i gburem.

– Proszę, proszę, nie krępuj się. Prawdziwa z ciebie dama, choć nie zawsze. Nie całowałaś mnie jak dama. To też mi się podobało.

Robert stanął, żeby obejrzyć swoje dzieło. Lucy leżała z szeroko rozpostartymi ramionami, przywiązanymi do słupków u wezglowia, nie na tyle ciasno, żeby nie mogła się poruszać, ale i nie tak luźno, by się uwolniła. Była upokorzona i wściekła, że Methven zdobył się na coś

podobnego.

– Oto jak wyglądają zaloty w twoim wykonaniu – rzuciła z przekąsem. – Powinnam się domyślić już w chwili, kiedy wcześniej próbowałeś mnie podstępem skompromitować. Zamierzasz więzić mnie do czasu, aż zgodzę się zostać twoją żoną?

– „Więzić” nie jest właściwym słowem. Nie planowałem cię krępować, ale teraz widzę, że nie był to głupi pomysł.

– Och! – zachnęła się oburzona Lucy.

Uprzytomniła sobie, że pod prawie przezroczystą koszulą nocną wyraźnie rysują się piersi. Będąc uwiązana, nie mogła się okryć. Upokarzało ją, że jest wystawiona na wzrok Methvena, a jednocześnie podniecało. Zrobiło się jej gorąco. Poruszyła się bezradnie, a Robert przesunął spojrzenie niżej, na miejsce, gdzie łączyły się jej uda, po czym znowu skupił wzrok na jej twarzy.

Lucy mocniej zabiło serce, ale wytrzymała spojrzenie markiza.

– Nie sięgnę po coś, co nie jest jeszcze moje – oznajmił.

Nakrył ją kołdrą i odwrócił się, po czym rzucił przez ramię:

– Postaraj się zasnąć.

– W takiej pozycji? – zaoponowała, ciągle zbuntowana.

– Musisz spróbować. – Robert zamknął drzwi na klucz i wsadził go do kieszeni.

Lucy była przekonana, że tym razem nie pozwoli jej wywinąć się od ślubu. Poprzez połamane okiennice wciąż dochodziło światło. Na północy zmierzch trwał latem długo, właściwie nigdy nie było całkiem ciemno. Lucy wciąż widziała zarys mebli. Methven usiadł w drewnianym fotelu, chyba bardzo niewygodnym, w którym trudno mu będzie zasnąć.

– Naprawdę nie ma innej kobiety, która pomogłaby uratować twoją ojcowiznę? – zapytała po dłuższym milczeniu.

– Nie zaśniesz, jeśli nie przestaniesz mówić – odparł, nie patrząc w jej stronę.

– Nie jestem śpiąca.

– Ale ja jestem, a w dodatku diabelnie zmęczony. Spędziłem cały dzień w siodle, żeby cię odnaleźć, i nie doczekałem się marnego słowa podziękowania.

Nie był rozmowny, ale Lucy nie zrezygnowała. Ciągle liczyła na to, że namówi go, by ją uwolnił. Gdyby tak się stało, spróbowałaby

zażegnać skandal, a rodzina nie odmówiłaby jej pomocy. Już raz znaleźli się w podobnie trudnej sytuacji, gdy umarła Alice. Teraz też by sobie poradzili. Lucy wiedziała, że nadzieje na uwolnienie są płonne, ale nie mogła się poddać.

– Gdybyśmy poszukali innej gałęzi rodzinnej, może znaleźlibyśmy odpowiadającą ci kandydatkę na żonę...

– Nie trudź się, nie warto.

Markiz najwyraźniej nie miał ochoty ciągnąć tego tematu, jak gdyby wizja ożenku nie pociągała go w tej chwili, oceniła Lucy. Może tak było. Zdała sobie sprawę z tego, że nie wzięła pod uwagę jego uczuć w kwestii narzuczonego mu małżeństwa i ograniczonego wyboru żony.

– Jesteś absolutnie pewny, że jedynie ja odpowiadam twoim kryteriom?

Tym razem Robert zareagował żywiej. Prawdopodobnie odczytał ukrytą w jej pytaniu kokieterię. Uśmiechnął się.

– Jestem absolutnie pewny. To ironia losu, że chociaż mnie nie chcesz, masz wszystkie cechy, jakich pragnąłbym u żony.

Ucieszyła się niejako wbrew sobie. Wiedziała także, że nie należałoby zadawać kolejnego pytania.

– Dlaczego?

Markiz popatrzył na nią dłużej i spoważniał.

– Pragnę cię – wyjąwił.

Zapadło milczenie. Methven zmienił pozycję, wciąż siedząc w skrzypiącym fotelu, żeby Lucy nie mogła widzieć jego twarzy.

– Prosiłem, żebyś spróbowała zasnąć. Jutro czekają nas długie godziny na grzbiecie konia.

– Skąd wiesz, że potrafię jeździć konno?

– Jestem pewny, że dasz radę. W przeciwnym razie będziesz zmuszona jechać ze mną w jednym siodle, a to by ci się jeszcze mniej spodobało.

– Będę przywiązana do siodła?

– Tak. Będę prowadził twojego konia na uwięzi, żeby nie przyszło ci do głowy uciec.

Lucy próbowała ułożyć się wygodniej. Na nierównym materacu nie było to łatwe. Teraz, gdy złość po części z niej wyparowała, przyznała w duchu, że zachowała się niemądrze, uprzedzając

Methvena, że będzie próbowała ucieczki. Czy nie byłoby jednak głupotą wypuszczać się samej? Była bezbronna i ubrana w koszulę nocną, a w górskich dolinach roilo się od różnej maści włóczęgów. Chociaż... W szufladzie komody były spódnice i bluzki; niewykluczone, że znalazłoby się coś odpowiedniego. Gdyby jeszcze zdobyła broń, ucieczka mogłaby się udać. Wróciłaby do Durness Castle, a tam znalazłby się powóz, którym dotarłaby do domu. Methven jej nie pomoże, musi więc poradzić sobie sama.

Markiz znowu obrócił się w fotelu. Głębokie westchnienie, które przy tym wydał, świadczyło, że nie jest mu wygodnie. Dobrze mu tak, pomyślała.

– Nie zamierzasz zasnąć? – zapytała niewinnie.

– Zasnąłbym, gdybyś przestała mówić.

Materac, na którym leżała, cuchnął wilgocią i mysimi odchodami. Lucy starała się nie oddychać zbyt głęboko. Szkoda, że nie może się wykapać. Zapewne nie pachniała. W świetle z dogasającego kominka zauważyła przewieszony przez poręcz krzesła pas Methvena z jego szablą. Przeszył ją dreszcz podniecenia. Do pasa jest pewnie również przytroczony pistolet. Ostrożnie spróbowała poruszyć więzy. Jedwab był śliski, a to dawało nadzieję. Przestała się wiercić. Niech Robert Methven wreszcie zaśnie.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stary drewnianym fotel był bardzo niewygodny. Robert nie mógł znaleźć choćby częściowo wygodnej pozycji, a bardzo potrzebował wypoczynku i snu.

Wczoraj nad ranem w izbie w gospodzie w Durness Castle zjawiała się lady Mairi MacLeod, obudziła go i wzburzona oznajmiła, że Lucy została uprowadzona z zamkowej sypialni. Od tamtej pory Robert nie zmrużył oka. Natychmiast ruszył na poszukiwanie Lucy i trafił do tej zapomnianej przez Boga i ludzi dziury, gdzie dopadł Wilfreda i wynajętych przez niego zbirów. Rozprawił się z nimi, a potem zaopiekował Lucy i jedyną podzięką, jaką od niej otrzymał, było kategoryczne odrzucenie propozycji małżeńskiej i groźby, że ucieknie.

Co za uparciucha z tej lady Lucy MacMorlan! Miał z nią same kłopoty, ale jej potrzebował z powodu nieszczęsnego traktatu, a nawet pragnął jej jak mężczyzna pragnie wyjątkowo pociągającej kobiety. Był zmęczony, co nie znaczyło, że nie starczyłoby mu sił, aby się z Lucy kochać. Widząc jej kuszące kształty prześwitujące przez cienką nocną koszulę, pomyślał, że chętnie rozsunąłby te jej piękne uda i w bliskości znalazł ukojenie dla rozedrganych zmysłów. Potarł ręką czoło, żeby odpędzić tego rodzaju pomysły, i chyba już setny raz przekręcił się w twardej fotelu.

– Nie śpisz – odezwała się Lucy.

– Ty też.

– Jest mi niewygodnie.

– Mnie też, i to bardzo. Nie zaprosisz mnie do łóżka? Byłoby nam znacznie przyjemniej, zapewniam.

– Nie sądzę – odparła sucho.

Robert uznał, że przez Lucy przemawia strach. Starał się nie zapominać, że jest dziewczyną, z którą należy delikatnie się obchodzić i pomału wprowadzać w arkana sztuki miłosnej. Ale jak tu uwodzić na zbutwiałym materacu, w izbie, w której harczą myszy.

– W takim razie oboje jesteśmy skazani na niewygody – stwierdził.

Jeszcze długo się kręcił i zmieniał pozycje, na próżno szukając odrobiny komfortu, wreszcie umordowany i wyczerpany zasnął.

Otworzył oczy po ładnych kilku godzinach. Był dzień.

Niezabezpieczone okiennice tłukły się na wietrze. Oprzytomniał w ułamku sekundy i dopadł łóżka. Było puste. Jedwabna szarfa zwisała żałośnie z drewnianych słupków. Nie były wyłamane, co świadczyło o tym, że Lucy zdołała uwolnić się z więzów. Świadczyło to dobitnie o jej determinacji, żeby nie stanąć razem z nim przed ołtarzem.

Wyjrzał przez otwarte okno. Znajdował się pod nim pochyły dach przybudówki. Od jego dolnej krawędzi do ziemi było około sześciu stóp. Szuflada komody była na wpół wysunięta, wylewały się z niej na podłogę ubrania, obok których leżała porzucona koszula nocna Lucy. Jakby tego było mało, zniknął jego pas z przytroczoną do niego szablą oraz pistolety, a także pieniądze. Zaklął siarczyście. Dobrze, że przynajmniej miał przy sobie sztylet. Chwyił płaszcz, otworzył kluczem drzwi i wybiegł na schody. Na ścianie korytarza zauważył powieszony dla ozdoby zardzewiały szkocki pałasz i go zabrał.

Wierzchowca też nie było, czym właściwie się nie zdziwił. Szkoda, że nie docenił lady Lucy MacMorlan. Ten błąd dużo go będzie kosztował. Sądził, że skoro ją skrępował, a drzwi izby zamknął na klucz, to może się zdrzemnąć. Co za lekkomyślność! Lady Lucy, wykształcona córka księcia, miała w żyłach krew Malcolma MacMorlana, zwanego przez mu współczesnych Rudym Lisem z Forres. Najwyraźniej warstwa cywilizacji była w jej przypadku cienka, nie trzeba było głęboko drapać, by doszukać się temperamentu godnego latorośli dzikich wojowników z północy.

Uśmiechnął się do siebie. Lady Lucy jest wspaniała. Idealna kandydatka na żonę i matkę jego dzieci!

Jedynym zwierzęciem, jakie Robert znalazł w stajni, był rachityczny kuc, który wyglądał tak, jakby miał paść w drodze, lecz Robert musiał się nim zadowolić. Nie zważając na gniewne okrzyki właściciela gospody, który utracił pałasz, zapłatę za nocleg i konia, wyjechał na gościniec do Thurso tak szybkim kłusem, jaki dało się wycisnąć z kuca.

Lucy była w drodze od kilku godzin. Nie miała pewności, czy podąża we właściwym kierunku. Skaliste urwiska, wśród których wila się droga, były żółte od paproci i fioletowe od wrzosu. Słońce stało wysoko i mocno przygrzewało. Nigdzie nie było widać żywego ducha. Tylko po jasnoniebieskim niebie krążyły orły. Odniosła wrażenie, że

ten spokój jest nienaturalny i poczuła się nieswojo. Zwróciła uwagę, że wierzchowiec zastrzygł uszami i rzucił łbem. Potężny kasztan o inteligentnych oczach, okazał się szybki, wytrzymały i dzielny.

Należał do Methvena, ale o nim Lucy wołała nie myśleć, gdyż potraktowała go haniebnie: ukradła mu konia, pistolety, szablę i pieniądze. Gdy przyszło co do czego, nawet nie musiała przesadnie uważać, bo markiz spał jak zabity i nawet nie drgnął, gdy zdejmowała z oparcia krzesła pas z szablą i podróżne juki z pistoletami. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie wyjąć mu z kieszeni klucza do drzwi, ale uznała, że to zbyt ryzykowne, i opuściła izbę przez okno, po czym spuściła się po dachu przybudówki na dziedziniec stajenny. W Forres Castle Alice często wymykała się z ich wspólnego pokoju przez okno, a Lucy przyglądała się temu, wiedziała więc, jak się to robi.

Jedynie, z czego nie była zadowolona, to ubiór, jaki miała na sobie. Nie było dość czasu, by dokładniej przejrzeć zawartość szuflady komody, włożyła więc to, co wpadło jej pod rękę: białą bluzkę z dużym dekoltem, który zakryła jaskrawą chustą, chłopięce bryczesy, za ciasny i przykrótki żakiet oraz dziurawe pończochy. Niestety, w komodzie nie znalazła butów. Dopiero w stajni natrafiła na podniszczoną parę, należącą zapewne do chłopaka stajennego. Były trochę za duże i nabawiłaby się pęcherzy, gdyby musiała w nich chodzić. Obrazu dopełniały potargane, luźno puszczone na ramiona włosy. Lucy wiedziała, że nie wygląda jak dama.

Droga, wijąc się, zniżała się do jeziora, którego tafla lśniła w słońcu. Na brzegu widać było nieliczne wiejskie domostwa; między zabudowaniami kury grzebały w ziemi, a bielizna suszyła się na sznurach. Zabudowania były w opłakanym stanie, na kamienistych poletkach wokół nich rosły rzędy kapusty i fasoli. Niektóre zagrody były opuszczone, o czym świadczyły pozałamywane dachy i wyrastająca z załomów murów trawa. Inne nosiły ślady pożaru. Widok był bardzo przygnębiający.

Kiedy Lucy zrównała się z pierwszą zagrodą, zza płotu wyszedł mężczyzna. Odłożył na bok motykę, po czym otrzepał z kurzu dłoń. Musiał być młody, nie więcej niż dwudziestokilkuletni, ale twarz już miał pooraną bruzdami i poruszał się ociężale.

– Dzień dobry... panienko – przywitał się i przesłonił dłonią oczy, żeby przyjrzeć się Lucy.

Z łatwością odgadła, że mężczyzna zastanawia się, kim ona jest. Dosiadała dorodnego rasowego konia, juki podróżne były pełne, miała przytroczone za duży na nią pas z szablą, ale na sobie liचे ubranie. Mógł ją wziąć za złodziejkę, ale odniósł się do niej przyjaźnie.

– Dokąd panienka jedzie? – zapytał.

– Do Durness Castle. Czy jestem na dobrej drodze?

– Musi panienka skrócić na północny zachód. Ta droga rozwidla się za kępą sosen – wskazał ręką – a przed rozwidleniem może panienka napić konia w jeziorze.

– Dziękuję. Powiedzcie mi, jak się nazywa pan tej ziemi?

– Cardross – odparł mężczyzna i splunął pod nogi.

Mieszkańcy tych zabudowań, tak biedni, że ledwo mogli wyżyć z tej zaniedbanej ziemi, byli dzierżawcami Wilfreda! Lucy zrobiło się zimno, chociaż słońce dobrze przygrzewało. Zabłądziła, jechała prosto w paszczę lwa. Będzie musiała zachować wyjątkową czujność.

Czuła na sobie wzrok wieśniaka, gdy zjeżdżała w dół, ku brzegowi jeziora, ale gdy się obejrzała, już go nie było. Nie miała nic do jedzenia. Mogła zapytać o jedzenie w wiosce, podejrzewała jednak, że jej mieszkańcy nie mieliby czym jej poczęstować lub co sprzedać. Jechała jakiś czas wzdłuż brzegu, który tworzył łagodną plażę, i pozwoliła koniowi napić się po drodze. Bała się zatrzymywać na dłużej, wiedząc, że znajduje się na ziemi kuzyna, który kazał ją porwać. Robert Methven dał się wczoraj we znaki Wilfredowi i jego ludziom tak, że odjechali z podkulonymi ogonami, ale mogli w każdej chwili wrócić, żądni zemsty. Nagle w panującej ciszy rozległ się odgłos wystrzału. Odwróciła się i przeraziła. Z kępy sosen wyjechało trzech jeźdźców. Rozpędzonego siwka dosiadał Wilfred Cardross.

Lucy wydała przeraźliwy okrzyk. Nie wiedziała, czy ktoś ją usłyszy ani, tym bardziej, czy pospieszy jej na ratunek, ale musiała spróbować zwrócić na siebie uwagę. Dobry skutek był taki, że koń Wilfreda spłoszył się i wierzgnął zadnimi nogami, omal nie zrzucając jeźdźcę z siodła. Zaczęła gorączkowo rozpinać rzemienie juków, wyciągnęła pistolet i wymierzyła w najbliższego napastnika. Niestety, ręce się jej trzęsły i chybiła. Mężczyzna dopadł do niej po kilku sekundach i wysadził ją z siodła. Upadła boleśnie na ziemię, a pistolet wysunął się jej z dłoni. Instynktownie zerwała się na nogi i rzuciła do ucieczki, ale napastnik dogonił ją bez trudu, złapał za ramię i uderzył w

twarz. Przerażona, Lucy potknęła się i upadła na plecy. Była oszołomiona, ale dobiegł ją głos Wilfreda:

– Mówiłem, żeby nie zrobić jej krzywdy!

Mężczyzna odpowiedział przekleństwem.

Lucy przekręciła się na bok, aby wstać. Nie zamierzała leżeć bezbronnie u stóp podłego kuzyna. Poczowała, że coś uwiera ją w bok, i uprzytomniła sobie, że to rękojeść szabli Roberta Methvena. Odezwał się w niej duch walki. Złapała szablę w obie ręce, zerwała się na nogi i cięła zaskoczony napastnika w ramię. Zawył z bólu i zatoczył się w tył. Tymczasem drugi jeździec zeskoczył z siodła i natarł na Lucy z wyciągniętą szablą.

Miała przed sobą dwóch wrogów. Nie było na co czekać.

Krzyk Lucy przeraził Roberta. Zeskoczył z kuca i wpadł między drzewa sosnowego zagajnika. Kiedy się z niego wyłonił po drugiej stronie, ujrzał scenę, której nie zapomni do końca życia.

Lucy stała twarzą do niego, w obu dłoniach dzierżyła szablę. Jeden z napastników leżał powalony na ziemi, obficie brocząc krwią. Drugi krążył wokół niej ostrożnie, zaś Wilfred Cardross zachodził ją z boku. Robert słyszał, co do niej mówił:

– Moja droga Lucy, nie bądź głupia. Odłóż szablę, porozmawiajmy. Jesteśmy krewniakami.

Lucy, nie patrząc w jego stronę, skupiona na okrążającym ją napastniku, rzuciła przez ramię:

– Zamilcz, Wilfredzie, rozpraszasz mnie.

Z dzikim okrzykiem Robert rzucił się na mężczyznę, który chciał zająć Lucy od tyłu. Zarekwirowany w gospodzie pałasz był stary, ale stanowił wciąż nie najgorszą broń. Pojedynek był krótki i krwawy. Robert nie walczył po rycersku, okoliczności temu nie sprzyjały. Natarł bardzo blisko, nie dając przeciwnikowi możliwości obrony, a kiedy ów zachwiał się, bez wahania wytrącił mu broń z dłoni i ciął go potężnie przez udo. Leżącemu przyłożył ostrze do gardła.

– Uważaj! – krzyknęła Lucy.

Robert odwrócił się. Obalony wcześniej napastnik zdążył wyciągnąć drugi pistolet z podróżnych juków Roberta i mierzył do niego, leżąc na ziemi. Robert kopniakiem uprzedził wystrzał; kula świsnęła mu obok ramienia. Obaj napastnicy zdołali podnieść się z ziemi i kulejąc, ruszyli w stronę swoich koni.

Tymczasem Lucy z szablą w dłoni krążyła wokół Wilfreda Cardrossa i chyba bawiła ją ta sytuacja. W pewnej chwili czubek jej ostrza znalazł się bardzo blisko jego grdyki, zdołał jednak w ostatniej chwili odparować jej cios. Robert obserwował ich zmagania. Zastanawiał się, czy nie interweniować, bo Cardross, wyższy i silniejszy od Lucy, miał nad nią fizyczną przewagę. Lucy jednak była szybka jak błyskawica i zręczniejsza od kuzyna. Robert nigdy nie widział podobnego zjawiska. Nie mógł wyjść z podziwu, patrząc na tę dziką istotę, która z ogniem w oczach toczyła pojedynek z bynajmniej nielekceważącym jej przeciwnikiem. Doszedł do wniosku, że i jemu trudno byłoby dotrzymać jej pola, gdyby walczył z zachowaniem zasad fair play.

Wilfred zaczynał mieć dość. Wykonał unik i pobiegł do swojego konia.

– Uciekaj, tchórze! – krzyknęła za nim Lucy.

Cardross i jego kompani puścili się galopem, wybijając kamienie spod kopyt koni.

Robert zbliżył się do Lucy. Dyszała ciężko. Potargane rude włosy oblepiały jej twarz, oczy miały skry. Miał ochotę porwać ją w ramiona, gdy zauważył pręgę od uderzenia w twarz. Zatrząsał się z oburzenia.

– Oni to zrobili? – zapytał.

Lucy dotknęła opuszkami palców uderzone miejsce i skrzywiła się z bólu. Robert był gotów zerwać się w pogoń za Cardrossem i jego ludźmi, którzy zniknęli w kępie sosen, ale Lucy przytrzymała go za ramię.

– Niech jadą, to bez znaczenia.

– Owszem, to ma znaczenie – upierał się.

– Teraz już nie. Proszę.

Była blada, odreagowywała napięcie. Robert przykrył ręką jej dłoń i poczuł, jak drży.

– Dziękuję za ostrzeżenie – powiedział. – Ten łotr byłby mnie postrzelił. Gdybyś pozwoliła mu na to, oszczędziłabyś sobie fatygi z odrzuceniem moich oświadczeń po raz trzeci.

– Proszę nie żartować.

– Nie żartuję. Dlaczego mi pomogłaś?

– Znaleźliśmy się po tej samej stronie barykady – powiedziała

szczerze, patrząc mu w oczy.

– Tak uważasz? – spytał Robert, zadowolony ze zmiany nastawienia Lucy.

W nocy w gospodzie znajdowali się po przeciwnych stronach. Woląла niebezpieczną ucieczkę w nieznaną od wyrażenia zgody na ślub. Obecnie nie potraktowała go jak wroga, tylko jak sprzymierzeńca.

Od wody ciągnęło chłodem, a Lucy dygotała nie tylko z wyczerpania, ale i z zimna.

– Jedźmy stąd – powiedział. – Musisz znaleźć się pod dachem i jak najdalej od Cardrossa. Następnym razem przyprowadzi zastęp ludzi.

Lucy odpięła pas z bioder i oddała go Robertowi. Dopiero teraz miał czas zauważyć jej ubiór. Wielkie wrażenie zrobiła na nim biała bluzka z głębokim dekoltem, który Lucy szybko zasłoniła chustą, zauważając, że nie spuszcza z niej wzroku.

– Co? – Szczelniej otuliła się kolorową chustą.

– Patriotyczne barwy – czerwień, biel i niebieska chusta – zażartował.

– Nic innego nie było w tej zapyziałej gospodzie. Widziałam się w lustrze. Wiem, jak się prezentuję.

– I co o tym sądzisz?

– Wyglądam jak dziewczucha z tawerny.

– Nie powiedziałbym. Bluzka przyciąga uwagę do twoich piersi.

– Niestety. Myślałam, że mi wyskoczą z dekoltu, gdy wymachiwałam szablą.

– To z całą pewnością wprowadziłoby kompanów Cardrossa w osłupienie.

– Nie mam zwyczaju za dużo pokazywać. Panny z dobrych domów tego nie czynią, to nie wypada.

– Widziałem więcej.

– Wiem, i nie jest mi z tym dobrze.

– Jak uciekłaś? Wydawało mi się, że solidnie cię związałem.

– Wierciłam się – wyjaśniła zwięźle.

Nie uspokoiło to rozpalonej wyobraźni Roberta. Niemal widział Lucy, jak z nadgarstkami przywiązanymi do słupków łóżka wije się, by się uwolnić z więzów. Ujął jej rękę. Na nadgarstku widać było otarcie. Poczul się jak ostatni łotr.

- Wyszłaś przez okno – powiedział.
- Zeskoczyłam z dachu – doprecyzowała.
- Dlaczego nie wzięłaś klucza?
- Miałam ryzykować, że obudzisz się, kiedy będę grzebała w kieszeniach?
- Na ogół śpię jak zabity, nawet w twardym drewnianym fotelu.
- Zapamiętam na przyszłość. Mieliśmy ruszać. Będziemy stać i czekać, aż Wilfred wróci tu z armią?

Robert umocował pas z przytroczoną szablą na biodrach, spakował pistolety, dosiadł Falcona i podał Lucy rękę, żeby usiadła przed nim. Nie sprzeciwiała się tym razem.

- Co robiłaś nad wodą?
 - Chciałam się wykąpać.
 - Woda w jeziorze jest lodowata.
 - Od dziecka przez całe lato pływam w morzu.
- Pływać też umie – Robert nie był zdziwiony. Żadna nowo odkryta umiejętność Lucy już go nie zaskoczy.

Falcon truchtem wspinał się ku drodze. Robert czuł, jak Lucy opuszcza napięcie. Oparła głowę na jego piersi i było mu z tym bardzo przyjemnie. Ogarnęło go uczucie do tej pory mu nieznane, którego nie potrafił nazwać. Przyciągnął Lucy jeszcze bliżej.

– Co się stało z drugim pistoletem? – zapytał. – Wystrzeliłaś z niego?

- Chybiłam. Nie jestem dobrym strzelcem.
- Za to szablą władasz nadzwyczaj sprawnie.
- Ty też. Zauważyłam tylko, że nie zawsze walczysz czysto.
- Tam, gdzie byłem, nie obowiązywały zasady, tylko skuteczność. Walczę, by zwyciężyć.

– Mogłam się była domyślić. W kanadyjskiej głuszy nie obowiązywały prawa?

– Żadne. Kiedyś ci o tym opowiem – dodał, zadziwiając sam siebie.

– Chętnie posłucham – odparła Lucy i zauważyła: – Musiało być ciężko żyć z dala od kraju i bliskich.

Trafiła w sedno, pomyślał Robert. Początkowo sądził, że nie przetrwa pogrążony w żalu po śmierci brata, odcięty od życia, jakiego znał, i od ludzi, których kochał. Był niemądrym młokosem,

nieroztropnym ryzykantem, sprzeciwiając się planom dziadka oplakującego utratę ukochanego wnuka i wymarzonego spadkobiercy. Dziadek przerzucił na Roberta nadzieje związane z przyszłością rodu, lecz on był za młody i niedostatecznie gotowy, żeby sobie z tym poradzić. Powiedział dziadkowi, żeby ulokował ambicje gdzie indziej, opuścił Methven, wsiadł na pierwszy statek, na jakim znalazło się wolne miejsce i popłynął za ocean.

Postanowił zmienić temat, ponieważ jeszcze nie dojrzał do zwierzeń.

– Domyślam się, że księżę kazał uczyć córki szermierki na równi z synami – zwrócił się do Lucy.

Słyszał, że wielu szkockich panów z górzystej części kraju tak postępowało, zwłaszcza jeśli synowie byli pozbawieni wszelkich zdolności jak Angus lub leniwi jak Lachlan.

– Od kiedy pamiętam, ojciec interesował się książkami, nie wojaczką. Szermierki nauczyłam się z poradników i dlatego walczę według zasad, a nie jak rozbójnik.

– Niemożliwe, żeby ktoś nauczył się władać szablą, czytając wskazówki.

– Członkinie Stowarzyszenia Błękitnej Pończochy odbyły kilka praktycznych lekcji. Zaangażowałyśmy najlepszego mistrza fechtunku w Edynburgu.

– Jakżeby inaczej. Przypuszczam, że treningi urozmaicały czas między pokazami tańca wschodniego a masażami.

– Dama powinna być przygotowana na obronę w każdych okolicznościach – stwierdziła Lucy.

– Czego jeszcze uczyły się członkinie stowarzyszenia? Pytam, bo też chcę być przygotowany.

– Strzelania z łuku, polowania z sokołami, strzelania z pistoletu. Ale, jak już mówiłam, nie celuję w korzystaniu z broni palnej.

– Dobrze wiedzieć, że jest coś, w czym nie jesteś wzorowa. Podobała ci się utarczka na szable?

Lucy zachnęła się, co Robert przyjął ze zdziwieniem.

– Walka nie może się podobać, bo jest niecywilizowana.

– Masz prawo tak sądzić, lecz pojedynki na szable, choć dziki i prymitywny, jest podniecający, odwołuje się do głęboko zakorzenionych w nas instynktów.

Po sposobie, w jaki Lucy się poruszyła, Robert odgadł, że jego słowa zmąciły jej spokój. Wyprostowała się i wysunęła z zagłębienia pomiędzy jego ramionami. Uznał za zastanawiające, że ona nie rozumie samej siebie. Namiętna natura dawała o sobie znać wielokrotnie: na przykład gdy komponowała listy miłosne albo oddawała się czysto fizycznym zajęciom. Robert był gotowy przyjąć zakład, że Lucy będzie równie namiętna w intymnych zbliżeniach. Sądząc po jej pocałunkach, będzie zdolna do niezwykłych uniesień.

Zmienił pozycję w siodle. Musi przestać o tym myśleć, inaczej podróż, i tak długa i uciążliwa, będzie dlań koszmarem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Przed czwartą po południu dojechali do Findon, małego miasteczka na wybrzeżu. Lucy była obolała na całym ciele i głodna, lecz starała się to ukryć przed Robertem. W trakcie jazdy na jednym koniu krępowała ją fizyczna bliskość, wymuszona okolicznościami. Opierała się o jego tors, po bokach mając silne męskie ramiona i czując, jak udami naciska na jej nogi. Okazało się, że Robert więcej wiedział o jej naturze niż ona sama. Nie potrafiła wytłumaczyć, jak to możliwe, ale rozumiał ją tak dobrze jak nikt.

Nie sądziła, że są w niej pokłady dzikości. Spośród bliźniaczek Lucy była tą rozsądną, natomiast Alice ciekawą życia, lekkomyślną i nieposkromioną. Po tragicznej śmierci siostry Lucy zasklepiła się w poprawności. Zawiodła siostrę ten jeden jedyny raz, kiedy jej pomoc mogła coś znaczyć, i w ramach pokuty stała się idealną damą – wyważoną, układną, stonowaną. Głęboko skrywana dzikość jej natury jednak dawała o sobie znać. Znajdowała ujście, gdy zabierała się do pisania owych nieszczęsnych listów miłosnych, uwidoczniała się w wybuchach gniewu na Wilfreda, a także wtedy, gdy otaczały ją ramiona Roberta Methvena. Teraz w jednej ręce trzymał wodze, a drugą obejmował ją w pasie. Miała wątpliwości, czy tak być powinno, ale czuła się z tym podejrzenie dobrze.

Z zaciekawieniem oglądała schludne, zadbane domki, pozamiatane do czysta ulice, starannie odmalowane fronty sklepów. Miejscowość wyglądała znacznie lepiej niż zagrody we włościach Cardrossa. Przy kamiennym nabrzeżu kołysały się zacumowane łodzie rybackie, na łodzi suszyły się sieci. Ostre morskie powietrze było przesycone zapachem ryb i soli.

– Ładnie tu – pochwaliła. – Kto włada tą ziemią?

– Ja – odparł markiz. – Do mnie należy cały ten pas wybrzeża oraz widoczna na horyzoncie wyspa zwana Golden Isle.

Rozpierała go duma. Zatrzymał konia i wpatrzył się w łańcuch odległych wysp. Lucy spodziewała się dodatkowych wyjaśnień, ale Robert zawrócił konia na wybrukowaną kocimi łbami uliczkę, gdzie nisko kładły się cienie domów, i wjechał pod łukowatą bramą na podwórze gospody.

Ich przyjazd wywołał poruszenie. Naprzeciw wybiegł właściciel, ogorzały na twarzy mężczyzna po pięćdziesiątce, wycierając dłonie o pasiasty fartuch.

– Kłaniam się nisko, milordzie!

– Witaj McLain! Co słychać?

– Wszystko dobrze. Nie miałem pojęcia, że wybieraliście się, panie, do nas. Nie zawiadomiliście nas...

– Nagła zmiana planów. Przedstawiam ci moją narzeczoną, lady Lucy MacMorlan. – Mówiąc to, Robert zсадził Lucy na ziemię. – Mieliśmy trudną podróż. Potrzebujemy dwóch pokoi, gorącej wody do mycia i czegoś do zjedzenia.

Właściciel gospody skłonił się ze słowami:

– Milady!

Lucy przyłapała jego zdumione spojrzenie, rzucone Robertowi. Potrafiła sobie wyobrazić, jak wygląda. Zakurzona, ubrana w chłopięce spodnie i wyzywającą bluzkę. Nie zdziwiłaby się, gdyby oberżysta pomyślał, że Robert przyjechał z kochanką, nie z narzeczoną.

– Zaręczyny nie są jeszcze ogłoszone – wyjaśnił Robert, zerkając ostrzegawczo na Lucy, żeby nie zaprzeczyła jego słowom. – McLain, jesteś pierwszym, który się o tym dowiaduje.

– Leć no, który, po moją żonę! – krzyknął właściciel gospody do gapiącej się służby. – Trzeba zaprowadzić lady Lucy do pokoju – dodał, po czym zaprosił gości do środka.

Lucy była zmęczona i obolała od siedzenia w siodle, a nogi miała jak z waty, ale starała się nie okazywać tego po sobie. Poczowała smakowity zapach pieczonego mięsa, który dochodził z kuchni, i zaburzało jej z głodu w brzuchu.

– Proszę mnie zrozumieć, nie miałem wyboru – odezwał się do Robert, gdy McLain zostawił ich samych w wyłożonej ciemną boazerią sali. – Musiałem przedstawić cię jako narzeczoną. Inaczej zhańbiłbym cię w oczach moich ludzi.

– Rozumiem – odparła chłodno Lucy.

– Niepotrzebny ten zimny ton, moja droga. Nie zamierzam zaakceptować trzeciej odmowy.

– To też rozumiem.

Lucy była świadoma, że to nie są konwencjonalne zaręczyny ogłoszone w celu uratowania twarzy i zerwane, gdy już spełnią swoją

rolę. Na to było o wiele za późno. Małżeństwo zostanie zawarte i skonsumowane, pomyślała i ogarnął ją strach. Uparcie patrzyła w bok, ale czuła na sobie wzrok Roberta. Nagle pochylił się i ucałował ją tak mocno, że przeszły ją ciarki aż po czubki palców u stóp.

– Porozmawiamy o tym podczas kolacji – zapowiedział.

– Jest sens? – zapytała, nie chcąc łatwo się poddać.

– Ależ tak. Powinnaś dostać ode mnie zaręczynowy pierścienek – odparł markiz i zdjął z palca sygnet.

Pierścień był ciepły od jego palca, ciężki i solidny, i o wiele za duży dla Lucy.

– Później kupię ładniejszy.

– Ten mi się podoba. – Wyglądało na to, że ucieszył ją fakt, że on z niej nie zrezygnował i wziął pod opiekuńcze skrzydła, co ją zdziwiło. – Jest w twoim guście.

– Ach, dziewczyno...

Zanim Lucy się obejrzała, znalazła się w ramionach Roberta. Całował ją z pasją. Uległa jej, zapominając, że nie może za niego wyjść za mąż. Uciekała, kradła, walczyła i kłamała, żeby go nie poślubić. Kiedy sobie o tym przypominała, chciała wysunąć się z jego ramion, ale było za późno, bo w głębi duszy chciała się poddać.

– Nie walcz ze mną. – Szept Roberta był echem jej myśli. – Jesteśmy po tej samej stronie.

Nic nie rozumie, bo nie wie, pomyślała i jęknęła sfrustrowana. Puścił ją natychmiast.

– Lucy... – zaczął Robert.

Wiedziała, że zapyta o przyczynę jej frustracji, a nie była pewna, czy może wyjawić mu prawdę, którą pogrzebała przed ośmioma laty i nie pozwalała jej ujrzeć światła dziennego. W tym momencie za drzwiami rozległy się jakieś odgłosy.

– To Isobel – powiedział Robert. – Ona się tobą zajmie.

Potrzebujesz czegoś?

– Stosownego ubrania.

– Postaram się coś znaleźć.

– Czuję się bardziej jak kochanka niż żona – zauważyła cierpko.

– Możesz poczuć się jeszcze bardziej jak kochanka, jeśli takie jest twoje życzenie – odparł Robert i spojrzął tak, że spłonęła rumieńcem.

Sytuację uratowało pukanie do drzwi.

– Milordzie...

Do sali weszła kobieta, która nie pasowała do wyobrażenia Lucy o tym, jak powinna wyglądać żona oberżysty. Za nią wsunęła się ciemnowłosa dziewczynka, nie więcej niż czternastoletnia. Wychylała się zza pleców matki, ciekawa narzeczonej markiza.

– Jak się masz, Isobel. – Markiz uściskał kobietę, która w jego ramionach wyglądała jak w objęciach niedźwiedzia. – I jak się ma moja chrześniaczka?

Dziewczynka zachichotała, a Robert złapał ją za rękę i złożył na niej pocałunek.

– Lady Lucy – powiedział – to pani Isobel McLain i jej córka Elizabeth.

– Bessie – sprostowała dziewczynka, dygając przed Lucy. – Jest pani bardzo ładna, milady, ale co stało się z pani twarzą?

– Bessie, zamilcz – skarciła córkę Isobel. – Zajmę się pańską narzeczoną, milordzie – zapewniła Roberta. – Proszę za mną, milady – zwróciła się do Lucy.

– W takim razie czuję się zwolniony z obowiązków pokojówki – zażartował Robert.

– Wierzę, że sprostałby pan tej roli, ale damy sobie radę bez pana – odparła Isobel.

W pokoju czekała kąpiel. Pachniało lawendą i ziołami, których nazw Lucy nie potrafiła wymienić.

– Dodałam do wody naparu z rumianku, to panią odpręży. Mamy we wsi zielarkę, która dostarcza nam różnych przydatnych specyfików.

– Jak cudownie, o czymś takim marzyłam! – zawołała Lucy.

Zanurzyła się w wannie. Tego jej było trzeba po męczącej podróży w siodle. Napięte mięśnie pod wpływem ciepła rozluźniły się, ogarniała ją senność. Zanurzyła się głębiej, żeby umyć włosy. Zza parawanu, którym Isobel przesłoniła wannę, słyszała, jak gospodyni upomina córkę:

– Nie zadawaj żadnych pytań milady, nie wypada.

– Nie mam nic przeciwko pytaniom – wtrąciła się Lucy.

Wycisnęła wodę z włosów, które były teraz miękkie i cudownie pachniały. Owinęła się prześcieradłem kąpielowym i podreptała do toaletki. Przyjemnie było stąpać rozgrzаныmi bosymi stopami po

drewnianej podłodze.

– Wciąż czekamy na ubrania, po które kazał posłać lord Methven. W Findon jest tylko jedna krawcowa i nie wiadomo, czy ma coś gotowego. Zastanawiam się, czy tymczasem nie zechciałaby milady pożyczyć suknię od mnie. Oddałabym swoją najlepszą, niedzielną.

– Z przyjemnością skorzystam – odrzekła Lucy, a Isobel pokraśniała z zadowolenia.

– Nie podejrzewam, by zechciała pani zatrzymać te rzeczy – wskazała brudne ubranie, które Lucy pozostawiła na podłodze – ale jeśli pani sobie życzy, możemy je uprać.

– Ależ, nie dziękuję. Chętnie się ich pozbędę.

– Myśleliśmy, że lord Methven przywiózł sobie za żonę aktorkę cyrkową – powiedziała cicho Bessie i zachichotała.

– Wcale mnie to nie dziwi – zgodziła się Lucy.

Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Potargane włosy opadały na ramiona. Wyglądała blado. Na kości policzkowej utworzył się czerwony obrzęk, pamiątka po spotkaniu z Wilfredem. Nie znosiła kuzyna, lecz nie podejrzewała go o rażący brak lojalności rodzinnej, a także o bezwzględność. Nigdy mu tego nie zapomni i nie wybaczy.

– Zrobimy kompres z arniki na pani sińce, milady – powiedziała z dziwną miną Isobel.

– Nie myśl, że lord Methven to uczynił. Zostaliśmy napadnięci przez mojego kuzyna, hrabiego Cardross, i ludzi z jego klanu.

Z rąk Isobel wypadł słoiczek i potoczył się po podłodze.

– Dobry Boże, pani jest kuzynką hrabiego?! – podniosła głos i pobladła.

W oczach Bessie widać było przerażenie.

– Niestety, ale odległą. Ani trochę nie jestem do niego podobna.

Reakcja na wzmiankę o Cardrossie była aż nadto wymowna. Zapewne w tej okolicy straszono nim dzieci.

– Proszę wybaczyć, milady – zaczęła się tłumaczyć Isobel. – Obecnie jesteśmy bezpieczni, bo chroni nas milord Methven, ale kilka lat temu, za życia starego markiza, nie byliśmy pewni dnia ani godziny. Ludzie Cardrossa wypuszczali się na naszą ziemię. Kradli, grabili, napadali. Pewnego razu spalili miasteczko i uprowadzili żywy inwentarz.

– On pali własną ziemię, kiedy zezłości się na ludzi – dorzuciła Bessie.

– A co na to prawo? – zdumiała się Lucy.

– Na tych terenach Cardross stanowił prawo. Musieliśmy sami się bronić.

Lucy ogarnął wstyd. Zdała sobie sprawę z tego, w jakim oderwaniu od rzeczywistości żyła otoczona książkami w Forres i w Edynburgu, nieświadoma, jak toczy się życie zwykłych ludzi. Przebywając w złotej klatce, nie miała pojęcia, z jakim trudem wieśniacy usiłują utrzymać się z uprawy roli, jak ciężko muszą pracować choćby tacy ludzie jak Isobel i jej rodzina. Pojęła, dlaczego Robert walczy o dobro klanu i gorączkowo zabiega o zabezpieczenie jego przyszłości. Ważni są dla niego ludzie, których może zniszczyć okrucieństwo i przemoc, szerzone przez Wilfreda.

– Słyszeliśmy plotki, że nasz lord musi ożenić się z krewniaczką Cardrossa, żeby spełnić warunki dziedziczenia – powiedziała Isobel. – Myśleliśmy, że to będzie wielkie poświęcenie z jego strony.

– Prawdopodobnie tak – odparła ze śmiechem Lucy.

– Raczej nie, sądząc z tego, jak on na panią patrzy, milady. Moim zdaniem, nie ma mowy o poświęceniu.

– On panią lubi, milady – zawtórowała matce Bessie. – Bardzo panią lubi.

– Uczeszę panią – zaofiarowała się Isobel – a Bessie przyniesie niebieską muślinową sukienkę.

– Nie wymagam aż takiej obsługi. Mogę sama się uczesać, macie chyba pełne ręce roboty w gospodzie – zaprotestowała Lucy.

– Dziękuję za troskę, milady, ale dla mnie nie ma nic ważniejszego niż służenie pani naszego lairda. Jak się pani ubierze, zejdziemy na kolację. Musi być pani bardzo głodna.

– O tak. Nie jadłam przez cały dzień.

Lucy przypomniała sobie zapowiedź Roberta, że w czasie kolacji pomówią o zaślubinach. Nagle straciła apetyt. O czym tu rozmawiać? Wszystko zostało postanowione, możliwość wycofania się nie istnieje. Patrzyła niewidzącym wzrokiem na swoje odbicie w lustrze jeszcze długo po tym, gdy Isobel skończyła rozczesywać jej włosy.

Tego wieczoru było gwarno i tłoczno w gospodzie. Isobel zaprowadziła Lucy do osobnej jadalni. Wyłożone dębową boazerią

wnętrze okazało się przytulne, ciepłe i dobrze oświetlone ogniem płonącym w kominku i świecami umieszczonymi w kilku lichtarzach. Robert już czekał. On też zdążył się wykąpać, ogolić i przebrać. Wstał na powitanie Lucy i odsunął krzesło, na którym usiadła przy okrągłym stole.

– Ślicznie wyglądasz – zauważył.

Nieoczekiwanie Lucy poczuła się tak onieśmielona, że bała się na niego spojrzeć, skupiła więc uwagę na karafce, z której nalał czerwonego wina do dwóch kryształowych kieliszków. Stół ugiął się od jedzenia: stała na nim waza z parującym mięsnym gulaszem, półmisek z pachnącą wołowiną i szynką, koszyczek ze świeżym chlebem, a także kremowy wiejski ser.

– Dobrze karmią w tej gospodzie – zauważyła.

– Iain McLain był stangretem w Methven, dopóki nie utracił zdrowia w wypadku drogowym. Mój dziadek osadził go tutaj i powiodło mu się, gospoda stała się bardzo popularna. *Slàinte mhòr*. – Robert wznosił kieliszek. – Piję zdrowie mojej pięknej i utalentowanej towarzyski broni.

Utkwił w niej spojrzenie ciemnoniebieskich oczu i Lucy zrobiło się gorąco.

– Powiedziałem Isobel, że sami się obsłużymy. Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

Lucy sięgnęła po chleb i posmarowała go masłem, po czym nabrała gulaszu na talerz.

– Jaki był twój dziadek? – zapytała. – Przewodził klanowi?

Zauważyła, że Robert nie kwapi się z odpowiedzią. Wyczuła, że dotknęła drażliwego tematu, ale nie miała pojęcia, co mogło być kłopotliwego w niewinnym pytaniu. Miała na palcu sygnet Roberta, pójdzie z nim do ołtarza, a nic o nim nie wie.

– Dziadek był gwałtownym i dumnym człowiekiem, zapatrzonym w dawne czasy – odezwał się wreszcie markiz, nałożywszy sobie na talerz gulaszu. – Pamiętał Wielką Rebelię, do której doszło w tysiąc siedemset czterdziestym piątym roku^[1]. Nienawidził Anglików i ich królów, nie rozumiał, dokąd zmierza świat.

– Lubieś go?

– Nie, nie lubiłem – odparł szczerze Robert, po chwili wahania. – Nie zgadzaliśmy się w wielu sprawach. Na starość haniebnie

zanieczyścił włości, co bardzo rozzuchwalało Cardrossa do najazdów na nasze ziemie. Po powrocie do kraju musiałem mocno się starać, by zapewnić bezpieczeństwo naszym ludziom. Jestem pewny, że dziadek przewraca się w grobie, widząc moje metody. Był o mnie jak najgorszego mniemania i niechętnie pozostawił mi sukcesję. Niestety, nie miał pod ręką nikogo godniejszego, w jego mniemaniu.

– A babcia? Też była sroga?

Tym razem na twarzy Roberta pojawił się uśmiech.

– Babcia ma miękkie serce niejako wbrew srogiej powierzchowności. Ona jedyna... – Urwał. Lucy czekała, żeby dokończył, ale on zmienił temat: – Methven nie miało należeć do mnie, tylko do mojego starszego brata Gregora.

– Wiem, że nie żyje. Przykro mi. – Lucy utraciła ukochaną bliźniaczą siostrę i potrafiła wyobrazić sobie, co czuł po śmierci brata i spadkobiercy rodu. Musiało być mu ciężko.

– Dziękuję, to było dawno temu. – Zlekceważył słowa współczucia.

– Pokłóciłeś się wtedy z rodziną i wyjechałeś? – drażyła.

Przypomniała sobie, że chodziły słuchy o rodzinie Methvenów, ale wtedy, w smutnym czasie po śmierci Alice, nie bardzo wiedziała, co się wokół niej dzieje. Teraz wróciły słowa ojca, który wspominał o rodzinnej tragedii u Methvenów i wyjeździe młodszego syna do Kanady.

– Dlaczego wyjechałeś?

– Dziadek uważał mnie za niegodnego objęcia schedy, ale po śmierci Gregora nie miał wyjścia, musiał mnie uczynić spadkobiercą. Nie byłem gotowy do przejęcia na siebie odpowiedzialności i doszło do kłótni. Chciałem spróbować szczęścia gdzie indziej.

– Ale czemu tak daleko od domu? Przecież po śmierci brata nie było nikogo do przejęcia włości...

– Byłem młody i głupi – uciał. – Napijesz się jeszcze? – spytał i wziął karafkę.

Sygnal był jasny. Lucy pojęła, że markiz nie dojrzał do zwierzeń, co ją uraziło. Obróciła na palcu sygnet. Był ciepły i ciężki, ale pociecha z jego posiadania była iluzoryczna. Nie związał ich bliżej, ponieważ Robert nie chciał się przed nią otworzyć.

– Dziękuję – odpowiedziała tak zimno, jak tylko potrafiła.

– Wysłałem list do Mairi, w którym zapewniłem, że jesteś bezpieczna – odezwał się Robert po dłuższej chwili nieznośnego milczenia. – A także do twojego ojca. Poinformowałem go, że nasz ślub odbędzie się jutro.

Lucy podskoczyła na krześle.

– Jutro! – wykrzyknęła.

– Tak. Nosisz mój pierścień. Odniosłem wrażenie, że przyjęłaś oświadczyny.

– Dałeś mi go wyłącznie po to, żeby ratować moją reputację.

– Dałem, ponieważ chcę cię poślubić – sprostował. – Na własnej skórze przekonałaś się, jak działa Wilfred Cardross. Pozwolisz, by te ziemie i ci ludzie wpadli w jego łapska?

– To nie fair!

– Nie można mu dać wygrać.

– Nie – przyznała szeptem.

– Na silnych spoczywa odpowiedzialność za bezpieczeństwo słabszych. – Nakrył jej dłoń swoją ręką. – Jesteś silna, Lucy.

– Tak sądzisz? – Nie uważała się za silną. Obwiniła siebie o słabość, ponieważ zawiodła Alice i jej dziecko.

– Możesz pomóc moim ludziom.

– Tak – szepnęła.

Miała świadomość, że klamka zapadła. Robert nie ustąpi, a ona nie wróci do dawnego życia, jakby nic się nie wydarzyło. Już teraz wydawało się jej odległe.

– Potrzebujesz żony, by wypełnić warunki traktatu. –

Wypowiedziała te słowa z trudem, bo zaschło jej w gardle. Napila się wina, lecz nie czuła jego smaku.

– Nic podobnego. – Zacisnął palce na jej dłoni. – Potrzebuję ciebie.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Lucy spojrzała Robertowi w oczy i powiedziała:

– Chcesz żony, która da ci dziedzica.

– To prawda. Potrzebuję syna.

– W takim razie nie mogę zostać twoją żoną. Nie urodzę dziecka.

To wykluczone.

Nie zastanawiała się, jak markiz zareaguje na kategoryczną odmowę. Wiedziała tylko, że musi postawić sprawę jasno. Zdziwiła się, że nie zażądał wyjaśnień, nie próbował jej przekonywać ani zastraszać. Popatrzył tylko z namysłem i poczuła, że jej napięcie trochę maleje, strach jest mniej paraliżujący.

– Przeczuwałem, że coś jest nie w porządku – wyjąwił. – Proszę, opowiedz mi o tym.

– Rzeczywiście chcesz posłuchać?

– Uciekałaś ode mnie, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo. Odrzucałaś moje oświadczenia, nie bacząc na skutki dla własnej reputacji. Musiałbym być głupcem, by nie zorientować się, że chodzi o bardzo ważny powód silnego przekonania, że nie możesz mnie poślubić. Pochlebiam sobie, że nie chodzi o osobistą niechęć, ale jeśli się mylę, to być może teraz jest najlepszy moment, byś mi to wyznała.

– Ależ, Robercie, ja cię lubię.

Właściwie dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak bardzo go lubi, jak podniecające jest dla niej jego towarzystwo i jak bardzo żałuje, że ma defekt uniemożliwiający im planowanie wspólnej przyszłości.

Robert wstał z krzesła i przysiadł naprzeciwko niej na skraju stołu.

– Tym bardziej chciałbym usłyszeć, dlaczego nie moglibyśmy się pobrać. Co to za powód, który to wyklucza? Przecież byłaś gotowa wyjść za MacGillivraya. Ponoć był ideałem.

– Nikt nie jest chodzącym ideałem – oznajmiła Lucy, zadowolona, że może być szczerą po tylu latach udawania. – Lord MacGillivray był dobrym człowiekiem, ale ideałem tylko o tyle, że nie miał wobec mnie pewnych oczekiwań.

– Nie chciał skonsumować małżeństwa – podpowiedział łagodnie

Robert. – Wybrałaś MacGillivraya, ponieważ cię nie pożądał. – Uniósł jej brodę, zmuszając ją, żeby spojrzała mu w oczy. – Boisz się intymności, która łączy męża i żonę.

– Obawiam się konsekwencji takiej intymności – sprostowała Lucy – ciąży i wydania na świat dziecka... – dokończyła załamującym się głosem.

– Dlaczego? Co się stało? – spytał spokojnie, bez ponagrania Robert.

Pomógł Lucy wstać od stołu i poprowadził ją w stronę kominka, przy którym stała wyściełana kanapka. Usiadł i zachęcił, by zajęła miejsce obok niego.

– Miałam siostrę Alice – rozpoczęła Lucy. – Byłyśmy bliźniaczkami, a ona umarła podczas porodu. Wszystko zaczęło się tego wieczoru, kiedy gościłeś w Forres. Alice obserwowała z okna panów na tarasie. Zobaczyła Hamisha Purnella i zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Na początku było to niewinne zauroczenie, ale potem przerodziło się w coś więcej. Tyle że ja nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Robert ujął dłoń Lucy i gładził kciukiem jej wierzch, tym sposobem uspokajając ją i podkreślając, że uważnie jej słucha.

– Purnell był żonaty, a mimo to wdał się w romans z szesnastoletnią niedoświadczoną dziewczyną. Alice wymykała się z domu, aby się z nim spotykać. Uważała, że to romantyczne. Prosiłam, by była ostrożna, ale nie chciała słuchać. Była głucha na głos rozsądku. – Niespodziewanie Lucy poczuła do siostry złość tak silną, jakby jej szaleństwo zdarzyło się dopiero wczoraj. – Wiedziałam, że postępuje źle. Mówiłam jej...

– Co wydarzyło się później?

– Romans się skończył, a raczej tak uważałam. – Lucy wiedziała, że wykazała się naiwnością. – Po pewnym czasie zorientowałam się, że coś jest nie w porządku. Alice się zmieniła. Beztroska, śmiejąca się także wtedy, gdy nie dostrzegałam powodu do śmiechu, i frywolna, gdy ja wolałam zachować powagę, zmizerniała, ścichła i zamknęła się w sobie. Utraciła wszelką radość życia.

– Była w ciąży – odgadł Robert.

Lucy skinęła głową.

– Ubodło mnie, że mi się nie zwierzyła. Czułam się tak, jakbym

ją zawiodła, i dlatego nie chciała mi zaufać. – Lucy wciąż nie potrafiła tego przeboleć, bo wcześniej nie miały przed sobą tajemnic, wszystko sobie mówiły.

– Poradziłaś się kogoś? – zapytał Robert.

– Kazała mi przysiąc nad grobem matki, że nikomu nie pisnę słówka.

Rzecz oczywista, wówczas nie mogła odmówić. Chociaż Alice długo utrzymywała ją w nieświadomości, Lucy dotrzymała przerażającego sekretu, mimo że ogromnie jej ciążył.

– Zapewne czułaś się bardzo przytłoczona tą straszną tajemnicą – zauważył współczująco Robert, jakby wtórując jej myślom. – Przykro mi, że musiałaś się z tym sama zmagać.

– Alice zaplanowała, że urodzi dziecko w tajemnicy, odda je na wychowanie i w ten sposób nikt się o niczym nie dowie. Bała się o utratę reputacji. Nie domyślałam się, w jakim jest stanie, bo zawsze była bardzo dzielna. Z perspektywy czasu rzuca się w oczy, że przecież była przerażonym dzieckiem. Podobnie jak ja.

– Byłyście bardzo młode. Na pewno musiałyście się bać.

– Miałyśmy po szesnaście lat. Poród nastąpił za wcześnie, w siódmym miesiącu. Żadna z nas nie wiedziała, co robić. To było przerażające.

Lucy zrobiło się zimno jak zawsze, gdy wracała pamięcią do tamtego tragicznego dnia. Chciała zepchnąć w niepamięć te wspomnienia, uciec od nich, jak robiła to do tej pory. Teraz dotyk ręki Roberta i zachęta w jego spojrzeniu dodawały jej siły, by wreszcie pozbyć się ciężaru.

– Wiedziała, że jest niedobrze, ale Alice błagała mnie, bym jej nie opuszczała. Do samego końca bała się o swoją reputację, więc kiedy wreszcie pobiegłam po pomoc... Mogłam uratować ją i dziecko, gdybym wcześniej poszukała pomocy, ale tego nie zrobiłam.

Zamilkła, bo poczuła się wyczerpana.

– Lucy.

Robert wymówił jej imię tak łagodnie, że chciała zatkać rękami uszy, żeby odciąć się od troski i współczucia. Wiedziała, że za chwilę rozklei się i rozplacze.

– Nie ponosisz winy za śmierć Alice i dziecka – kontynuował stonowanym głosem. – Nie biczuj się. Zachowałaś się tak, jak

uważałaś, że będzie najlepiej. Miałaś tylko szesnaście lat. Musisz sobie wybaczyć.

– Nie potrafię.

Nie mogąc dłużej powstrzymać płaczu, dała upust rozpaczy. Robert wziął ją w ramiona i nie wypuszczał z objęć.

– Najdroższa – szepnął i przycisnął ją mocno do piersi.

Lucy odkryła ze zdumieniem, jak dobrze jest mieć go koło siebie. Przypomniała sobie jednak, czym ta bliskość może grozić i chciała się odsunąć, ale Robert jej na to nie pozwolił. Pogodziła się z bliskością i czerpała z niej pocieszenie, którego tak bardzo potrzebowała.

– Przepraszam. Bardzo mi przykro – wyszeptała.

Uniósł jej głowę i musnął ustami jej wargi.

– Nie masz za co przepraszać. Nie zrobiłaś nic złego. Nie ma twojej winy w tym, że umarli. Byłaś bardzo dzielna.

Rozpłakała się ponownie.

– Dobrze, że płaczesz. Mam wrażenie, że nigdy o tym nikomu nie mówiłaś.

– Nie mogłam. Poczucie, że jestem wszystkiemu winna, nie pozwalało podzielić się z nikim tą przerażającą tajemnicą.

Robert jeszcze raz pocałował ją delikatnie, po czym zauważył:

– Nie odwracasz się ode mnie, co bardzo mnie cieszy. Nie dziwię się, że przeraża cię perspektywa małżeńskiego pożycia i urodzenia dziecka. Po tym, co przeżyłaś, masz prawo sądzić, że wszyscy mężczyźni to egoiści i łotry jak Hamish Purnell.

– Do ciebie mam zaufanie – wyznała Lucy.

Czuła się tak, jakby ciemności, w których żyła, rozwarły się, a w utworzoną szczelinę wdarło się srebrzyste światło i rozjaśniło pustkę panującą w jej sercu. Trudno było uwierzyć, że jest to możliwe po ośmiu jałowych latach, ale rzeczywiście tak się stało. Tyle że to o wiele za mało. Robert obserwował ją bacznie i Lucy wyczytała w jego wzroku, że on wie, co ona zamierza powiedzieć.

– To niczego nie zmienia – szepnęła. – Jestem naznaczona. Nie potrafię uwolnić się od tego strachu.

Chciał się sprzeciwić, więc położyła mu palce na ustach, żeby go uciszyć.

– Nie mogę ci niczego obiecać, a gdybym jednak to zrobiła, nie byłabym wobec ciebie w porządku.

Robert uniósł do ust jej dłoń i delikatnie ucałował palce.

– Jeśli za mnie wyjdiesz, przyjmę wszystkie warunki.

Przysięgam, że nie będę zmuszał cię do zbliżenia.

– Przecież małżeństwo na takich warunkach jest dla ciebie nie do przyjęcia. Potrzebujesz spadkobiercy.

Uśmiechnął się tajemniczo.

– Myślę, że z czasem doczekam się spadkobiercy. Zaufaj mi.

– Problem nie polega na tym, że jesteś mi niemiły.

– Zauważyłem.

Lucy była pewna, że Robert nie będzie od niej żądał więcej, niż zechce mu dać. Problem polegał na tym, iż nie wyobrażała sobie, by kiedykolwiek mogła zostać matką. Sama myśl o tym napawała ją przerażeniem, bo nie potrafiła wyrzucić z pamięci naznaczonej śmiercią twarzy Alice.

– Wyjdź za mnie – poprosił cicho. – Uwierz, że razem podołamy wszystkiemu.

Lucy pomyślała o Wilfredzie Cardrossie, który rościł pretensje do ziemi Methvenów, i o ludziach z jego klanu palących i pustoszących wioski. Ci Bogu ducha winni wieśniacy zapłacą za jej wolność.

Przyszło jej też do głowy, że może więcej nie spotka Roberta Methvena, dla którego była jedyną nadzieją na zapewnienie przyszłości dla całego jego klanu. Była świadoma, że wpatruje się w nią w wielkim napięciu, tak wiele zależało od jej decyzji.

– Dobrze, wyjdę za ciebie – powiedziała cicho, choć nie pozbyła się lęku.

Robert, który postawił wszystko na jedną kartę, i przypuszczał, że jednak przegra, ogarnęła radość.

– Dziękuję.

– Ale nie jutro – zastrzegła się Lucy. – Za kilka dni.

– Jutro.

Spojrzała mu głęboko w oczy i zrozumiała, że nie może go zawieść, nie może się poddać przy pierwszej próbie. Jeśli zamierza pokonać strach i zostać jego prawdziwą żoną, dać mu upragnionego syna, musi uwierzyć w jego dobre intencje i obietnice.

– Zgoda, niech będzie jutro – powiedziała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Robert stał na wychodzącym w morze moło. Robiło się późno, zapadała noc. W ciemnościach słyhać było huk i syczenie fal, niezmordowanie rozbijających się o brzeg. Daleko na horyzoncie majaczyła Golden Isle, jedyna część jego patrymonium, której nie odwiedził po śmierci brata. Po odziedziczeniu tytułu markiza i związanych z tym tytułem włości objechał wszystkie majątki, rozmawiał z ludźmi, zaangażował ogromne pieniądze i wielki wysiłek, żeby tchnąć nową energię w rozwój gospodarki i polepszenie bytu dzierżawców. Bronił północnych ziem przed napaściami ze strony Wilfreda Cardrossa, ale pozostawił swojemu losowi Golden Isle. Nie chciał jej widzieć, ponieważ wiązały się z nią bolesne wspomnienia śmierci brata, kłótni z dziadkiem i ucieczki od wszystkiego, co było drogim jego sercu.

Miał tam rządcę, człowieka o nazwisku McTavish, i uznał, że na razie to musi wystarczyć, bo on nie był gotowy przejąć odpowiedzialności za wyspę i jej mieszkańców. Nie domagał się raportów, a rządcą nie składał ich z własnej inicjatywy. Było tak, jakby Golden Isle nie istniała. Jutro wraz z Lucy udadzą się na południe i prawdopodobnie nigdy jego noga nie postanie na Golden Isle. Nagle ugodziło go poczucie winy.

Nie, pomyślał, tak być nie może!

Przed oczami stanęła mu twarz Lucy. Podczas kolacji próbowała nawiązać rozmowę na temat śmierci jego brata i tej brzemiennej w skutki kłótni z dziadkiem, która wyгнаła go z kraju. Nie chciał o tym mówić. Było mu wstyd, że z powodu urażonej dumy zlekceważył obowiązki i tak nierozważnie, lekkomyślnie rzucił wyzwanie dziadkowi, wybierając tułaczkę po świecie, zamiast zdjąć z barków złamanego nieszczęściem starca ciężar dbałości o rodzinę i klan. Nade wszystko nie chciał, by Lucy dowiedziała się, że swoim wyjazdem dał Wilfredowi Cardrossowi możliwość ubiegania się o przejęcie części ziem Methvenów.

Lucy była piękna, silna i dzielna. Ujęła go swoją odwagą. Wiedział, że nie pochwaliby go za zaniedbanie interesów klanu. Wielkim poświęceniem musiało być dla niej przyjęcie jego

oświadczyn. Zgodziła się, bo chciała okiełznać chciwość i okrucieństwo Wilfreda, bezpośrednio bijące w niewinnych ludzi. Skoro zdobyła się na akt odwagi, opowiadając mu o traumie związanej ze śmiercią siostry bliźniaczki, to on powinien zdobyć się na ujarzmienie prześladowających go demonów. Powinien wyprawić się na Golden Isle.

Schylił się po kilka kamieni i cisnął nimi w wodę. Kiedyś uwielbiał Golden Isle. Obaj z Gregorem ją uwielbiali.

Na spowitym w ciemnościach morzu nie było widać żadnych świateł. W niespokojnych czasach mieszkańcy wysp rozpalali ogniska. W ten sposób ostrzegali się nawzajem przed zagrożeniami lub wzywali pomocy. Dzisiaj, jak widać, nie było żadnych zagrożeń.

Ruszył z powrotem do gospody. Kamienny bruk uliczki połyskiwał na deszczu. Z oszklonych drzwi gospody biło na zewnątrz światło, lecz okno pokoju Lucy było ciemne. Robert poczuł się dumny, że jutro poślubi tę mądrą, piękną i waleczną kobietę. Lucy McMorlan miała wszystkie zalety, jakich oczekiwał od żony. Niestety, boleśnie naznaczyło ją nieszczęście siostry. Nie dziwił się, że obawiała się podzielić los zmarłej podczas połogu Alice. Rozumiał, że znalazła się na rozdrożu. Wiedział, że nie jest jej obojętny, a jednocześnie paraliżował ją strach przed konsekwencjami pożycia małżeńskiego. Miał szczęście ten Hamish Purnell, że zdążył umrzeć, pomyślał Robert, świadom, że odnalazłby drania choćby na krańcu świata i wytrząsnął z niego życie za krzywdę wyrządzoną Lucy i jej siostrze.

Wszedł do gospody. Pomyślał, czy by nie zapukać do Lucy i poprosić, żeby wpuściła go do pokoju. Potrzebował jej nie tylko po to, by wypełnić warunki traktatu regulującego kwestie dziedziczenia, ale przede wszystkim z o wiele głębszych i bardziej niepokojących powodów. Do niedawna tego rodzaju słabość była dla niego czymś nieznanym. Pchnął drzwi do sali z wyszynkiem. Tęsknotę za narzeczoną będzie musiał utopić w butelce brandy.

Przez całą noc Lucy prześladował zły sen. Biegła długim, ciemnym, niekończącym się korytarzem, z którego nie było wyjścia. Obudziła się zdyszana i spocona. Policzki miała mokre od łez. Leżała i czekała, aż serce zwolni bieg i będzie mogła spokojnie oddychać.

W szarym świetle poranka majaczył baldachim nad łóżkiem. Wspomnienia złego snu bladły. To był dzień jej wesela. Gdy to sobie uprzytomniła, nudności i strach powróciły, pomyślała bowiem o tym,

co pocznie, jeśli Robert nie dotrzyma słowa i będzie nalegał na skonsumowanie małżeństwa. Starła się uspokoić, mówiąc sobie w duchu, że Robert jest dobrym, godnym zaufania człowiekiem, ale te tłumaczenia były ciche jak kwilenie nietoperza w ciemnościach w porównaniu z jej strachem. Poczula się schwytna w pułapkę i nagle wróciły do niej słowa Mairi o tym, że można się zabezpieczyć przed ciążą. Przypomniała sobie, co usłyszała od Isobel na temat miejscowej zielarki, która leczyła ludzi swoimi medykamentami. Może ona ma lekarstwo na jej obawy?

W pokoju panował dotkliwy chłód, bo służąca nie zdążyła jeszcze rozpać w kominku. Lucy ubrała się pospiesznie i wyszła z pokoju. Gospoda powoli budziła się do życia, z kuchni dochodziły odgłosy krzątania. Wiedziała, że musi się pospieszyć. Wyszła głównymi drzwiami, dziękując Bogu, że zawiasy są dobrze naoliwione i nie zaskrzypiały. Ranne powietrze było rześkie. Wiatr przywiał z nad morza poranną mgłą, która otuliła domostwa i tłumiała hałasy. W ciszy nie było słyhać nawet ptaków. Światło dzienne było dziwnie blade, niemal szare.

Zabudowania przy drodze stawały się coraz rzadsze, Lucy napotykała tylko pojedyncze zagrody i wkrótce ujrzała chatę na skraju wsi. Zapukała, ale nikt nie otworzył drzwi. Zdenerwowana, chciała odejść, ale w progu stanęła kobieta młodsza, niż Lucy sobie wyobrażała. Na jej pogodnej twarzy gościł uśmiech. Nie okazywała najmniejszego zdziwienia, że ktoś odwiedza ją o tak wczesnej porze.

– Milady. – Skłoniła głowę.

Wie, kim jestem, pomyślała Lucy. To wystarczyło, by rzucić się do ucieczki, ale kobieta cofnęła się w głąb chaty i Lucy przekroczyła próg.

Wewnątrz było ciepło. W kominie tlił się ogień, a przed nim w koszykach suszyły się zioła. Na stole świeciła się lampka oliwna. Kobieta wskazała Lucy fotel z wikliny, wyłożony różnokolorowymi poduszkami. Wnętrze było schludne i przytulne. Obawy, które przygnały tu Lucy, wydawały się jej w tej dziwnej chacie mniej groźne.

– Zaparzyć herbaty, milady? – Kobieta wskazała głową czajnik szumiący cicho nad paleniskiem.

– Nie, nie, dziękuję... – Nie chciała siadać, bo się jej spieszyło. Nie wiedziała jednak, jak zapytać o to, po co przyszła.

– Zapewne czegoś pani potrzebuje – zagadnęła zielarka. – Czym mogłabym służyć?

Lucy napotkała jej wzrok i odniosła wrażenie, że kobieta orientuje się, co ją tu przygnało.

– Jestem trochę zaniepokojona swoim stanem zdrowia – odparła.
– Wiem, że macie tutaj środki na różne przypadłości.

Kobieta skinęła głową.

– Chorowałam w ostatnich miesiącach i doktor ostrzegł mnie...
– Urwała, bo trudno było jej wyrazić to, z czym przyszła. – Muszę trochę poczekać, zanim będę miała dzieci... – wyrzuciła jednym tchem i urwała – ...zaczekać i odbudować zdrowie. Chciałabym więc uniknąć, to znaczy, powinnam spróbować nie zająć w ciążę...

– A więc milady i nasz laird znajdziecie inny sposób na zabezpieczenie dziedzictwa – powiedziała zielarka.

– Właśnie – potwierdziła Lucy z poczuciem winy. – Sądy niewątpliwie rozstrzygną na korzyść markiza Methven... – Kłamstwo uwięzło jej w krtani, ale kobieta znowu skinęła głową, jakby była spokojna o rezultat rozstrzygnięcia sądów królewskich.

– Mam ziołową nalewkę, która mogłaby zaradzić kłopotom jaśnie pani.

– Jest skuteczna?

– Jak najbardziej. Niejedna kobieta może o tym zaświadczyć.

Dam jaśnie pani spory flakonik.

Lucy położyła na stole kilka suwerek. Kobieta szybko zgarnęła je do kieszeni.

– Niech jaśnie pani bierze te krople codziennie, a będzie bezpieczna.

Lucy drżącą ręką schowała flakonik do kieszeni peleryny.

W drodze powrotnej do gospody mgła była tak samo gęsta jak wcześniej. Lucy minęła niewielki kościół, w którym po południu odbędą się jej zaślubiny. Flakonik z miksturą obijał się jej o nogi, przypominając o zdradzie, jakiej się dopuściła. Tłumaczyła sobie, że flakonik stanowi jej zabezpieczenie na wypadek, gdyby Robert nie dotrzymał danego słowa. Co nie przeszkadzało, że czuła się okropnie. Zamiast ulgi, ogarnęły ją poczucie winy i wstyd. Robert uczciwie uprzedził, że nie może zrezygnować z dziedzica, i był przekonany, że ona z czasem poczuje się na tyle bezpiecznie w małżeństwie, iż zgodzi

się na podjęcie współzycia. Lucy bardzo chciała, żeby tak się stało, jednocześnie bała się, że to okaże się niemożliwe. Nie spodziewała się, że oszukując Roberta, będzie nieszczęśliwa.

W gospodzie natknęła się na Isobel.

– Dzięki Bogu! – wykrzyknęła na jej widok. – Myśleliśmy, że pani uciekła!

– Musiałam zaczerpnąć świeżego powietrza – skłamała Lucy, szcękając zębami z zimna.

– Jest pani przemoczona i przemarznięta do kości, a pora przebierać się do ślubu.

Isobel pobiegła do kuchni po gorącą wodę i coś ciepłego do zjedzenia. Na górze, w pokoju, rozpalono w kominku. Było w nim ciepło i przyjemnie. Lucy rozwiesiła wilgotną pelerynę na krześle i schowany w kieszeni flakonik stuknął o oparcie. Wyjęła go z kieszeni i rozejrzała się po pokoju. Uznała, że najlepszym dla niego miejscem będzie dno skrzyni na ubrania.

Roli ojca panny młodej podjął się Iain McLain. On, Bessie i Isobel towarzyszyli Lucy w drodze przez wioskę do kościółka. Mgła uniosła się i blade słońce prześwitywało przez chmury. Orszak nie wzbudził sensacji, ulice były puste, nikt nie stał w oknach mijanych domów. Cisza dzwoniła w uszach Lucy i nie sprzyjała pogodnemu nastrojowi.

– Wiedziałam, że nikt z tutejszych nie będzie się cieszył ze ślubu ich pana z krewniaczką Wilfreda Cardrossa, ale nie mam ludziom tego za złe – skomentowała sytuację.

W drzwiach kościółka, zgodnie z tradycją, stał Robert. Na jej widok rozjaśnił się, jakby naprawdę się bał, że uciekła. Lucy pamiętała, jak nadaremnie czekał przy ołtarzu na poprzednią narzeczoną i poczuła dumę, że to ją poprowadzi do ołtarza, nie Dulcibellę. Nie spodziewała się, że doświadczy takiego uczucia. W chwili, gdy miała podać rękę panu młodemu, od drogi dał się słyszeć odgłos kopyt końskich. Galopowali ku nim dwaj jeźdźcy, a wiatr rozwiewał ich peleryny. W jednym z nich Lucy rozpoznała przystojnego kuzyna markiza, który był jego drużbą podczas niedoszłej do skutku poprzedniej uroczystości ślubnej. Drugi jeździec...

– Mairi! – wykrzyknęła Lucy na widok siostry zeskakującej z siodła.

Rzuciły się sobie w ramiona.

– Chyba się nie spóźniliśmy – powiedziała Mairi. – Pędziliśmy dzień i noc.

Lucy odebrało mowę ze wzruszenia.

– Nie płacz – poprosiła Mairi. – Łzy nie przystoją panie młodej.

– To ze szczęścia.

– Nie mogłem oprzeć się pokusie, by po raz drugi towarzyszyć ci do ołtarza – oznajmił Jack Rutherford, witając się z Robertem.

– Nie wiem, czy powinienem ci na to pozwolić, bo może przynosisz pecha. Za pierwszym razem skończyło się klapą – odparł markiz, ale z uśmiechem uściskał dłoń kuzyna.

– To zależy, z której strony na to spojrzeć – zaproponował Jack, składając ukłon Lucy. – Lady Lucy, do usług. Byłbym zdania, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, skoro Robert żeni się z panią. Należy się pani uznanie, że pani go bierze.

– Przynajmniej nie musi żenić się ze mną – wtrąciła Mairi.

– To byłoby zbyt wielkie poświęcenie z pani strony – odrzekł Jack.

Przez chwilę oboje milczeli, nie odrywając od siebie wzroku.

– Jak to się stało że zdążyliście na czas? – spytała Lucy – Przyjęłam oświadczyzny zaledwie wczoraj wieczorem.

– Robert zawsze był przewidujący. Cztery dni temu wysłał posłańca z Durness – wyjaśnił Rutherford.

– Jak zwykle Jack za dużo gada. – Markiz przerwał milczenie, które zapadło po wyjaśnieniu kuzyna. – Wysłałem go na wszelki wypadek, nie mając nawet odrobiny pewności.

– Co za arogant – mruknęła pod nosem Mairi. – Niewiele lepszy od kuzyna.

Zapanowała niezręczna atmosfera, a jeszcze nie dotarli do ołtarza. Lucy uratowała sytuację, mówiąc:

– Pastor czeka. – Chwyciła siostrę za rękę. – Chodź, będziesz moją damą do towarzystwa. Druhną jest Bessie, córka gospodarzy.

– Nie jestem odpowiednio ubrana – Mairi spojrzała na zabłocony dół sukni – ale niech będzie.

– Dostałem list od księcia Forres. Składa wam powinszowania i dziękuje za brandy – poinformował szeptem Jack pana młodego.

Lucy usłyszała tę uwagę i podchwyciła:

– Brandy?

– To nasza wyspiarska tradycja – wyjaśnił z uśmiechem Robert. – Gdy prosimy ojca o rękę córki, dajemy mu w prezencie butelkę brandy.

– Trzeba go przekupić – wtrąciła Mairi – żeby przymknął oko na skandal.

– Chyba nie masz mnie na myśli – powiedziała Lucy.

– Przepraszam – Mairi zaczerwieniła się i zerknęła na Jacka – nie chciałam nic sugerować, siostrzyczko.

– Wszyscy wiedzą, że jestem okryta hańbą. Powinnam być wdzięczna Robertowi, że ratuje moją reputację, zszarganą przez Wilfreda.

– Markiz jest szczęściarzem, że dostaje ciebie – oznajmiła Mairi, patrząc na Roberta. – Wyświadczasz mu łaskę, a co do jego krewnych – zgromiła wzrokiem Jacka, który odpowiedział jej uśmiechem, najwyraźniej niczym się nie przejmując – to miejmy nadzieję, nie będziesz skazana zbyt często na ich towarzystwo.

– Może przestaniecie toczyć boje w drzwiach kościoła – zauważył Robert pod adresem Mairi i Jacka. – Jesteś gotowa, kochana? – zwrócił się do Lucy i położył jej dłoń na swoim ramieniu.

„Kochana...”. Słowo nie oddawało rzeczywistości, jednak miło było je usłyszeć tuż przed ślubem zawierany z powodu określonych życiowych okoliczności. Lucy weszła ze swoim przyszłym mężem do zimnego i mrocznego wnętrza wiejskiego kościółka. Zdumiała się, bo świątynia była pełna ludzi. Wszystkie ławki zajęli mieszkańcy wioski, odświętnie ubrani, z kwiatami.

– To na twoją cześć – wyszeptał Robert.

– I na twoją – odparła, a jej oczy napełniły się łzami.

Nabożeństwo było krótkie. Świadkami pary młodej byli Isobel i Iain McLainowie. Lucy niewiele zapamiętała ze słów pastora, za to dobrze utkwiała jej w pamięci treść przysięgi ślubnej i to, że Robert wypowiadał ją pewnie i dobitnie, trzymając ją za rękę.

Po uroczystości cała wioska odprowadziła ich do gospody, dzieci rzuciły im kwiaty pod stopy, kobziarze dęli w kobzy, radosny tłum pozdrawiał ich okrzykami. Isobel i Iain przygotowali na przyjęcie weselne kurczaki, jajka, ziemniaki, sery i wyśmienity szkocki chleb z masłem. Lucy i Robert zajęli miejsca u szczytu jednego ze stołów, przy czym ze względu na ścisk musieli siedzieć bardzo blisko siebie,

dotykając się udami. Lucy dodawała sobie odwagi winem i na jej policzkach wykwitły rumieńce.

– Wyglądasz dużo lepiej – pochwaliła ją Mairi. – Przedtem byłaś blada jak trup.

Lucy nie była zachwycona szczerością siostry. Niestety, mimo że dzień okazał się raczej ciepły, a w sali jadalnej buzował ogień w kominku, miała zimne dłonie. Spojrzała na Roberta, swojego męża. Zaledwie tydzień temu nie wyobrażała sobie takiej odmiany losu. Dawniejsze życie i obecne dzieliła przepaść. Lucy nie wiedziała, jak i kiedy ją przekroczyła. W pewnym momencie Robert uśmiechnął się do niej i pochylił głowę.

– Nie masz się czego bać – powiedział cicho, żeby nikt oprócz niej nie usłyszał.

Lucy spieszyła się i zawstydzila, że tak łatwo odgadł jej myśli.

– Jedz – zachęcił, lecz Lucy nie odczuwała głodu, wciąż przejęta niedawnym ślubem.

Tymczasem przesunięto stoły pod ścianę i pojawili się muzykanci. Pierwsza melodia, jaką zagraли, była powolna i rzewna, niemal jak lament, nagle jednak uderzyli w skoczne tony i zebrani w sali weselni goście się ożywili. Na środku zaroilo się od tańczących. Lucy i Robert odtańczyli kontredansa. Robert obracał nią w tańcu i całował na oczach uczestników uroczystości, co zyskało ich głośną aprobatę.

Po kolejnych kilku tańcach drzwi do sali otwarły się z trzaskiem i wkroczyli do niej przebierańcy, dziwaczne postaci w ubraniach ze słomy, spiczastych kapeluszach i maskach na twarzach. Ich pojawieniu się towarzyszyły burzliwe oklaski i ogłuszająca muzyka.

– Mam nadzieję, że pod żadną z tych słomianych kapot nie ukrywa się kuzyn Wilfried – mruknęła Lucy.

Tymczasem jeden z przebierańców skłonił się Lucy, zapraszając do tańca. Nie odmówiła, co zostało przyjęte oklaskami. Nie znała kroków tańca, ale było to bez znaczenia. Wkrótce uwagę zebranych skupiło na sobie siedmiu mężczyzn z Findon, którzy zaprezentowali taniec z szablami. Zabawa przy wtórze kobz i skrzypiec trwała w najlepsze, gdy drzwi sali rozwarły się ponownie i do środka wszedł kulejący mężczyzna w zakurzoną podróżnym ubraniu i o zmęczonej twarzy.

– Milordzie! – zawołał.

Muzyka ucichła, podobnie rozmowy i śmiechy. Ktoś podsunął nowo przybyłemu krzesło, na które on opadł ciężko. Ktoś inny podał mu kufel piwa, który opróżnił jednym haustem. Lucy zauważyła, że zgromadzeni w sali czekali na coś w napięciu.

– Milordzie! – Mężczyzna otarł rękawem usta. – Jestem Stuart McCall. Przybywam z Golden Isle.

Robert zeszywniał, a z jego twarzy znikł uśmiech. Lucy nigdy go takim nie widziała. Nie rozumiała, co się z nim dzieje.

– Przybyliście, by życzyć mi szczęścia na nowej drodze życia, mam nadzieję – odezwał się markiz.

Odstawił pusty kufel na stół i wbił wzrok w przybysza. Było oczywiste, że pragnie go zastraszyć, ale przybyły nie okazał lęku.

– Tak, milordzie, i prosić o pomoc – odrzekł.

Bezruch, w jaki trwał Robert, był zatrważający.

– Mnie? – zapytał cicho.

– Tak, milordzie, was. Ludzie na Golden Isle głodują, a od dziesięciu lat żaden z naszych lairdów nas nie odwiedził.

– Ustanowiłem na wyspie rządcę, którego rolą jest troszczyć się o wasze potrzeby. – Markiz uderzył dłonią w stół tak mocno, że Lucy podskoczyła, przestraszona.

– Neil McTavish nie dba o nasze potrzeby. Nie pomógł ludziom podczas nieurodzaju, nie interesuje się tym, że statki handlowe omijają wyspę, nie broni nas przed hrabią Cardross.

Na dźwięk nazwiska Wilfreda szmer poszedł po sali. McCall patrzył Robertowi prosto w oczy.

– Wy, panie, jesteście naszym lairdem i waszym obowiązkiem jest nas bronić.

Gwar wzbił się pod sufit. Robert uciszył salę groźnym spojrzeniem.

– Zarzucacie mi, że zaniedbuję obowiązki lairda? – zapytał.

Zapanowało grobowe milczenie. Ludzie wbili wzrok w podłogę. Robert był szanowany w Finden. Lucy przekonała się o tym z okazji ślubu. Mieszkańcy stawili się tłumnie w kościele, bo mu ufali, wierzyli w niego, wiedzieli, że będzie ich bronił. Wyglądało jednak na to, że umywał ręce od spraw Golden Isle.

– Słyszę, że jesteście sprawiedliwym i dobrym panem. – Słowa

McCalla były jakby echem myśli Lucy. – Golden Isle wyłączyliście, panie, spod swojej ochrony.

Markiz zerwał się z miejsca, jego oczy ciskały błyskawice, dłoń spoczęła na rękojeści szabli.

Jack Rutherford odezwał się pojednawczo:

– Chodźmy na bok, porozmawiajmy.

– Nie w dniu wesela! – Robert gestem dłoni kazał nalać sobie do kieliszka.

Lucy domyśliła się, co powoduje mężem: wściekłość tłumiona przez wstyd, a także, była tego pewna, przez ból. Pochwyciła spojrzenie Jacka; przekazywało niemą prośbę o interwencję. Jack albo przeceniał jej wpływ, albo był w desperacji. W grę wchodziło chyba raczej to drugie, pomyślała Lucy, niemal namacalnie wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie. Po chwili wszyscy obecni skupili na niej spojrzenia.

Delikatnie dotknęła nadgarstka Roberta.

– Wiem aż nadto dobrze, jakim zagrożeniem jest mój kuzyn Cardross – powiedziała. – Wiem również, że nie pozwolilibyście, mój mężu, żeby choć jeden człowiek z waszego klanu doznał krzywdy z jego ręki. Pójdę na górę. Porozmawiajcie z tym dżentelmenem, a potem dołączcie do mnie.

Zauważyła, że z męża uchodzi napięcie. Upłynęła jednak dłuższa chwila, zanim opamiętał się całkowicie. Ucałował jej dłoń.

– Jak sobie życzysz, moja pani.

Świadkom tej sceny spadł kamień z serca. Wszyscy wstali, gdy Lucy i Mairi opuszczały salę, i kiwali z uznaniem głowami. Lucy czuła, że zasłużyła na ich szacunek.

Pokój został uprzątnięty. Na łóżku leżały rozsypane płatki róż i wonne zioła. Ich zapach unosił się w powietrzu.

– Co się stało Methvenowi? – zapytała Mairi, pomagając siostrze przebrać się w koszulę nocną, którą wcześniej Isobel rozwiesiła przed kominkiem, by ją ogrzać.

– Nie wiem – odparła Lucy. – Nie znam go wystarczająco dobrze.

– Zdenerwował się na wzmiankę o Golden Isle – zauważyła Mairi. – Jest dla mnie oczywiste, że on nie chce tam jechać.

– Może popytasz Jacka Rutherforda? – zaproponowała Lucy. – Na pewno wie, o co chodzi.

– Nie zamierzam, a jutro wracam do Edynburga. Przypuszczam, że wy udacie się do Methven.

– Nie wiem, dokąd pojedziemy ani czy udamy się w podróż poślubną. Wszystko wydarzyło się bardzo szybko.

– Zdaje mi się, że nadeszła pora, bym udzieliła ci pewnych matczynych nauk – stwierdziła Mairi, przysiadając na skraju łóżka.

– Matczynych! – Lucy zaczerwieniła się. – Nie musisz mnie uświadamiać.

– W porządku, jeśli już jesteś uświadomiona.

– Nie jestem, a pożycia małżeńskiego nie będzie.

– Żartujesz.

– Niby dlaczego miałabym żartować?

– Methven patrzy na ciebie takim wzrokiem, jakby nie mógł się doczekać nocy poślubnej.

Rumieniec Lucy rozlał się z twarzy na dekolci. Nie chciała wtajemniczać Mairi w szczegóły.

– Nie znamy się za dobrze – powiedziała wymijająco.

– Rozumiem – stwierdziła Mairi, choć nie rozumiała. – Z czasem to się zmieni.

– Z czasem – zgodziła się Lucy.

– Jeśli on będzie delikatny, to za pierwszym razem nie powinno być tak źle – ciągnęła Mairi. – Może trochę boleć, może ci się nie spodobać, ale gdyby było naprawdę źle, postaraj się myśleć o czym innym, na przykład o tym, jakiego koloru zasłony powieszysz w Methven Castle, gdy będziesz odnawiała jego wystrój i...

– Nie jesteś zanadto pomocna – przerwała siostrze Lucy.

– Staram się. Zamierzałam pocieszyć cię, że z czasem będzie na pewno lepiej, ale wtedy już i tak będziesz w ciąży, więc to bez znaczenia.

Lucy się wzdrygnęła.

– Zapowiada się zimna noc. – Mairi zamknęła okno. Otuliła kołdrą siedzącą w pościeli siostrę i pocałowała ją w policzek. Nagle utraciła swoją zwykłą pewność siebie. – Chcesz, żebym z tobą została?

– Nie, dziękuję. Jestem ci bardzo wdzięczna za przyjazd na ślub – odparła Lucy łagodnym głosem w nadziei, że udobrucha nieco zawiedzioną siostrę. – Dla mnie to bardzo ważne.

Mairi uściskała Lucy i wyszła.

Sądząc z odgłosów, zabawa na dole trwała w najlepsze. Lucy nie wiedziała, kiedy Robert zjawi się w pokoju. Dla zachowania pozorów będzie musiał przyjść, nawet jeśli nie zechce zostać na noc. Wstała i podeszła do skrzyni. Pod bielizną wymacała chłodny kształt flakonika, który dostała od zielarki. Powinna zażyć krople, ale przecież Robert zapewniał, że nie musi się obawiać, a ona bardzo chciała mu wierzyć. Klęczała przed skrzynią tak długo, aż ścięły i zmarzły jej nogi, po czym odłożyła flakonik na miejsce. Wstała i zatrzasnęła wieko skrzyni.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Robert był w podłym nastroju. Kiedy zgodził się porozmawiać ze Stuartem McCallem, zgłosiło się jeszcze co najmniej pięciu mężczyzn z Golden Isle, którzy chcieli wziąć udział w spotkaniu. Robert dziwił się, że tego nie przewidział; przecież McCall nie mógł sam przybyć do Findon. Kiedy w komplecie stanęli przed jego obliczem, poczuł się winny, że przez lata zaniedbywał Golden Isle i jej mieszkańców. Nie lubił być stawiany w sytuacji, w której miałby sobie coś do zarzucenia.

Wyspiarze wypełnili niewielkie pomieszczenie udostępnione przez Iaina McLaina. Ich jasne włosy i niebieskie oczy świadczyły o nordyckim pochodzeniu. Nie chcieli siadać. Z krzesła skorzystał tylko najbardziej sędziwy spośród nich, tak stary, że z wielkim trudem się poruszał. Wszyscy wyraźnie byli speszeni przebywaniem w zamkniętym pomieszczeniu; ich żywiołem były otwarte przestrzenie morskie. Na markiza i jego kuzyna, Jacka, patrzyli z rezerwą. Robert czuł, że niełatwo mu będzie odzyskać utracony szacunek. Niestety, nie mógł mieć im tego za złe.

Czekali w milczeniu, aż McCall zapozna markiza z sytuacją panującą na wyspie i trudnym położeniem jej mieszkańców. McCall wyjaśnił, że wojny z Francją odbiły się niekorzystnie na ich interesach handlowych, a złe zbiory doprowadziły ludność na krawędź głodu. Dodał, że liczne rodziny straciły żywicieli, przymusowo wcielanych do marynarki wojennej. Od pewnego czasu brano bez odszkodowania nawet dwunastoletnich chłopców z braku dorosłych mężczyzn. Robert słuchał tej listy pretensji z irytacją i narastającym poczuciem winy. Zostawił mieszkańców na łasce rządcy i nie chciał wiedzieć, co się tam dzieje.

McCall oskarżył rządcę. Stwierdził, że McTavish, nie tylko nie dbał o wyspiarzy, nie sprowadzał potrzebnej żywności, nie płacił godziwych cen za wyprodukowane przez nich towary na wywóz, lecz także brał pieniądze od hrabiego. Gdy tylko padło nazwisko Cardross, atmosfera się zagęściła. Wyspiarze zaczęli szeptać pomiędzy sobą. Robert czuł, że za chwilę padną istotne słowa.

– Cardross jest zdrajcą – oznajmił McCall. – Wykorzystuje Golden Isle do sekretnych spotkań z nieprzyjacielskimi okrętami

francuskimi.

– Oskarżacie Wilfreda Cardrossa o zdradę – zauważył Robert. – To poważna sprawa. Musicie mieć niezbita dowody.

– Nie ma wątpliwości – odezwał się jeden z wyspiarzy. – Na własne oczy widziałem jego łódkę, którą on nazywa jachtem, całą w szkarłatach i złocie, a pływającą jak cynowa wanna, jak spotykała się w zatoce z żaglowcem francuskiego pirata.

– W zamian za informacje dają mu brandy i koronki – dorzucił drugi.

– Jakiego rodzaju informacje? – zapytał Robert.

– O znaczeniu obronnym, na temat liczebności wojsk i ich ruchach – odrzekł McCall. – Chodzi o garnizon na Szetlandach.

– Jednym z załogantów hrabiego był młodszy chłopak Frazera z Orkadów. Wygadał wszystko, kiedy Cardross wydał jego brata bandom polującym na ludzi do marynarki wojennej – dodał inny wyspiarz.

– Cardross to renegat – orzekł drugi.

– Odebrał nam nasze prawo wolnego handlu – poskarżył się jeszcze inny, dotknięty tym, że Cardross pozbawił wyspiarzy monopolu na szmugiel, jakim się dawniej zajmowali.

– Rzecz w tym, że nikt nie da wiary w słowa młodego Frazera – dorzucił ktoś inny.

– Ale wszyscy uwierzą naszemu lairdowi – odezwał się ze swojego krzesła starzec, który siedział do tej pory tak cicho, że wydawało się, iż śpi.

– Tak – rozległo się chóralne potwierdzenie.

Wszystkie spojrzenia skupiły się na milczącym Robertcie. Zdawał sobie sprawę z tego, że nie może skutecznie oskarżyć Cardrossa bez dostatecznych dowodów o zdradę. Natomiast fałszywe oskarżenie zaszkodzi jego wiarygodności w toczącym się procesie sądowym o przyznanie mu ojcowizny i napyta sobie kłopotów. Hrabia powie, że za oskarżeniami Roberta stoi niechęć, a nie fakty. Zerknął na Jacka i domyślił się, że kuzyn wie, o czym myślał. Trzeba zastawić pułapkę na Cardrossa, któremu poprzysiągł zemstę za to, że jego człowiek uderzył Lucy.

– Zostawcie to mnie – powiedział.

– Milord załatwi to z władzami? – upewnił się starzec.

– Przyrzekam – odparł Robert. – Pojutrze, z popołudniowym

odpływem, poześlę na Golden Isle. Przyłączcie się teraz do weselników. Muszę naradzić się z kuzynem.

– Życzymy milordowi wszystkiego najlepszego. Milady również, chociaż to krewniaczka Cardrossa. – Sędziwy wyspiarz złożył powinszowania w imieniu grupy wyspiarzy.

– Co zrobimy? – zapytał Jack po wyjściu ludzi z Golden Isle.

– Myślałem, że wybierasz się na południe z lady Mairi MacLeod – odrzekł Robert.

– Wolę ci pomóc. Lubię północne wyspy. Przypominają mi naszą włóczęgę po kanadyjskiej dżicy, tam, gdzie nie sięgało prawo. Poza tym nudzę się bez wyzwań.

– Myślałem, że wyzwaniem jest dla ciebie lady Mairi.

– Nie wtrącaj nosa w nie swoje sprawy, jeśli nie chcesz w noc poślubną stawać do pojedynku. Mieliśmy mówić o Cardrossie.

– Wierzysz w jego zdradę? – Robert zgodził się zmienić temat.

– Bez wątpienia. Wszystko układa się w całość. To człowiek do wynajęcia. Tonie w długach, więc przyjmuje francuskie pieniądze. Twój powrót oznacza, że nie tylko grozi mu utrata szansy na oderwanie Golden Isle od twoich włości, lecz także zdemaskowanie jego zdradzieckich machinacji. Będzie przerażony twoim pojawieniem się na wyspie.

– Dobrze. Pojedź do Methven, zbierz trzydziestu najlepszych ludzi i przyprowadź ich do Findon. Tylko dyskretnie. Nie chcę, by Cardross się o tym dowiedział.

– Chcesz ich mieć przy sobie, gdy hrabia przyjdzie po ciebie – domyślił się Jack.

– Właśnie. Użyję McTavisha, żeby zwabić Cardrossa. Coś mu naopowiadam. Jeśli rzeczywiście jest na liście płac hrabiego, natychmiast przekaze mu to, co ode mnie usłyszał, a wtedy hrabia się zjawi. A my będziemy na to gotowi.

– Zamierzasz lady Methven zabrać na Golden Isle?

– A po co miałbym fatygować babkę?

– Miałem na myśli twoją żonę, idioto. Byłoby wskazane odesłać lady Lucy do Methven do czasu, aż jej kuzyn znajdzie się za kratkami.

– Zostanie ze mną.

Robert uznał, że najbezpieczniej będzie Lucy u jego boku i w zasięgu jego szabli. Pamiętał, co przeżywał, widząc, jak walczyła z

ludźmi Cardrossa nad brzegiem jeziora. Strach o Lucy tłumaczył sobie tym, że jako jego żona zapewniała ocalenie ziemi, na której żyli ludzie z klanu, ale nie było to do końca prawdą. Od początku jego uczucia dla Lucy były bardziej skomplikowane, co wcale go nie cieszyło, bo rozbuchane emocje zaciemniały osąd i czyniły mężczyznę słabszym. Z czasem pojął, że nie miał większego wpływu na uczucia żywione do Lucy.

– Nie trać więc czasu. – Jack wznosił toast kieliszkiem brandy. – Musisz spłodzić spadkobiercę, zanim Cardross cię zabije. Przepraszam – zreflektował się Jack, widząc minę Roberta. – Drażliwy temat? Czy lady Lucy jest już...

– Nie – przerwał mu Robert. – Na razie jesteśmy małżeństwem tylko z nazwy – dodał, zastanawiając się, po co to wyjawia, a zwłaszcza Jackowi. Być może wypił za dużo brandy.

– Żartujesz albo kompletnie zgłupiałeś.

– To się nazywa cierpliwość – odrzekł Robert. – Cecha całkowicie ci obca.

– Obrażasz mnie. Zachodzę w głowę, dlaczego tak się dzieje, skoro pragnąłeś jej od pierwszego spojrzenia?

– Pilnuj swego nosa, bo jak nie, to ja cię wyzwę na pojedynek w moją noc poślubną.

– Muszę wierzyć, że wiesz, co jest najlepsze dla Methven.

– Wiem.

– To dobrze. W takim razie pograj w szachy ze swoją świeżo poślubioną żoną albo zajmijcie się tym, co wspólnie czynią małżonkowie tylko z nazwy.

Wyszli razem. Jack wrócił na przyjęcie weselne, Robert ruszył na piętro. Był zmęczony, a być może za dużo wypił. Wszedł do swojego pokoju, który tonął w ciemnościach. Przemył twarz wodą. Postąpił chwilę w wychodzącym na morze oknie. Wiedział, że musi dotrzymać słowa i pożeglować na Golden Isle, ale dzisiejszej nocy nie chciał o tym myśleć. Wszedł na korytarz i zauważył, że spod drzwi pokoju żony wyziera światło. Zapukał.

Lucy nie spała. Siedziała w łóżku, nieskazitelna w białej koszuli nocnej, ściągniętej pod szyję. Czytała oprawną w skórę książkę. Robert uśmiechnął się, bo Lucy wyglądała dokładnie tak, jak się spodziewał. Wzbudzająca szacunek panna z dobrego domu, której strach dotknąć.

Niestety, koszula nocna kusiała, żeby ją rozpiąć i obnażyć jej właścicielkę. Tyle że on obiecał, iż jej nie tknie, a zazwyczaj dotrzymywał słowa.

Uniosła wzrok znad książki i odgarnęła na plecy opadające na twarz włosy. Zafalowały jak tuman jesiennych liści i on z trudem oparł się chęci, żeby ich dotknąć i zanurzyć twarz w ich jedwabistej miękkości.

– Myślałem, że śpisz – powiedział. – Dzień był długi, musisz być bardzo zmęczona.

Zauważył, że Lucy przygryzła wargę i pożałował swoich słów. Zaiste, piękny to komplement dla panny młodej, która wyglądała ślicznie, chociaż była lekko zdenerwowana. Nie ułatwiał jej sytuacji podczas uczyty weselnej, i był tego świadomy. Ingerencja mieszkańców Golden Isle, którzy mu przypomnieli o zaniedbanych obowiązkach, wprawiła go w zły nastrój i wszyscy obecni odczuli tego skutki.

Pożałował, że zgodził się na warunki Lucy. Tak bardzo pragnął zapomnieć się w niej, nasycić się jej słodyczą, wypędzić przy jej pomocy ciemności panujące w jego duszy. W pełni zdawał sobie sprawę z tego, że nie może zaspokoić pragnienia. Powinien ująć żonę delikatnością, łagodnością przełamać jej opory, nie zaś dobierać się do niej bez względu na jej odczucia. Ból głowy stał się w tym momencie nie do zniesienia.

– Zachowywałaś się czarująco – pośpieszył dodać, zdając sobie sprawę z popełnionej niezręczności.

– Denerwowałam się – powiedziała szczerze, zwracając na Roberta fiołkowe oczy.

Poczuł przyływ opiekuńczych uczuć.

– Obiecałem, że nie zadam ci bólu – przypomniął.

– Wiem. – Była córką księcia w każdym calu. – Wierzę ci. W małżeństwie chodzi o coś więcej niż o to, co dzieje się w łożu. Nie jestem pewna, czy będę potrafiła być żoną. Nie miałam czasu, żeby się przygotować.

Robert przysiadł na skraju łóżka i ujął dłonie Lucy.

– Potrafisz tyle co ja. Mam tyle samo doświadczenia w byciu mężem, co ty w byciu żoną.

– Nie sądzę. – Uśmiezek przemknął przez jej usta.

– Byłem tak bardzo skoncentrowany na poszukiwaniu żony, że

nie miałem czasu zastanawiać się, co będzie po ślubie.

Robert nie wiedział, dlaczego zwierza się żonie. Wywnętrzanie się nie leżało w jego naturze, ale jej szczerłość zasługiwała na szczerłość z jego strony.

– Nie przypuszczałam, że też będziesz zdenerwowany – odparła z uśmiechem.

– Jestem przerażony – zapewnił pospiesznie.

– Wybacz, ale trudno mi w to uwierzyć. Nie potrafię sobie wyobrazić, że tak łatwo cię przerazić.

– Myślałem, że mogłabyś mi pomóc.

– Naprawdę?

– Chciałbym zostać z tobą na noc.

– Ale przecież mówiłeś... – Uśmiech momentalnie zniknął z twarzy Lucy.

– Nie bój się – uciszył ją, kładąc jej palec na ustach. – Chcę tylko być blisko ciebie.

Zdziwił się, bo zabrzmiało to niemal jak błaganie, ale naprawdę nie chciał być sam, potrzebował jej bliskości.

– Proszę.

Robert pocałował ją delikatnie. Miękkie i soczyste wargi przyłgnęły do jego ust. Nie uchyliła się od pocałunku, ale też nie wykazywała aktywności. Wyczuwał jej niepewność i obawę. Ufała mu i on wiedział, że nie może jej zawieść, bez względu na to, jak w tej chwili przeklinał swoje poczucie honoru. Musiał znaleźć inne sposoby ich wzajemnego zbliżenia się do siebie do momentu, aż Lucy dojrzeje do skonsumowania małżeństwa. Jeśli on nie przełamie jej oporów, uznał, to zaczną się od siebie oddalać i staną się sobie obcy. Robert nie zamierzał do tego dopuścić.

Ściągnął buty. Zdjął surdut i koszulę. Obserwowała go bacznie i zrobiła wielkie oczy, gdy ujrzała nagi męski tors.

– Przecież masz braci – odezwał się, żeby rozładować napięcie. – Musiałaś widzieć rozebranego mężczyznę.

– Owszem, jak byliśmy młodszy, ale bracia nie wyglądali jak ty. Nie mieli takich... mięśni.

Robertowi pochlebiało jej zdziwienie. Poczul się jak młody bóg. Na razie nie zamierzał zdejmować spodni. Zdmuchnął świecę i położył się obok żony, która zrobiła mu miejsce obok siebie, co przyjął z

radością.

– Wystarczy miejsca dla nas obojga – powiedział, co nie całkiem odpowiadało prawdzie, bo łóżko było dość wąskie.

Leżeli przez kilka minut jak drewniane kukły. Robert słyszał szybki, płytki oddech Lucy. Wsparł się na łokciu i odgarnął włosy z jej twarzy. Miała skórę gładką jak jedwab, kuszącą. Zamierzał jedynie przyzwyczaić ją do wspólnego leżenia w łóżku, do niczego więcej, ale pożałował jej całym swoim jestestwem.

– Pocałujesz mnie, jeśli obiecuję nie posunąć się dalej? – zapytał, mając nadzieję, że jego głos nie zdradza, jak wielką ma nadzieję, iż ona nie odmówi.

Wydała cichy dźwięk przyzwolenia. Robert dotknął ustami warg żony, które po chwili się rozwarły. Miał chęć je posiąść, ale z żelazną konsekwencją panował nad pożądaniem. Lucy uniosła rękę ku jego policzkowi i nieśmiało go pogładziła. Robert czekał i tym razem Lucy zainicjowała pocałunek. Przesunęła dłoń na jego kark i przyciągnęła jego głowę ku sobie. Była bardzo nieporadna, ale on pozwolił jej zaspokoić ciekawość, gdy wsunęła język między jego wargi, chcąc wypróbować, jak smakują. Ta niewinna pieszczota była tak podniecająca, że Robert bał się, iż eksploduje.

– Było przyjemnie? – zapytał, kiedy ich usta się rozłączyły

– Lubię cię całować, i to mnie martwi – wyszeptała.

– Nie martw się.

– Myślę, że próbujesz mnie uwieść.

– Jeszcze nie – zapewnił, żywiąc nadzieję, że mówi prawdę. –

Masz moje słowo.

Zauważył, że przyjęła zapewnienie z ulgą. Trzeci pocałunek niemal zniweczył dobre intencje Roberta – był bliski doskonałości, słodki, gorący i obiecujący. Jednak wycofał się i patrzył, jak piersi Lucy wznoszą się i opadają pod cienką koszulą, jak płoną jej policzki. Leżała z zamkniętymi oczami.

W pokoju gęstniały ciemności. Na dole trwała weselna zabawa, goście śpiewali na cały głos, miarowo tupali o podłogę, hasając w kolejnych tańcach.

Robert pociągnął za wstążkę podtrzymującą koszulę wokół szyi żony. Śliski jedwab przesunął się między jego drżącymi palcami. Przywarł ustami do odsłoniętego dołka u nasady szyi, musnął językiem

zagłębienie. Lucy westchnęła cicho, lecz nie poruszyła się. Bardzo powoli zsunął koszulę z jej ramienia i pocałował miejsce nad obojczykiem, po czym przesunął usta po szyi w stronę dołka za uchem.

Lucy otworzyła oczy.

– To było bardzo przyjemne. Dziękuję – powiedziała.

Rozśmieszyła go ta uprzejmość. Miałby ochotę obejść się z nią trochę mniej delikatnie, ale znowu się powstrzymał.

– Może być jeszcze przyjemniej, ale zaczekamy z tym.

Zastanawiające... Czy ten błysk rozczarowania w jej oczach był tylko wytworem jego wyobraźni? Wcześniej mówiła mu, że nie boi się samego zbliżenia i teraz mógł się przekonać, że była to prawda. Przeraziła ją jedynie konsekwencje pożycia. Pocałował ją jeszcze raz i znowu odpowiedziała zaufaniem i rozkoszną skwapliwością, która prawie zawiiodła go na skraj wytrzymałości.

Jeszcze jeden krok... Zsunął jeszcze niżej koszulę z jej ramion i wtulił usta w zagłębienie między piersiami. Gorąca i delikatna skóra pachniała lawendą. Brodawki sterczały pod cienką koszulą. Robertem wstrząsnął spazm pożądania i szybko oderwał się od Lucy.

– Wystarczy, bo okażę się krzywoprzysięcą.

– Chcesz wrócić do swojej sypialni? – zapytała Lucy.

– Nie. Zostanę z tobą.

Zamknęła oczy i przytuliła się do niego.

Robert wiedział, że powinien być szczęśliwy, skoro okazała mu tyle bezgranicznego zaufania. Czy każda noc będzie podobna do tej, czy zawsze będzie zasypiał z silnym poczuciem niespełnienia?

Po wielu godzinach, kiedy wciąż jeszcze czuwał, bo nie mógł zasnąć, z odrętwienia wyrwał go krzyk Lucy. Chwytał już prawie za sztylet, kiedy uzmysłowił sobie, że Lucy nie przestraszył intruz; krzyczała przez sen. Leżała na plecach, ciężko dysząc. Kiedy jej dotknął, wyczuł, że jest spocona. Twarz była rozgorączkowana, lecz dłonie lodowate. Chciał ją przytulić, ale mu się wyrwała z imieniem zmarłej siostry na ustach: „Alice”.

Robert wiedział o nocnych koszmarach Lucy i nie spodziewał się, że ona uwolni się od nich szybko. Stłumił nagły atak złości i przygnębienia, że jej obawy dały o sobie znać tak szybko. To najlepszy dowód, jak bardzo obawiała się małżeństwa i jak przerażała ją perspektywa zajścia w ciążę. Nie mógł pozwolić na to, żeby i jego

dopadło zwątpienie. Na pewno nie podda się na samym początku. Delikatnie przyciągnął ją do siebie i otoczył ramionami. Wyczuwał, jak drżała, i chciał, by udzieliło się jej ciepło jego ciała. Powoli uspokajała się i znowu z ufnością przytuliła się do jego boku.

– Dziękuję – wyszeptała.

Robert dostrzegł łzy lśniące w jej oczach. Osuszył je kciukiem.

– Postaraj się zasnąć – powiedział.

Tulił żonę, dopóki nie zmorzył jej sen.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Wczesnie wstałeś. – Jack, wszedł do pokoju śniadaniowego, ostentacyjnie spojrzął na zegarek. – Nie powinienem się dziwić, bo wspomniałeś, że to małżeństwo tylko z nazwy. Źle spałeś? Pytam, bo wyglądasz nieszczególnie.

– Wstałem wczesnie, bo jest wiele do zrobienia przed wypłynięciem na Golden Isle.

– Naturalnie, i to jest ważniejsze od własnej żony.

– Mówiłem ci, żebyś nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy – rzucił Robert i podniósł się od stołu. – Znajdziesz mnie w porcie.

Majowy poranek był przeraźliwie zimny, ale Robertowi chłód nie przeszkadzał. Przeciwnie, lubił poranki, gdy słońce stało nisko, a powietrze było rześkie. Idąc do portu uliczkami budzącego się do życia miasteczka, myślał o Lucy. Pozwalała mu całować się z niewinną ciekawością i pocałunki ewidentnie sprawiały jej przyjemność. Byłby ją skutecznie uwiódł, ale w ostatniej chwili zamknęła się w sobie i odgrodziła się od niego, wciąż pomna dramatycznych doświadczeń z przeszłości. Robert był przekonany, że w końcu uda mu się obalić dzielące ich bariery. Nie dopuści do tego, by tragiczne przeżycia Lucy zniszczyły ich małżeństwo i wspólną przyszłość.

Skręcił w uliczkę wiodącą na nabrzeże. Silny podmuch od morza omal nie zwałił go z nóg. W przejrzystym powietrzu na horyzoncie rysował się kontur Golden Isle. Wyspa była częścią jego dziedzictwa. Poprzedniego wieczoru słusznie przypomniano mu o jego obowiązkach; nie będzie ich dłużej zaniedbywał.

Cały dzień upłynął na ładowaniu zapasów na łódź i omawianiu z McCallem przygotowań do podróży, a z Jackiem szczegółów zastawienia pułapki na Wilfreda Cardrossa. Wrócili do gospody dopiero wtedy, gdy słońce chowało się za górami na zachodzie. Zastali Lucy i Mairi przy stole – właśnie kończyły kolację. Wcześniej musiały zrobić zakupy, bo Lucy miała na sobie nową suknię. Nawet Robert, niespecjalnie świadomy obowiązującej mody, musiał zauważyć, że wyglądała wspaniale. Było jej do twarzy w przetykanym złotą nitką głębokim brązie. Mocno wycięty staniczek osłaniała biała koronka, spod której wyłaniał się zarys piersi. Z upiętych rudych włosów

wymykały się na kark luźne loczki. Wyglądała jak namalowana w kolorach jesieni, żywych i wyrazistych. W odróżnieniu od poprzedniego dnia, kiedy w ślubnej sukni sprawiała wrażenie zmęczonej i bladej, teraz promieniała radością, a jej fiołkowe oczy lśniły jak gwiazdy.

– Jesteście w końcu – powitała ich Mairi tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, co sądziła o zaniedbywaniu młodej żony przez Roberta. – Musicie nam wybaczyć, że zjadłyśmy kolację bez was. Byłyśmy głodne.

Wstała, szeleszcząc jedwabiami. Przechodząc obok nich, uważała, żeby nie musnąć spódnicą Jacka. Chwilę po odejściu Mairi Jack podążył jej śladem. Robert zamknął za nimi drzwi.

Lucy podniosła się od stołu. Wyglądała elegancko, po pańsku, ale nie sprawiała wrażenia pewnej siebie. Robert przypomniał sobie, jak poprzedniego wieczoru tłumaczyła się, że nie potrafi być żoną, i ogarnęła go czułość.

– Usiądź do jedzenia – zaproponowała. – Zostało mnóstwo wołowiny.

Umierał z głodu, lecz najpierw podszedł do żony i wziął ją w ramiona. Była trochę zdziwiona i wyczuł w niej lekki opór, który po chwili zniknął, i oddała pocałunek. To wystarczyło, żeby przemknęło mu przez głowę, czy by nie zrezygnować z kolacji, nie zanieść jej na górę i nie ukochać, ale zaraz zrezygnował z tego pomysłu. Wiedział, że gdyby uległ impulsowi, wystraszyłby ją i zmarnował to, co do tej pory udało mu się osiągnąć. Wypuścił ją z ramion.

– Najpierw muszę się umyć, zjem potem – powiedział i umknął z pokoju, aby nie patrzeć na zaróżowione policzki i błyszczące jak gwiazdy oczy Lucy.

Za drzwiami wpadł na Isobel, która przyszła z tacą jedzenia. Przeprószył ją, przeklinając własną nieuwagę. Kto mógł przypuszczać, że tak trudno będzie mu odnaleźć się w małżeństwie?

Lucy chodziła tam i z powrotem po zajmowanym przez siebie pokoju. Mairi pomogła jej przebrać się do spania; nie mając pokojówki, siostry pomagały sobie nawzajem przy toalecie. Żałowała, że nie poprosiła Mairi, żeby z nią została. Usiadła z książką w fotelu i spróbowała skoncentrować się na lekturze, lecz nie docierał do niej sens czytanych słów. Nurtowało ją pytanie, dlaczego po powrocie

Robert pocałował ją czule, a potem niemal w popłochu czmychnął za drzwi.

Wiedziała, że dla dobra ich związku i jego klanu nie mogą żyć w separacji. Coraz bardziej ufała mężowi, nabrała przekonania, że jej nie skrzywdzi. To dobry początek. Psychicznie przygotowała się na jego przyjście tej nocy i nawet liczyła na to, że posuną zażyłość odrobinę dalej, a tymczasem uciekł od niej jak od zadżumionej. Nie rozumiała mężczyzn i jeśli tak dalej pójdzie, prędko ich nie zrozumie.

Na schodach rozległy się czyjeś kroki. Skrzypnęły deski na półpiętrze. Usłyszała, jak Robert i Jack życzą sobie nawzajem dobrej nocy. Drzwi naprzeciwko zamknęły się i zapadła cisza, zakłócana jedynie tykaniem zegara, stojącego na gzymsie nad kominkiem, oraz trzaskiem płonących polan. Czas płynął i Lucy uznała, że Robert najwyraźniej nie zamierzał do niej przyjść nawet po to, żeby powiedzieć dobranoc. Szybko, żeby nie zmienić zdania, chwyciła lichtarz ze świecą i wyszła na korytarz. Podeszła na palcach do drzwi pokoju zajmowanego przez męża, zapukała i nie czekając na zaproszenie, weszła do środka.

Robert siedział w fotelu przed kominkiem, obok, na stoliku stał kieliszek brandy. Spojrzał na nią bez uśmiechu i Lucy odniosła wrażenie, że nie jest zadowolony z jej widoku. Popełniłam błąd, pomyślała i miała chęć rzucić się do ucieczki, ale jednak przemogła się i postanowiła zostać.

– Nie przyszedłeś powiedzieć mi dobranoc – powiedziała, stawiając lichtarz na stole. – Mówiłeś, że będziesz walczył o naszą wspólną przyszłość, a tymczasem mnie unikasz.

Milczał tak długo, aż Lucy doszła do wniosku, że nie doczeka się odpowiedzi. Obrzucił ją spojrzeniem błyszczących oczu i przestraszyła się, że Robert jest pijany.

– Próbuję uszanować twoje życzenie i nie wziąć cię siłą. Przychodzi mi to z trudem, gdy zjawiasz się w mojej sypialni bosa, w przezroczyściej koszuli nocnej.

– Och! – Zaczerwieniła się. – Rozumiem.

– Cieszę się – zakpił. – Niezwykle mnie pociągasz i w związku z tym moje życie stało się piekłem.

Wstał, Lucy instynktownie się cofnęła, ale z ulgą zorientowała się, że mąż nie jest pijany.

– Przepraszam, pójdę sobie – powiedziała, ale nie ruszyła się z miejsca.

Robert czekał nieruchomo, dając jej czas na odwrót, ale ona nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, zastygłej w bezruchu, jakby wykutej z granitu. Już nie wzbudzał jej lęku, wiedziała bowiem, że mąż jest dobrym, czułym człowiekiem. Potrzebował dwóch kroków, żeby pokonać dzielącą ich odległość i wziąć ją w objęcia, a kiedy to uczynił, z ust Lucy wyrwał się okrzyk radości. Rozpostarła ramiona, żeby przygarnąć do siebie Roberta.

– Dlaczego zostałeś? – spytał cicho.

– Bo obiecywaliśmy sobie, że będziemy próbować... bo chcę być z tobą. Ufam ci.

Odsunął ją, żeby spojrzeć jej w oczy.

– Nie będziemy się kochać, Lucy. Jeszcze nie jesteś gotowa.

Zdawała sobie sprawę z tego, że on ma rację. Pragnęła go, lecz to nie wystarczało, żeby przekreślić złe wspomnienia, które sprawiały, że myśl o zbliżeniu z mężczyzną napawała ją strachem.

– Wiem – odrzekła – ale ostatniej nocy...

Zamilkła, gdyż przypomniała sobie, jak trudno mężowi trzymać się od niej z daleka. Za dużo od niego wymagał, pomyślała, wystawiając na kolejną próbę jego silną wolę.

– Przepraszam, to nie w porządku.

Robert uniósł Lucy w powietrze i zaniósł na łóżko, a sam ulokował się obok, tuląc ją do siebie.

– Niech to diabli. Wolę, żebyś została i nieważne, czy to w porządku, czy nie.

Robert spoglądał na leżącą obok niego żonę, mając świadomość, że czeka go kolejna noc wyrzeczeń i frustracji. Uznał jednak, że to cena warta zapłacenia. Lucy sama do niego przyszła. Z własnej woli zrobiła pierwszy krok ku zbliżeniu. Jeśli miało to znaczyć, że niedługo przestanie dzielić ich niewidzialna bariera ciemności i razem wyjdą na światło dnia, to on może cierpieć katusze niezaspokojonego pożądanego. Życie nie dawało gwarancji. Wiedział o tym aż za dobrze, był jednak zdecydowany czekać, aż Lucy przestaną ścigać demony przeszłości.

Pociągnął za koniec wstążki, którą był związany jej warkocz, uwalniając wspaniałe włosy. Zaczął rozplatać palcami jedwabiste pasma. Od dawna o tym marzył. Były tak miękkie i gładkie, jak to

sobie wyobrażał, mieniły się niczym płomienie ognia. Wręcz go fascynowały.

Lucy leżała nieruchomo, wpatrzona w niego pociemniałym wzrokiem. Robert uległ impulsowi, który kazał mu zniżyć głowę do jej ust. Wydała pomruk zadowolenia, jakby czekała na pocałunek. To wystarczyło, żeby Roberta ogarnęło pożądanie, ale trzymał je na wodzy. Nie bez ironii zauważył, że to doskonała okazja, by przekonać się o sile samokontroli. Okazała się większa, niż mógł się po sobie spodziewać.

Wstał, aby jak poprzedniej nocy zdjąć surdut, koszulę i buty. Tym razem, gdy uwolniony z ubrania pochylił się nad Lucy, skwapliwie wyciągnęła ku niemu ramiona i zaczęła gładzić jego nagie barki i kark. Pieszczoty były nieśmiałe, lecz mimo to podniecające i Robert trwał w bezruchu.

– Jaką gładką i gorącą masz skórę – wyszeptała Lucy, przesuając dłonie na pierś męża i tors nad paskiem spodni.

Robert chwycił ją za rękę.

– Dość – zaprotestował. – Chyba że chcesz wystawić na próbę mój honor i udowodnić, że jestem kłamcą.

– Och! – spłoszyła się Lucy.

Okiennice nie były domknięte, pokój wypełniało blade szarawe światło. Lucy wyglądała kusząco: oczy przymglone, rozchylone usta, wznosząca się i opadająca pierś pod na wpół przezroczystą koszulą. Była gotowa, żeby ją uwieść. Robert wziął głęboki oddech, mając świadomość, że to niebezpieczna gra.

– Jak się czujesz, kochanie? – spytał i pogładził ją po policzku.

– Bardzo dobrze. – W rewanżu pogłaskała go po piersi. – Czuję się... bezpieczna.

– Chcesz, żebym przestał? – Robert nie rozpoznawał własnego głosu, tak był przepełniony hamowaną namiętnością.

– Nie, jeśli masz ochotę kontynuować.

Zauważył w jej oczach błysk wyzwania, ani śladu strachu. Oto kobiety triumf nad moją słabością, pomyślał.

– Mam wielką ochotę.

Pociągnął koniec wstążki podtrzymującej koszulę wokół szyi. Rozsunęła się, uwidoczniając tajemnicze cienie i krągłości. Ach, jakże on do nich tęsknił! Powoli, z namysłem, przesunął palcami od

podbródka Lucy, poprzez szyję do zagłębienia między piersiami. Poprzez cienką koszulę sterczały stwardniałe brodawki. Wziął jedną w usta i polizał. Nagrodą był okrzyk radosnego zdziwienia, jaki wyrwał się z ust Lucy, która poprosiła o więcej, wystawiając ciało. Robert znowu poczuł się jak młody bóg.

Ściągnął koszulę niżej i obnażył żonę do pasa. Świeca zdążyła się wypalić i w pokoju zrobiło się niemal całkiem ciemno. W mroku blade ciało Lucy wyglądało eterycznie. Wolałby je widzieć w blasku światła, ale nie śmiał płoszyć żony zapaleniem nowej świecy, więc po ciemku pieścił dłońmi i pocałunkami jej nabrzmiące piersi, a ona, zapominając o obawach, zafascynowana nowymi wrażeniami, cichymi jękami dawała mu do zrozumienia, że może poczynać sobie śmieiej. Zastosował się do tych niemych próśb. Podniecony do granic wytrzymałości, marzył, żeby już być w niej, ale nie zapomniał, że to dopiero początek i jeden fałszywy krok może obudzić drzemiący w niej lęk.

Leżała kurczowo wczepiona w prześcieradło, gdy dotarł ustami do jej pępka, językiem penetrując jego zgłębienie. Koszula nocna, zrolowana wskutek gorączkowych ruchów ciała, znajdowała się na wysokości ud Lucy. Robert zastanawiał się, czy ona jest świadoma, że instynktownie zapraszająco rozluźniła uda. Leżała z zamkniętymi oczami i zmarszczonymi brwiami, ciężko oddychając. Wsunął dłoń między jej uda, głaszcząc delikatną skórę po ich wewnętrznej stronie. Lucy wstrząsnął dreszcz i uniosła biodra w niemej prośbie. Nachylił się nad nią, całując mokrą od potu szyję, do której kleiły się pasemka włosów.

– Pragniesz spełnienia – szepnął, muskając ustami małżowinę jej ucha.

Między nimi nie powinno być miejsca na fałszywą skromność i zahamowania. Jeśli miała mu ufać, to wszystko powinno dziać się otwarcie, bez udawania, bez skrywania potrzeb i namiętności. Inaczej nie uda mu się wygnać duchów przeszłości. Otworzyła oczy. On, patrząc w nie, rozsunął jej uda i odnalazł ukryte tam łono. Musnął je lekko, a Lucy rozwarła powieki i pałającym wzrokiem patrzyła na niego niemal oskarżycielsko, jak gdyby nie mogła uwierzyć, jak on mógł doprowadzić ją do stanu takiego zapamiętania. Dotknął po raz drugi, a ją przeszył dreszcz i krzyknęła. Dotknął jeszcze raz i okrzyk

był głośniejszy niż za pierwszym razem. Oczy Lucy jaśniały zmysłową radością, po chwili zamknęła je i rozluźniła się. Bezwładne ciało błyszczało od potu.

Robert zapalił świecę. Ściągnął z Lucy pogniecioną białą koszulę nocną. Przyłgnął do niej, obejmując ją ramionami. Nie protestowała, a on nie żywił wątpliwości, że doprowadził ją do rozkoszy, i sprawiało mu radość obserwowanie, jak ona uczy się rozpoznawać przyjemności, jakie może jej dać własne ciało. Nie miał pojęcia, że obdarzanie jej przyjemnością tak bardzo go uszczęśliwi. Było to zadziwiające odkrycie.

– Coś ty mi zrobił? – zapytała po dłuższej chwili.

Znowu stała się dawną Lucy, a jej oczy były jak jaśniejące gwiazdy.

– Pokazałem ci, jakich doznań może ci dostarczyć własne ciało – odparł Robert.

– Udało ci się. Nie miałam o tym pojęcia – wyznała z lekkim uśmiechem.

Zawładnął jej ustami i pogłębił pocałunek; wykonywał ruchy językiem, wyobrażając sobie, że w najbardziej intymny sposób porusza się we wnętrzu Lucy. Jęknęła i otworzyła się przed nim, a on nagle poczuł, że jeszcze trochę, a popłami spodnie nasieniem, co mu się nie zdarzyło od czasu, gdy miał kilkanaście lat.

Oderwał się od żony, przeklinając brak samokontroli. Byli ze sobą dopiero drugą noc i on za skarby świata nie chciałby zrazić jej do siebie, eksponując swoje potrzeby. Musi z tym poczekać. Teraz mogła wyglądać jak upadły anioł rozkoszy, lecz szybko stałaby się na powrót przerażoną dziewczicą, gdyby on miał na uwadze tylko siebie.

– O czym myślisz? – zapytała.

Wcześniej Robert nie znajdował się w równie trudnej sytuacji. Do granic możliwości spragniony spełnienia, jednocześnie nakazywał sobie ostrożność ze względu na ich szczęśliwą wspólną przyszłość. Nie mógł jej wyjawiać, jak bardzo pragnie przypieczętować ich związek i wreszcie uczynić ją swoją.

– Myślę, że nie ma dla mnie większej przyjemności, niż usłyszeć, jak znowu krzyczysz z rozkoszy.

Wydawała się zdziwiona bezpośredniością i Robert przestraszył się, że posunął się za daleko. Zdawał sobie sprawę z tego, że ufność

żony jest bardzo krucha, w każdej chwili mogła lec w gruzach. Na szczęście Lucy cechowała ciekawość i spontaniczność. Zaczynała dostrzegać, dokąd może ją zaprowadzić namiętność, jeśli nie będzie tamowała jej porywów. Czekał cierpliwie.

– To możliwe? – zapytała nieśmiało. – Można doświadczać tej przyjemności na nowo?

– Przekonajmy się – odparł, ale nie podjął inicjatywy.

Czekał na nią, chciał, żeby sama zdecydowała, jak daleko jest gotowa zajść. Patrzyła, nic nie mówiąc. Robert widział, jak mocno bije jej puls.

– Prosisz mnie, żebym... – zaczęła lekko ochrypłym głosem.

– O ile chcesz się przekonać, to tak, proszę.

Uciekła wzrokiem w bok. Robert wiedział, że jest jej ciężko. Pierwsze doznania były zachęcające, ale zdążyły przybladnąć.

Dlaczego by ich nie odświeżyć? Wieczór był ciągle jeszcze wczesny.

– Pozwól mi na coś więcej – poprosił. – Nie zamykaj się.

Roześmiała się.

– Zawsze chętnie uczyłam się nowych rzeczy.

Robert też się roześmiał. Dobra nasza, pomyślał. Skoro on jeszcze tej nocy nie zaspokoi do końca własnych pragnień, to wprowadzenie Lucy na kolejne szczyty doznań cielesnych wydało mu się dość dobrym rewanżem za jego powściągliwość.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Lucy obudziła się późno. Miejsce obok niej było puste. W pokoju było zupełnie widno. Czowała się inaczej niż zwykle. Przez na wpół przymknięte powieki patrzyła na grę światła na suficie. Była nadal jakby zawieszona w stanie błogości. Nie mogła uwierzyć, że to, co przeżyła, jest możliwe. Szokujące, jakie tajemnice skrywało dotychczas przed nią własne ciało. Odkryła je za sprawą Roberta i była mu wdzięczna, że nie wykorzystał okazji i nie posunął ich zażyłości poza granice, po przekroczeniu których nie czułaby się bezpieczna. Była świadoma, że za najbardziej upojną noc w swoim życiu nie dała mu nic w zamian, i wiedziała, że to niesprawiedliwe.

Poczuła chłód dochodzący z otwartego okna. Spojrzała na swoje nagie ciało. Nigdy mu się dotychczas nie przyglądała. Odrzucała cielesność, bo widziała, jak umiera Alice; jej ciało stało się źródłem cierpienia i bólu. Objęła dłońmi piersi. Były krągłe i jędrne, a brodawki wciąż czułe na dotyk po nocnych pieszczotach. Ta ich wrażliwość była przyjemna. Przesunęła dłoń niżej, na łono. Okazało się, że zachowało pamięć doznanych rozkoszy. Miała krągły brzuch, nie była płaska jak Mairi, pośladki obfite, chociaż wysokie i twarde od jazdy konnej, uda dość krzepkie. Nie była gibka i szczupła, ale dzisiejszego poranka czuła się godna pożądania.

Mimo to odezwał się dawny lęk. Pochłonięta namiętnością, beznadziejnie zakochana, Alice dała z siebie wszystko i w konsekwencji utraciła życie. Namiętność okazała się zwodnicza, niebezpieczna. Myśląc tak, Lucy po raz pierwszy nie dała się ponieść ślepemu strachowi. Alice kochała i umarła. To była wielka tragedia, lecz nie jest powiedziane, że to samo spotka ją. W sercu Lucy zapłonęło światełko nadziei, odganiając mrok.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszła Isobel, niosąc tacę ze śniadaniem. Lucy pospiesznie naciągnęła na siebie kołdrę, ale Isobel uśmiechnęła się wyrozumiale. Zmięta koszula nocna leżała na podłodze przy łóżku, pościel była w nieładzie. Lucy przypomniała sobie, jak krzyczała, gdy Robert wprowadzał ją na szczyt rozkoszy, i teraz przestraszyła się, że wszyscy mogli usłyszeć jej okrzyki. W tamtych chwilach o tym nie myślała. Bez wątpienia te odgłosy byłyby

traktowane jako dowód dzielności lairda. Zaczerwieniła się.

– Lord Methven uważał, że może pani potrzebować dłuższego odpoczynku – powiedziała Isobel. – Przypomina tylko, że dzisiaj wieczorem wypływacie.

Lucy zrobiło się trochę przykro, że Robert nie przyszedł jej o tym przypomnieć. Poprzedniego ranka też zniknął na cały dzień.

– Isobel – zagadnęła oberżystkę, unosząc do ust filiżankę z aromatyczną czekoladą – wiem, że Golden Isle stanowi część dziedzictwa lorda Methvena, ale zdenerwował się, gdy przyjechali do niego ludzie z wyspy. Dlaczego?

– Milord pani nie powiedział? – spytała z ociąganiem Isobel.

– Nie, ani słowa.

Pomimo zbliżenia, do jakiego doszło między nimi w nocy, Lucy uzmysłowiła sobie, że nadal niewiele wie o mężu.

– Gregor Methven zmarł na Golden Isle. Ludzie powiadają, że markiz nienawidzi tego miejsca. Tam, po śmierci panicza Gregora, doszło do okropnej kłótni z dziadkiem, seniorem rodu. Po niej lord Methven wsiadł na pierwszy statek odpływający z portu i powrócił dopiero po śmierci dziadka, głowy klanu. Ponoć objechał wszystkie posiadłości, ale wyspy nie odwiedził.

Golden Isle ukazała się oczom Lucy spowita we mgle. Była szara, nie złota, i pomyślała, że niechęć Roberta do odwiedzania wyspy jest w pełni uzasadniona. Z kipieli morskiej strzelały w górę wysokie klify. Nad nimi z przeraźliwym piskiem kołowały rybitwy. Skały, morze i niebo były szare. Miało się wrażenie, że to koniec świata.

Żeglowali od sześciu godzin. Lucy przemarzła, przemokła, cierpiała na chorobę morską i była nieszczęśliwa. Przez cały dzień nie mogła doczekać się na Roberta, żeby z nią porozmawiał, podzielił się z nią obawami związanymi z powrotem na Golden Isle, wtajemniczył w swoje plany. Był zajęty przygotowaniem do podróży. Gdy wreszcie zniecierpliwiona poszła na nabrzeże, nie okazał jej większego zainteresowania, zajęty głównie ładowaniem zapasów na łódź. Lucy czuła się wyłączona; nie odgrywała żadnej roli w szykowaniu się do wyprawy.

Z Mairi pożegnały się na nabrzeżu. Lucy opanowała pokusę poproszenia siostry, żeby jej towarzyszyła. Łatwo było wyobrazić sobie reakcję Mairi, gdyby to uczyniła. Wzbudziłoby to jej domysły, że noc

poślubna okazała się katastrofą, i zaczęłyby nietaktownie wypytywać o szczegóły. Lucy uściskała siostrę i życzyła jej szczęśliwej podróży do Edynburga. Wyprawiła ją w drogę z listem do ojca i obietnicą zaproszenia całej rodziny do Methven, gdy tylko tam się znajdzie. Mairi odjechała z Jackiem Rutherfordem, z którym już na początku drogi zdążyła się pokłócić.

Na początku przeprawa na wyspę szła gładko. Białe słońce przebijało się przez mlecznej białości chmury, gdy jacht wypływał z portu w Findon. Lucy obserwowała z kabiny krzątanicę załogi i Roberta. Podobnie jak pozostali mężczyźni, miał na sobie spodnie ze zgrzebnego lnu i rozpiętą pod szyją koszulę, na którą włożył skórzany kaftan. I tak samo jak oni był boso. Rzucało się w oczy, że nie był nowicjuszem; czuł się pewnie na mokrym od rozbryzgiwanych fal pokładzie. Pomyślała, że być może żeglował od dzieciństwa. Za to ona sama w kabinie, bez żadnego zajęcia, czuła się osamotniona.

Wiatr nasilał się w miarę oddalania się od brzegu, nad horyzontem zaczynały gromadzić się ołowiane chmury, fala się wzmogła. Lucy poczuła się źle. Po raz pierwszy wypłynęła w morze, wcześniej jedynie postawiła nogę na pokładzie, gdy Wilfried Cardross zaprosił ich w Greenock na zacumowany w porcie jacht, żeby się nim pochwalić. Był dużo większy od łodzi, na której Lucy znajdowała się obecnie, i luksusowo wyposażony łącznie z salonem obitym czerwonym aksamitem ze złotymi galonami i herbem Cardrossów w eksponowanym miejscu. Wówczas Lucy uznała wystrój za za bardzo jaskrawy i wulgarny. Teraz jednak wiele by dała za wygodną koję, w której mogłaby się położyć, kiedy łódź pokonywała fale, a jej żołądek podchodził do gardła.

Do kabiny wszedł Robert, niosąc tacę, na której umieścił dwie miseczki z bulionem. Od samego zapachu Lucy zebrało się na mdłości. Na widok jej miny Robert pospiesznie odstawił tacę, złapał Lucy za rękę i wyciągnął ją na pokład tak szybko, że potykała się o własną suknię.

– Dokąd mnie ciagniesz? – protestowała. – Źle się czuję. Puść mnie!

Świeże powietrze podziało jak trzeźwiący policzek. Lucy natychmiast przestało kręcić się w głowie. Oparła się o reling, z lubością wdychała chłodne, przesycone solą powietrze.

– Obserwuj horyzont, a nie będziesz czuła nudności.

Robert otoczył ją ramieniem w talii i poprowadził na zawietrzną stronę głównego masztu. Lucy usiadła na zwoju lin i utkwiła wzrok w horyzoncie, który falował jak grzbiet rozbrykanego konia. Było zimno i ubranie zdążyło przemoknąć, ale poczuła się znacznie lepiej niż w dusznej kajucie.

– Chcesz zupy? – zapytał z uśmiechem i Lucy miała chęć go spoliczkować za to, że czuł się tak dobrze, podczas gdy ona cierpiała.

– Nie, dziękuję.

– Jeśli wolisz zostać na pokładzie, to przyniosę ci koce do okrycia.

– Doceniam twoją troskę.

Nie zwracając uwagi na jej oziębły ton, Robert poszedł po koce. Śmierdziały rybami, ale doskonale chroniły przez chłodem.

– To najgorsze miejsce w całej przeprawie, nazywamy je grzędą – powiedział. – Spotykają się tutaj przeciwne prądy morskie. Dlatego powierzchnia morza jest mocno wzburzona, a przeprawa tak mozolna.

Lucy było obojętne, co jest przyczyną trudności, modliła się tylko, by się wreszcie skończyły, tymczasem warunki żeglugi jeszcze się pogorszyły. Nad morzem zawisła kurtyna deszczu. Maszty skrzypiały, jacht trzeszczał niepokojąco pod naporem fal.

W końcu, blisko ósmej wieczorem, z mgły wyłoniły się klify Golden Isle i łódź wpłynęła do portu. Robert pomagał zeszywniałej z zimna Lucy zejść na ląd. Nikt ich nie witał. McCall, człowiek, który przybył z petycją mieszkańców wyspy do Findon, mruknął coś o konieczności powiadomienia ludzi w wiosce o ich przybyciu i zniknął we mgle. Nadzorca przystani podstawił lekki dwukołowy powozik; zaprzęgnięty do niego nieduży koń sprawiał wrażenie narowistego.

– Do wioski są trzy mile – poinformował Robert, podsadzając żonę do powoziku na twarde siedzenie.

Lucy domyśliła się, jak się czuł po tylu latach w tym odludnym miejscu, witany tylko przez tuman mgły i szare wrzosowiska. Współczuła mu. Przez pierwszą milę nie odzywali się do siebie. Droga była wyboista, koń buntował się i często bez żadnej przyczyny przystawał. Przemoczona do suchej nitki, Lucy kuliała się na drewnianej ławce pod podmuchami wiejącego od wzgórz zimnego wiatru. Patrzyła na ręce Roberta, w których trzymał cugle, na jego ściągniętą twarz, i

uświadomiła sobie, że wygląda jak obcy człowiek.

– Isobel mówiła mi, że nie byłeś na wyspie od wielu lat – zagadnęła.

– Faktycznie nie byłem.

Ton głosu ostrzegał, żeby nie zadawała dalszych pytań. Podniósł kołnierz kaftana, nie tyle by osłonić się przed zacinającym deszczem, co przed jej wzrokiem.

– Bardzo dbasz o majątności i swoich ludzi. Wydaje mi się dziwne... – Zawahała się. – Ładnie tutaj – dodała i złękła się, by on nie zarzucił jej kłamstwa, bo w gruncie rzeczy ona myśli, że to najgorsze miejsce pod słońcem.

– Owszem, ładnie.

Było jasne, że Robert nie zamierza podejmować tematu. Lucy poczuła się urażona. Wyraźnie nie chciał podzielić się z nią swoimi zmartwieniami, a przecież musiał wiedzieć, że Isobel opowiedziała jej o Gregorze i o kłótni z dziadkiem. Doszła do wniosku, że przeszłość była zbyt bolesna, by potrafił o niej rozmawiać. W pełni to rozumiała, ponieważ czuła to samo po śmierci Alice.

Dotknęła jego rękawa. Obawiała się, bo nie wiedziała, co ich czeka, ale chciała okazać się na tyle dzielna, by razem z nim stawić czoło jego zmartwieniom. Chciała, by miał świadomość, że ona będzie przy nim bez względu na wszystko, ale potrzebowała jego wsparcia w nowej dla niej roli żony. Okazał się delikatny i cierpliwy, gdy zwierzyła mu się ze swoich najgłębszych obaw, i chciała mu się odplacić. Nie potrafiła zrozumieć, jak to się stało, że widok Golden Isle tak go odmienił, teraz bowiem zachowywał się jak ponury, zamknięty w sobie, obcy człowiek.

– Czasami powroty do miejsc, z którymi wiąże się wiele wspomnień, bywają trudne – zaryzykowała Lucy. – Bardzo mi pomogło, gdy opowiedziałam ci o Alice. Może gdybyś porozmawiał ze mną...

– To co innego – przerwał jej i podkreślił: – Nie chcę rozmawiać. Czy nie dość jasno dałem to zrozumienia?

Nagle szarpnął lejce, zatrzymał wóz i zeskoczył na ziemię.

– Jestem pewny, znając twoje rozliczne talenty, że znajdziesz drogę do domu – rzucił z przekąsem.

Przeskoczył kamienny rów i ruszył poprzez pole, pozostawiając

zaskoczona Lucy. Ogarnęła ją wściekłość na męża, a do tego rozzłościł ją krnąbrny koń, który stał w miejscu jak wmurowany. W końcu ruszył z wolna, ale przynajmniej wiedział, dokąd zmierza. Powozik mijał rozproszone wzdłuż drogi zagrody. Lucy skinieniem głowy i uśmiechami pozdrawiała napotkanych ludzi. Przejechała obok kościółka i szkoły. Mgła rozproszyła się na tyle, że mogła zobaczyć południowy kraniec wyspy – wcinające się w morze skały i skarpe z wysoką latarnią morską. Koła zaturkotały na wjeździe do bramy i na podwórko. Z zabudowań wybiegł chłopak i przytrzymał konia za uzdę. Lucy czekała, lecz nikt nie wyszedł, by pomóc jej wysiąść. Była tak zła, że gdyby miała możliwość odwrotu, zawróciłaby na ląd i niech by diabli porwali Roberta Methvena wraz z jego dziedzictwem.

Dom okazał się dość duży, w kształcie litery „L”, zbudowany z kamienia i pomalowany na biało. Zachwycające były facjatki na dachu. Drzwi otworzyły się i snop światła padł na kamienny bruk podwórka. W progu stanęła kobieta.

– Nazywam się Stewart – oświadczyła i dygnęła. – Witam jaśnie panią w Auld Haa i na Golden Isle. Zapraszam do środka. Dostałam wiadomość, że jaśnie pan poszedł do wsi, by przywitać się z rządcą.

Chodziło o Roberta, domyśliła się Lucy. A niech to! Wszyscy oprócz żony wiedzieli, gdzie on jest. Mimo urazy postanowiła się tym nie przejmować. W domu było ciepło i sucho, okazało się, że czeka na nią gorące jedzenie, a także kąpiel i miękkie łóżko. Pani Stewart zaofiarowała się pełnić rolę pokojówki, lecz Lucy wolała побыć trochę sama. Mairi obiecała przysłać jej Sheenę i postanowiła radzić sobie bez pomocy do czasu jej przybycia. Teraz marzyła o chwili spokoju w pomieszczeniu, którego podłoga nie ruszałaby się pod nogami w górę i w dół.

Gdy zmyła z siebie zapach ryb i nieco odpoczęła, doszła do wniosku, że dzisiaj sporo dowiedziała się o mężu. Wcześniej odkryła, że potrafi być nieskończenie delikatny i cierpliwy, ale teraz okazało się, że nie dojrzał do szczerzej rozmowy na temat swoich uczuć i tego, co leży mu na sercu. Ciekawe, jak długo to potrwa, pomyślała. Siedziała przed lustrem i rozczesywała włosy przed udaniem się na spoczynek, gdy usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych i głos męża, witającego się z panią Stewart, a potem jego kroki na schodach. Wprawdzie Robert zapukał do drzwi, ale wszedł do pokoju, nie czekając na zaproszenie.

Stracił jednak rozpęd i stanął, opierając się o framugę.

Lucy odłożyła szczotkę do włosów, aby nie rzucić nią w męża.

– Udało ci się skłonić konia do jazdy – zauważył z półuśmiechem.

– Do jutra nauczę go skakać i galopować – odparła. – Następnym razem, jak mnie tak zostawisz, to cię dogonię.

– Nie wątpię.

Podszedł o kilka kroków i ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

– Przepraszam, źle się zachowałem. Wybacz – poprosił Robert.

Lucy nauczyła się już, że pewne tematy należy poruszać w odpowiedniej chwili. Gdyby teraz wspomniała o śmierci Gregora i rozłamie z rodziną, źle by się to skończyło. Niemniej nadal była zła na męża i nie zamierzała pozwolić mu wywinąć się łatwo.

– Wybaczam – powiedziała bynajmniej niezachęcającym tonem i spuściła wzrok.

Chciała, żeby potraktował to jako odprawę, i sięgnęła po szczotkę. On jednak, zamiast wyjść, wyjął szczotkę z jej ręki i zaczął szczotkować włosy. W dalszym ciągu była niego zła i chciała kazać mu przestać, lecz nie mogła się na to zdobyć, tak było jej przyjemnie. Miała ochotę zamknąć oczy i mrużyć z zadowolenia jak kotka. W pewnym momencie Robert musnął ustami jej szyję. Rzuciła mu ostre spojrzenie. Uśmiechnął się i podjął szczotkowanie włosów.

– Mam nadzieję, że twój pokój jest wygodny – zauważyła od niechcienia Lucy, dając mężowi do zrozumienia, żeby tam się udał.

– To bez znaczenia – odrzekł. – Zostanę na noc z tobą.

– Jesteś zanadto zadufany w sobie – skarciła go. – Nie zapraszam cię.

– Chcesz mnie ukarać.

Lucy zauważyła błysk wesołości w jego oczach.

– Zaslugujesz na to.

– Przeprosiłem.

– Owszem, ale to za mało.

– Co jeszcze mam zrobić?

– Jeszcze nie postanowiłam.

– Na pewno coś wymyślisz, żebym cierpiał.

Lucy zaczerwieniła się, co natychmiast Robert zauważył. Uniósł ją w górę i pocałował w usta, głęboko i przeciągle, tak że zakreśliło się

jej w głowie. Zaniósł ją na łóżko i przygniótł sobą.

– Jestem wciąż bardzo na ciebie zła – powiedziała, odpychając go.

– Wiem. Złość też może dodać pieprzyku igraszkom miłosnym. Pocałował ją namiętnie, a gdy się od siebie oderwali, Lucy wyswobodziła się spod ciężaru męża i teraz ona ułożyła się na nim. Nie trwało to długo, bo Robert wydostał się spod niej i wziął ją pod siebie. Nie chciała pozwolić mu dominować, więc po krótkich zmaganiach była znowu górą, ale on i tym razem zdołał ją sobie podporządkować. Przytrzymał jej obie ręce i głęboko, gorąco całował w usta. Po chwili oboje w pośpiechu zrzucali z siebie ubranie.

– Nie mogę... – zaczęła Lucy, na powrót ogarnięta lękiem przed dokonaniem ostatniego kroku.

– Wiem. Nie bój się. Nawet nie myśl o strachu.

Chociaż wcześniej pokłócili się, Lucy porzuciła obawy i zaufała mężowi, przekonała się bowiem, że może bezpiecznie oddać się w jego ręce. Obdzielił ją różnymi pieszczotami i w końcu doprowadzona na szczyt rozkoszy, po której zapadła w błogostan, leżała obok Roberta, wsłuchana w bicie swojego serca.

– Mnie było bardzo przyjemnie, a tobie? – zapytała.

– Mnie też – odpowiedział.

– Mimo wszystko wydaje mi się, że to nie fair.

Zaśmiał się dziwnie, jakby z przymusem.

– Przyznaję, jestem tak podniecony, że wystarczyłoby parę sekund, żebym też był w pełni usatysfakcjonowany.

– Chyba okrucieństwem jest pozbawianie cię satysfakcji.

Lucy odniosła wrażenie, że nie jest sobą, stała się bowiem zmysłowa i lubieżna. Po zastanowieniu uznała, że w gruncie rzeczy taka jest jej natura, tyle że nie dochodziła do głosu zablokowana przez strach. Obecnie została uwolniona. Stało się tak, bo już wypróbowała, że z Robertem czuje się bezpiecznie. Mogła spuścić z uwięzi fantazje, albowiem wiedziała, że nie będzie zmuszona do ostatecznej konsumpcji małżeństwa, chyba że tego zapragnie.

– Nie chcę cię szokować – powiedział.

– To sobą jestem zszokowana.

Dotknęła męskości męża. Obejrzała wiele ilustracji w bibliotece dziadka, ale żadna nie przygotowała jej na to, co poczuła. Był gładki

jak najdelikatniejszy jedwab i jednocześnie twardy. Przesunęła dłoń wzdłuż i Robert jęknął. Uchwyciła go.

– Tak? – Przestraszyła się, że sprawia mu ból.

– Za delikatnie. – Zamknął dłoń na jej dłoni. – Mocniej.

Spróbowała. Ogarnęło ją przerażające i zarazem cudowne uczucie, że ma władzę nad mężem. Przypomniała sobie inne widziane ilustracje. Schyliła się i otworzyła usta. Reakcja Roberta na dotyk jej warg i języka sprawiła, że przestała odczuwać jakiegokolwiek zahamowania. Nie tylko on mógł sprawiać jej przyjemność. Ona także mogła dać mu to wyzwajające uczucie rozkoszy.

Wsunął dłoń w jej włosy i przyciągnął ją do siebie, żeby pocałować. Gorącymi pocałunkami domagał się więcej. Sięgnęła ponownie i poczuła, jak jego ciało kurczy się w konwulsji i opada nieruchome w tył w chwili uwolnienia.

Długo trwało, zanim się odezwał. Leżał z zamkniętymi oczami, jego pierś podnosiła się i opadała w oddechu. Lucy miała nadzieję, że nie zrobiła mu krzywdy. Brak doświadczenia i nadmierny zapał to może być niedobra kombinacja.

– Gdzieś ty się tego nauczyła... – Z trudem wydobył z siebie głos.

– Z kolekcji francuskich książek pornograficznych mojego dziadka.

Otworzył oczy.

– Zapomniałem. Odbyłaś studia teoretyczne, brak ci było tylko praktyki.

– W tej chwili już nie – zauważyła i zachichotała, przytulając się do męża.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Robert odsunął z impetem krzesło, wstał i podszedł do okna. Kantor rządcy McTavisha znajdował się w tym miejscu od niepamiętnych czasów i kiedy tydzień temu przekroczył jego próg, wydawało mu się, jakby stąd nie wyjeżdżał. Nic się nie zmieniło: to samo stare biurko, ten sam widok za oknem na południowy port, ta sama sól krystalizująca się na szybach, przyniesiona na ląd przez wiejący od morza wiatr, i ten sam zapach butwiejących ksiąg. Wrażenie swojskości było miłe, ale niektóre wspomnienia związane z tym miejscem były bolesne. On i Gregor przechowywali swoje wędkę w kącie kantoru. Siadali w oknie przygnębieni nudą podczas niepogody. Stąd zbiegali w dół, na plażę, gdy tylko przestawało padać. Robertowi dźwięczał w uszach głos brata: „Chodź, Rob! Spóźnimy się na przyływ!”.

Kładli się w wiosennej trawie, aby popatrzeć na polującego sokoła wędownego; w tajemnicy przed domownikami przyłączali się do przemytników, wyruszających na zakazane ekspedycje; spychali małą łódkę na wodę i chwyтали za wiosła ... Robert poczuł ukłucie w sercu. Tyle wspomnień wiązało się z Golden Isle, a on wciąż się z nimi nie uporał.

Wiedział, że uraził Lucy odmową porozmawiania z nią o swoich problemach. Wstydział się tego, ale jeszcze nie dojrzał do wyznania żonie, że na Golden Isle utracił to, co było dla niego wówczas najcenniejsze – brata, który był mu najlepszym przyjacielem, i beztróskę młodości. Po pewnym czasie przebudował swoje życie, nic jednak nie mogło wynagrodzić straty, a powrót na Golden Isle na nowo mu to uświadomił. Tym razem nie mógł wsiąść na pierwszy statek wychodzący z portu i uciec, musiał zostać i wypełnić obowiązki głowy klanu, lairda.

Rządca obserwował Roberta Methvena w widocznym napięciu, a z wyblakłych oczu osadzonych w wąskiej twarzy wyzierał strach. Omal nie zemdlął, gdy pierwszego wieczoru po przybyciu na wyspę nieoczekiwanie markiz zapukał do drzwi jego domu. McTavish trzymał go za progiem, twierdząc, że porządkuje mieszkanie na przyjęcie pryncypała, a biegał niczym spłoszony królik i w popłochu wrzucał do

ognia jakieś papiery.

Mając w pamięci oskarżenia McCalla, że rządca jest opłacany przez Cardrossa, Robert zabrał się do przeglądania rachunków z ostatnich siedmiu lat. Stanowiły przygnębiającą lekturę. Jak podejrzewał, kolejne zbiory cierpiały wskutek niepogody, wyspa nie wytwarzała dość żywności dla mieszkańców, nie mówiąc o nadwyżkach, które można by sprzedawać odwiedzającym ją statkom. Wojna odbiła się niekorzystnie na handlu, a wskutek przymusowego poboru mężczyzn do służby w marynarce wojennej praca w polu spadła na kobiety i dzieci. Obraz rysował się tragicznie.

Robert wiedział, że zaniedbał mieszkańców wyspy, lecz im dokładniej wczytywał się w rachunki, tym wyraźniej widział, jak niewiele robił McTavish, by chronić gospodarkę od upadku, za co brał niemałe wynagrodzenie. W gruncie rzeczy działał nawet na niekorzyść swoich chlebowców. Sprzedawał produkty poniżej wartości rynkowej, nie sprowadzał niezbędnych surowców. W konsekwencji warunki życia wyspiarzy stale się pogarszały. Wyglądało na to, że podejrzenia McCalla i starszyny były uzasadnione.

– Milordzie? – McTavish nie mógł znieść milczenia Roberta.

– Wezmę kilku mężczyzn i po południu zabierzemy się do naprawy stanowisk obserwacyjnych – oznajmił Robert.

Odwrócił się od okna w porę, by zauważyć zaniepokojenie McTavisha.

– Stanowisk obserwacyjnych, milordzie? – powtórzył cicho rządca.

– Tak. Muszą być w stanie umożliwiającym ostrzeżenie mieszkańców w tym trudnym czasie wojny. Nie rozumiem, dlaczego dopuściliście do ich ruiny.

– Nie ma ludzi do pracy, milordzie...

– Jestem ja i kilku mężczyzn, których nie uprowadziły bandy polujące na ludzi do marynarki. Odremontujemy też wieżę na przylądku. Napiszę do kuzyna, żeby przysłał ludzi z Methven.

– Me-Methven? – wyjąkał McTavish. – Nie ma potrzeby.

– Owszem, jest. – Robert usiadł przy biurku i chwycił za pióro. – Przed chwilą twierdziliście, że brak rąk do pracy. Ci z Methven szybko uporają się z remontem stanowisk obserwacyjnych.

Robert nie miał wątpliwości, z jakiego powodu McTavish

oponował przeciwko umocnieniu możliwości obrony wyspy – wołał, żeby nie była w stanie przeciwstawić się atakowi.

– Doszły mnie słuchy, że na wodach sąsiadujących z wyspą widziano francuskiego pirata – ciągnął Robert. – Można się spodziewać, że zechce nas napaść. Jest wojna, musimy być czujni. Zamierzam wezwać ludzi z klanu, może uda nam się zwabić go w pułapkę. – Pióro skrzypiało po papierze. Gdy skończył, posypał list piaskiem i wręczył rządcy. – Zawieźcie to, McTavish, na ląd i stamtąd wyślijcie umyślnego do Methven.

Robert uśmiechnął się do siebie, obserwując przez okno, jak McTavish pędzi z kantoru do południowego portu, powiewając na wietrze połami surduta. Był przekonany, że rządcza albo każe przesłać list bezpośrednio Cardrossowi, albo go przeczyta i przekaże jego treść. Minie co najmniej pół tygodnia, zanim hrabia zapozna się z listem, a nawet dłużej, jeśli nie będzie go w Edynburgu. Gdy jednak to nastąpi, bez zwłoki wyruszy na Golden Isle. Nie może sobie bowiem pozwolić na to, by francuski łącznik wpadł w ręce Roberta, gdyż będzie śpiewał jak kanarek, żeby ocalić własną skórę, a przy okazji pograży zdrajcę.

Nakreślił drugi list do Jacka, nadal przebywającego w Findon, w którym napisał: *Jak tylko dostaniesz ten list, zacznij przysyłać mi ludzi. Dotknąłem gniazda szerszeni. Musimy być gotowi.* Ten list miał dostarczyć na ląd Stuart McCall, jak tylko McTavish wyruszy w drogę.

Pozostało czekać.

– Wszyscy mówią, że lord Methven nienawidzi Golden Isle – powiedziała Sheena następnego ranka, pomagając Lucy w porannej toalecie. – Po śmierci brata jego noga nie stanęła na tutejszej ziemi, zresztą jego dziadka również. Ludzie mówią, że pozostawili to miejsce, żeby szczęło. To przeklęta ziemia.

Sheena była na wyspie zaledwie od tygodnia, a już znała wszystkie plotki. Gromadziła je jak sroka błyskotki. Codziennie rano powtarzała Lucy wszystko, czego dowiedziała się poprzedniego dnia, a Lucy starała się nie ulegać defetystycznym nastrojom, rozsiewanym przez pokojówkę. Czuła, że Robert cierpi z powodu trudnej sytuacji na wyspie. Podpowiadała to jej intuicja, bo mąż nie zwierzał się jej ze swoich zmartwień.

Nie winiła Roberta o to, że z gorliwością rzucił się w wir pracy po przybyciu na wyspę. Codziennie większą część dnia spędzał z

McTavishem, przeglądając księgi rachunkowe i dyskutując, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie za tegoroczne zbiory i połowy ryb. Codziennie też spotykał się z dzierżawcami i rybakami w porcie. Podczas śniadania opowiadał o swoich planach, nigdy jednak nie poprosił jej, by mu towarzyszyła. Przy kolacji relacjonował, co działo się w ciągu dnia. Później siedzieli nad kieliszkiem whisky, niekiedy Lucy grała na pianinie. Było przyjemnie, po domowemu, jednak czuła się wykluczona.

Całkiem inaczej było w nocy, ponieważ stawali się sobie coraz bliżsi. Lucy wiedziała, że zbliża się moment konsumpcji ich związku, i po części do tego tęskniła. Jednocześnie coraz trudniej znosiła rozziew między dniami a nocami, pogłębiało się bowiem jej wrażenie, jakby poślubiła dwóch różnych mężczyzn. Jednego milczącego i zamkniętego w sobie, drugiego otwartego i przyjaznego, któremu mogłaby powierzyć bez zastrzeżeń swoje życie, gdyby zaszła taka konieczność.

– Pani Stewart jest gadułą – trajkotała Sheena. – Wszystko mi mówi. Biedna, samotna kobieta. Była kiedyś ochmistrzynią w Methven, ale naraziła się staremu markizowi i odesłał ją tutaj. Zwariowałabym na tym odludziu. Proszę spojrzeć za okno – to ponura wyspa.

– Widziałam słońce – zaoponowała Lucy. – Kiedy w zeszłym tygodniu wyszło zza chmur, wyspa wyglądała prześlicznie. Wydaje mi się, że i dzisiaj, jak zniknie mgła, może być podobnie.

Pokojówka wplotła wstążkę we włosy Lucy i odstaąpiła o krok, żeby podziwiać własne dzieło.

– Bardzo ładnie. Miejmy nadzieję, że lord Methven zauważy. Nie wygląda mi na zbyt spostrzegawczego, w każdym razie nie widzi tego, co jest istotne.

Lucy spojrzała uważnie na odbicie Sheeny w lustrze. Zadała sobie w duchu pytanie, czy pokojówka nie mówi tego z rozmysłem, by jej dokuczyć. Podobne kąśliwe uwagi, zaszczepiające wątpliwości w jej sercu, stawały się coraz częstsze. Mimo wszystko tego rodzaju podejrzenia były chyba absurdalne, pomyślała. Sheena opiekowała się nią od dzieciństwa, służyła w Forres od dawna i była lojalna.

– Co będzie pani robiła dzisiaj? – spytała pokojówka.

– Nie wiem – odparła Lucy. – Nie mam pojęcia.

Auld Haa było niewielkim gospodarstwem domowym,

zorganizowanie w nim życia nie wymagało wielkiej pracy, zresztą wszystkim i tak zajmowała się pani Stewart. Lucy była daleka od udowadniania, przejmując jej obowiązki, że biedna kobieta jest niepotrzebna. Siedzenie w domu i oczekiwanie na gości nie miało sensu. Jeżdżenie z wizytami też nie wchodziło w grę. Życie towarzyskie na wyspie było bardzo ograniczone. Parę dni wcześniej odwiedziły ją żony dwóch latarników, jedna, pani Hall, miła i dobrze wychowana, druga, pani Champion, zawzięta i głośna; obie były zgodne co do tego, że mieszkańcy wyspy są barbarzyńcami. Pani Champion zapowiedziała, że zamierza wydać obiad na cześć Roberta i Lucy i zaprosić nauczyciela oraz proboszcza. To jedyne, według niej, osoby godne zaproszenia. Kupcy prowadzący sklepiki w porcie byli bardzo biedni, zresztą to i tak cudzoziemcy, Norwegowie, których pani Champion nie uznawała za godnych zasiadania za jej stołem. Dla Lucy jej snobizm był nie do zniesienia. Nie poprosiła żadnej z dam, żeby do niej wpadły ponownie.

Mogła zająć się pisaniem, lecz poradnik dla dam, traktujący o tym, jak znaleźć doskonałego dżentelmena, wydawał się obecnie mało zajmujący. Zresztą tu, na wyspie, nie miał najmniejszego praktycznego zastosowania. Mogłaby się zainteresować historią Golden Isle. Słyszała kilka opowieści od pani Stewart, która rzeczywiście, jak zauważyła Sheena, była dość gadatliwa. Historie te dotyczyły złota z rozbitych okrętów hiszpańskiej Armady, jak również osiedlenia się wikingów, którzy byli przodkami wyspiarzy. Wieża obserwacyjna wikingów nadal górowała nad wzniesieniem za Auld Haa, a w południowym porcie wciąż znajdowały się pochylnie, na których spoczywały ich łodzie.

– Pojedzie pani z lordem Methvenem?

– Wątpię. – Lucy wydawało się, że Sheena uśmiechnęła się pod nosem.

– Mogę ci dzisiaj towarzyszyć? – Lucy zwróciła się do męża przy śniadaniu, widząc, że słońce przedarło się przez mgłę. – Zapowiada się piękny dzień, chciałabym zobaczyć dalsze połacie wyspy.

– Będę zajęty przy odbudowie stanowisk obserwacyjnych – odrzekł Robert i odstawił z hałasem pusty kubek po kawie, po czym wstał i wyszedł, pozostawiając Lucy urażoną odmową.

Osiodłała jednego z małych koników pasących się na padoku i pojechała na spacer. W Auld Haa nie było damskiego siodła, musiała

wziąć męskie, co oznaczało, że potrzebowała spodni. Pani Stewart przyniosła jej spodnie siostrzeńca, przebrała się w nie i wyruszyła na przejażdżkę. Koń okazał się krnąbrny i nieskłonny słuchać jeźdźca. Był nieco większy niż kuce szetlandzkie, ale o wiele bardziej narowisty. Doszło do próby sił, kto komu będzie rozkazywał, z której Lucy wyszła zwycięsko, i od tej pory koń robił wszystko, czego sobie życzyła.

W ciągu następnych paru dni objechała całą wyspę; była na porośniętych mchem klifach na północy oraz łagodniejszych zielonych pagórkach na południu. Mieszkańcy pozdrawiali ją przyjaźnie – raz któryś z nich zaproponował jej szklanek mleka dla ochłody, kiedy indziej zaproszono ją do domu, gdzie oprócz mleka została poczęstowana owsianymi herbatnikami.

– Słyszałem, że jeździsz konno po wyspie – stwierdził Robert przy kolacji.

Wrócił późno i przyszedł do jadalni prosto z dworu w zabłoconych butach i w koszuli z podwiniętymi do łokcia rękawami.

– Owszem – odparła Lucy. – Zamierzasz mi towarzyszyć?

– Mam dużo pracy.

Odpowiedź podziałała na Lucy jak smagnięcie biczem. Odsunęła talerz z rosółem i wstała.

– Zachowujesz się jak rozkapryszone dziecko – stwierdziła.

Odmowa ją zabolęła. Po raz kolejny wychodziła mężowi naprzeciw, a on ponownie ją odpychał. Wbił w nią przenikliwe spojrzenie, jakby chciał ją zastraszyć, ale Lucy ani myślała zamilknąć.

– Wiem, że ciężko ci tutaj. Rozumiem, jak bolesne są dla ciebie wspomnienia...

Przerwała, widząc po wyrazie twarzy Roberta, że dotknęła czulej struny. Nie odezwał się i Lucy odniosła wrażenie, że jeszcze głębiej zamknął się w sobie.

– Wiem, że nie chcesz o tym rozmawiać – nie dawała za wygraną, uznając, że skoro zaczęła, dojdzie do końca.

– Rzeczywiście nie chcę – odparł zimnym tonem Robert.

Obojętność, z jaką to potwierdził, była przerażająca.

– Jedyne próbuję ci pomóc.

– Nie potrzebuję pomocy.

– Mam na ten temat inne zdanie i nie chcę mieć nieszczęśliwego i upartego męża.

Lucy rzuciła na stół serwetkę, zerwała się na nogi i pobiegła do drzwi, mając nadzieję, że mąż ją zawoła, przeprosi i powie cokolwiek. Tymczasem Robert milczał. Zatrzymała się i nie odwracając głowy, rzuciła przez ramię:

– Nie przychodź do mnie w nocy. Jestem twoją żoną, nie kochanką, nie pozwolę, żebyś mnie ignorował za dnia, a doceniał moje towarzystwo tylko w nocy. – Z tymi słowami opuściła jadalnię.

W swoim pokoju, mieszczącym się na piętrze, Lucy skuliła się na ławeczce pod oknem i zapatrzyła na rozpościerające się wokół wyspy, morze i daleki horyzont. Świecił księżyc w pełni, wyspa była skąpana w jego blasku.

Świeca wypalała się, a Lucy nadal nie usłyszała kroków Roberta, z czego wynikało, że nie wszedł na górę. Nie wiedziała, co zrobi, jeśli on nie zapuka do jej drzwi. Czowała się dotknięta i rozczarowana tym, że mąż odrzucał wszystkie jej próby pomocy, ulżenia mu w widocznym przygnębieniu. A przecież potrafił być czuły i wyrozumiały, o czym wiele razy się przekonała. Lucy nie rozumiała, jak mógł nie pragnąć, oprócz bliskości fizycznej, także tej duchowej, dającej poczucie pełni porozumienia.

Usłyszała hałas na dole i skrzypnęła brama. Na murze pokazał się długi cień mężczyzny. Lucy poznała Roberta po sposobie, w jaki ów cień się poruszał. Była ciekawa, dokąd się wybierał. Do tej pory nasłuchiwała się sporo opowieści o Golden Isle, o wrakach statków leżących na dnie otaczających ją wód, o piratach i przemytnikach. W taką noc jak ta łatwo było uwierzyć we wszystkie legendy i mity. Lucy opuściła ławeczkę pod oknem. Włożyła trzewiki oraz ciepłą pelerynę. Schody skrzypiały, chociaż skradała się na palcach, ale nikt się nie pokazał. Zresztą pani Stewart i reszta służby zajmowali boczne skrzydło domu. Lucy otwarła drzwi. Poczowała na twarzy powiew świeżej bryzy. Zauważyła, że Robert szedł przez pole w stronę klifów, i ruszyła jego śladem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Wilfred Cardross był pijany, gdy dotarł do niego posłaniec z listami.

– Przywożę dwa pilne listy z Golden Isle, milordzie – zakomunikował i uchylił się, żeby nie trafił go rzucony w jego stronę but.

Hrabia otworzył jeden z listów, który, jak się spodziewał, przysłał McTavish. Przeczytał kilka słów i ze złością rzucił kartkę na stół, myśląc, że rządcą stał się nerwowy jak stara baba. O co tyle krzyku! Methven naprawia stare stanowiska obserwacyjne i przygotowuje się do obrony przed rajdem francuskiego pirata. Wielkie mi co! Ten Francuz, Le Boucanier, nie zdradziłby swojej obecności, gdyby obawiał się pochwycenia, a dopóki on jest na wolności, sekrety Cardrossa są bezpieczne.

Mimo przekonania o własnej bezkarności ziarno wątpliwości zostało zasiane w umyśle hrabiego i zaczęło kiełkować. A jeśli jednak Methven okaże się na tyle sprytny, że złapie francuskiego pirata? W zamian za wolność Le Boucanier ochnocho przehandluje informacje na temat pewnego szkockiego wielmoży, który bierze od niego pieniądze za informacje o wywiadowczym znaczeniu, jest więc zdrajcą własnego kraju. Cardross zapatrzył się w kieliszek z winem, jakby w nim spodziewał się znaleźć odpowiedź na pytanie, czy może podjąć takie ryzyko.

Wielce interesujący był kolejny fragment listu: *Methven sprowadza ludzi ze swojego klanu do pracy przy naprawie stanowisk obserwacyjnych i instalacji obronnych na wyspie...*

Cardross przerwał czytanie, bo przyszło mu do głowy, że byłoby zabawne, gdyby wszyscy ci ziomkowie Methvena zostali porwani do marynarki wojennej. Byłby to cios dla markiza, a Cardross nawet mógłby dodatkowo się wzbogacić, zgłaszając się po nagrodę za naprowadzenie oficerów królewskich na taki bogaty połów. Im więcej o tym myślał, tym bardziej ów pomysł mu się podobał, a im bardziej zachwycał się swoją pomysłowością, tym goręcej pragnął udać się na miejsce i na własne oczy ujrzeć rozpacz i beznadzieję Methvena z powodu utraty ludzi, których tak bardzo chciał chronić.

Hrabia roześmiał się. Napisze zaraz do Wilsona i Scotta, operujących na północy oficerów królewskich, i namówi ich, by pozebrali na Golden Isle i pojмали ludzi Methvena. Chciwość podsunęła mu jeszcze jeden pomysł. On też pozebruje na wyspę. Musi tam być. Wilson jest skorumpowanym draniem, który zechce go oszukać i ograbić z ciężko zarobionych pieniędzy, jeśli nadarzy mu się chociaż cieniutki szansa. Ponadto, kiedy po utracie ludzi Methven wycofa się na południe, by lizać rany, on bezkarnie rozkręci przemytniczy i szpiegowski proceder na wyspie do niespotykanych dotąd rozmiarów i będzie zgarniał krociowe zyski. Nie może na tym stracić.

Był tak urzeczony tą perspektywą, że o mały włos nie zapomniał o drugim liście, leżącym na stole. Schwycił go, rozpieczętował, przebiegł wzrokiem pierwsze linijki, najpierw ze znużeniem, potem z rosnącym zainteresowaniem. Kiedy doczytał do końca, uśmiechał się do siebie z zadowoleniem. Szpieg w domu lady Methven donosił brzemienne w skutki wiadomość: *Robert Methven nie spełni warunków nabycia spadku. Nie będzie miał następcy.*

Teraz to już na pewno trzeba się wyprawić na Golden Isle i być świadkiem upadku rywala. Z jaką przyjemnością osobiście poinformuje markiza o zdradzie żony! Co to będzie za widok, gdy Methven usłyszy tę wiadomość. Cardross wstał i zataczając się, ruszył, by nakazać pakowanie kufrów podróży.

Duchy przeszłości wyгнаły Roberta z domu. Długo siedział w jadalni po wyjściu Lucy. Rozmyślał o sobie i o tym, co od niej usłyszał. Wreszcie wyruszył nad morze, do zatoki, ulubionego miejsca zabaw jego i Gregora. Wtedy kochał Golden Isle i do głowy by mu nie przyszło, że kiedykolwiek mogłoby się to zmienić. Potem brat zginął i Robert znienawidził Golden Isle równie gorąco, jak dawniej ją miłował. Zauważył, że los jego i Lucy był podobny. Oboje utracili rodzeństwo i cierpieli z tego powodu.

Nocne powietrze było ciepłe i łagodne. Robert usiadł na granitowej skale na plaży. Nad nim piętrzył się klif, zwany Diabelskim Mostem. Stamtąd spadł Gregor. Jak mogło do tego dojść? Obaj potrafili się wspinać ze zręcznością kozic górskich. Tamtego feralnego dnia brat wszedł na klif, próbując uratować chłopaka, który zapuścił się na zbocze w poszukiwaniu ptasich jaj i nie potrafił z niego zejść. Tamten przeżył, a Gregor spadł i się zabił.

Robert doszedł do wniosku, że powinien wrócić do domu, do żony, i przeprosić za swoje zachowanie. Najwyższy czas przestać uciekać. Lucy była odważniejsza od niego. Zaufała mu i pokonała początkowy strach, a on do tej pory zwlekał z zawierzeniem jej swoich tajemnic.

Wstał. Noc była spokojna, niebo pogodne, powierzchnia morza lśniła. Nagle po drugiej stronie klifu ujrzał postać. W pierwszej chwili pomyślał, że to przywołany jego wspomnieniami duch brata. Potem, ze strachem, który przygwoździł go do miejsca, uzmysłowił sobie, że to nie żaden duch, lecz Lucy. Właśnie wchodziła na wąski łuk skalny, gdyż zmierzała w jego stronę. Robert słyszał dudnienie kamieni osuwających się spod jej nóg w dół klifu.

Spadnie, pomyślał, przerażony. Zerwał się do biegu, potykając się o kępy trawy, zataczając i klnąc. Dopadł ją, odciągnął od brzegu i tych strasznych, spowitych w ciemnościach skał. Była w jego ramionach ciepła i rzeczywista.

– Przyszłam po ciebie, martwiłam się – powiedziała.

– Ty wariatko! Głupia, nierozważna, szalona...

Miał ochotę nią potrząsnąć. Sam drżał, ale po chwili się uspokoił. Kurczowo tulił żonę do siebie, czuł jej ciepło, słyszał oddech. Lucy milczała.

– Myślałem, że cię stracę. Kocham cię. Bałem się, że Golden Isle odbierze mi także i ciebie.

Nie wiedział, skąd wzięły się u niego takie słowa. Wiedział tylko, że były prawdziwe. Przenikające się rozmaite uczucia, które Robert nazywał pożądaniem, czułością, podziwem, zlały się w jedno najprawdziwsze i wszechogarniające – miłość. Przewaliła się przez niego fala uczucia, potężna i nieubłagana jak przypływ morza. Pociągnął Lucy na miękko, sprężystą darń i zsunął z jej ramion pelerynę. Zauważył, że pod spodem miała tylko koszulę nocną, postrzępioną na kamieniach. Zerwał z niej te strzępki i poczuł, jak zadrżała. Nagie ciało ukochanej o jasnej karnacji lśniło w świetle księżyca. Zawładnął jej ustami, a ona oddała pocałunek, przesuwając dłonie na jego plecy i przyciągając go do siebie. Nie zawahała się ani odrobinę, nie było w jej zachowaniu śladu wątpliwości i Robert wiedział, że jego oczekiwanie dobiegło końca.

Ujął jej twarz w dłonie.

– Nie zadam ci bólu.

– Nie boję się. Robercie, ja tego chcę, bo cię kocham.

Rozpiął spodnie drżącym palcami i rozsunał uda Lucy, po czym wślizgnął się w nią jak najostrożniej, trzymając na uwieży rozszalałą namiętność. Drgnęła, wstrzymała oddech, rozwarła oczy. Musiała być zdziwiona, że to, czego tak się lękała, wcale nie jest aż tak przerażające.

– Przepraszam, zaraz będzie lepiej – szepnął.

– Nie rezygnuj – powiedziała cicho. – Nie teraz...

Robert przelał wszystkie swoje uczucie i tłumione tęsknoty w pocałunek. Kiedy poczuł, że pod jego wpływem jej ciało się otwiera, zaczął się z wolna poruszać, wciąż kontrolując pożądanie, chociaż w gorącym i ciasnym wnętrzu Lucy był to wyczyn niemal ponad jego wytrzymałość. Usłyszał jej westchnienie, przyciągnęła go ku sobie i wysunęła do przodu biodra, by wyjść mu na spotkanie, i to go zgubiło. Stanął nad skrajem przepaści i nie miał odwrotu – musiał w nią runąć, bez namysłu i szybko. Upadek był oszałamiający. Poza czysto fizyczną ulgą, spłynęły na Roberta niezwykle ukojenie i radość, jaką odczuwa człowiek po powrocie do domu.

Otulił Lucy peleryną i zaniósł ją do domu, do łóżka. Chciał ukochać ją raz jeszcze, lecz domyślił się, że mógłby sprawić jej dyskomfort, zadowolili się więc jej bliskością. Przepęłniła go niezwykła błogość, gdy tak leżał obok ukochanej. Trzymając ją przy sobie, odnalazł wewnętrzny pokój i pojął, jak bardzo ją kocha i jej potrzebuje. W ślad za miłością pojawił się jednak cień strachu.

– Robercie?

Nie spała. Dotknęła jego policzka, a w nim ponownie obudziło się pożądanie, ale też i wielka czułość.

– Przepraszam, że nie chciałem z tobą rozmawiać. Przybycie na Golden Isle wiele mnie kosztowało. Pracą chciałem zagłuszyć smutek, żal i przygnębienie, które mnie ogarnęły. Nie byłem w stanie o nich opowiadać.

Lucy położyła się na boku i wsparła na łokciu, żeby przyglądać się ukochanemu. Rozpuszczone włosy opadły jej na nagie ramiona.

– Nie dziwię ci się – odparła łagodnie. – Utraciłeś tu brata. To jakbyś stracił część swojego życia.

Robert przyciągnął Lucy do siebie, żeby oparła mu głowę na

piersi.

– A teraz zaczęła się tu inna część mojego życia, z tobą, kochana – dodał.

Lucy powoli odzyskiwała świadomość, uprzytamniając sobie, że spokojnie przespała całą noc, nie śniły się jej koszmary. Przypomniała sobie, co się wydarzyło. Oddała się Robertowi bez zastrzeżeń, powodowana pragnieniem ostatecznego zespolenia, scalenia w jedność z ukochanym, który wyznał, że darzy ją miłością. Kochał ją i ona chciała mu się oddać, bo go także kochała. Mimo to dał o sobie znać przelotny lekki strach. Przemknął i zgasł. Czekala, czy nie powróci i nie urośnie do monstrualnych rozmiarów, jak dotychczas bywało, ale nic takiego nie nastąpiło. Łóżko było ciepłe i wygodne, była spokojna i zadowolona, wręcz szczęśliwa.

Z premedytacją powiedziała sobie w duchu, że może zaszła w ciążę, aby spróbować, czy wzbudzi w sobie najgorsze obawy. Rzeczywiście, pojawił się lekki niepokój, ale znikł, podobnie jak ślad stopy na zmywanej falami plaży. Przyszło jej do głowy, że być może będzie co jakiś czas powracał, lecz nie przejęła się tym, bo utracił moc.

Spojrzała na Roberta. Spał wyraźnie odprężony, rozluźniony. Twarz straciła ostre linie, wypogodziła się i jakby odmłodziła. Jednodniowy zarost ciemniał na policzkach i brodzie, mimo to Lucy ujrzała w nim chłopca, którym był, gdy przeżył tragedię.

Wiedziała, że jest przez niego kochana. Widziała to w jego oczach, gdy oddawała mu się na skałach, a on brał ją z radością. Delikatność i czułość nie mogła być podyktowana niczym innym niż miłością. Pokochała Roberta za jego siłę i determinację uczynienia wszystkiego, co możliwe dla dobra klanu, za jego lojalność, cierpliwość i wrażliwość, jakie jej okazał.

– Lucy – powiedział cicho, z uśmiechem.

Wyciągnął rękę i pogładził jej ramię, po czym ujął dłoń i ucałował palce.

– Jak się czujesz, najukochańsza?

Dostrzegła cień w jego oczach. Niepokoił się, czy ona nie żałuje tego, co się stało.

– Bardzo dobrze – odparła szczerze.

– Na pewno?

Był tylko jeden sposób, żeby upewnić męża, że nie jest obolała,

smutna czy przestraszona: okazać, że znowu go pragnie. W pocałunek włożyła swą miłość, a gdy po dłuższym czasie uniosła głowę, spostrzegła, że Robert wpatruje się w nią intensywnie. Wiedziała, że czeka na jej decyzję. Wieczorem działał impulsywnie, bał się, że mógłby ją utracić. Teraz chciał, żeby ona zdecydowała.

Lucy nie umknęła wzrokiem w bok, tylko zwróciła go na Roberta, dając mu niemo znać, czego oczekuje i pragnie. Wreszcie poczuła jego usta na szyi, gorące jak rozpalone żelazne piętno. Wyciągnęła ku niemu ramiona, niepomna niczego oprócz tego, jak bardzo go pragnie. Dłonią przykrył jej pierś, pieszcząc w wypróbowany wcześniej sposób, który przyprawiał ją o dreszcze rozkoszy. Wiedziała już, na co stać jej ciało, i pragnęła czerpać z jego skarbnicy bez ograniczeń. Po raz pierwszy była całkowicie wolna od obaw.

Wysunęła się spod Roberta, usiadła na nim okrakiem z szeroko rozłożonymi ramionami i przytrzymując się wezglowia łóżka, opuściła ciało, przyjmując go w siebie. Okrzyk rozkoszy męża był dla Lucy nagrodą.

– Lubisz tak? – zapytała. Uniosła się i opadła niżej. – A może wolisz tak?

– Ty rozpustnico!

Uniosła się i opuściła jeszcze parę razy, po czym on uchwycił ją za biodra i przewrócił na materac. Zagłębił się w niej, a ona wygięła się, by go przyjąć. Dobięła do kresu szybko, a spazmy jej ciała zachęciły Roberta do przyspieszenia momentu uwolnienia. Leżeli zgrzani, zdyszani, ze splątanymi kończynami, zaspokojeni.

– A niech to – odezwał się Robert, gdy jego oddech uspokoił się na tyle, że mógł mówić – chciałem, żeby tym razem odbyło się to powoli i delikatnie.

– Może następnym razem tak będzie – odparła Lucy.

Przytulili się do siebie i Robert naciągnął na nich kołdrę.

Gdy Lucy ponownie się obudziła, pokój był zalany światłem słonecznym. Robert wciągał koszulę i przeklinał, że spóźni się na umówione spotkanie z zarządcą. Przed wyjściem nachylił się nad nią i pocałował ją z uczuciem.

Do pokoju wślizgnęła się Sheena z tacą ze śniadaniem, ale Lucy czuła się zbyt wyczerpana, by jeść i pić. Pokojówka delikatnym uniesieniem brwi dała do zrozumienia, że widzi zmiętoszoną pościel i

potargane włosy pani. Postawiła tacę na stoliku nocnym i otworzyła kufer podróżny Lucy, dając nurka aż na jego dno.

– Będzie pani potrzebowała tej mikstury – powiedziała. – Zauważyłam, że pani tego nie bierze. To nierozsądne i niebezpieczne, jeśli wolno mi coś na ten temat powiedzieć. Mogła pani przewidzieć, że do tego dojdzie.

Sheena trzymała w dłoni mały flakonik.

– Właściwie go nie potrzebuję, bo już się nie boję – stwierdziła Lucy.

– Ależ, proszę pani, nie wolno ryzykować! Musi pani to brać. – Sheena była bliska paniki. – Zdobędę dla pani inne krople na wypadek, gdyby już pani zaszła w ciążę. Nikt się nie dowie. Dziecko to dla pani zagrożenie. Proszę sobie przypomnieć, jaki los spotkał siostrę! Proszę mnie wysłuchać...

– Nie – oznajmiła stanowczo Lucy.

Wstała, podprowadziła Sheenę do łóżka i kazała jej usiąść na jego skraju. Pokojówka trzęsła się, bliska płaczu. Lucy nie przypuszczała, że Sheenie aż tak bardzo leży na sercu jej los. Chociaż zachowanie pokojówki można było wyjaśnić: wyniańczyła od maleńkości Lucy i Alice.

– Rozumiem twoją troskę – przemówiła łagodnie. – Opiekowałam się mną od dziecka, ale wierz mi, nie ma się czego obawiać.

Sheena słuchała z kamienną twarzą.

– Dobrze, proszę pani. Więcej nie wrócę do tego tematu.

Potem, już ubrana, Lucy wsunęła flakonik do kieszeni peleryny. Poszła na klif, stanęła na jego skraju i cisnęła buteleczkę do morza. Poczula się tak dobrze jak nigdy dotąd. Stała z twarzą zwróconą ku coraz cieplejszemu słońcu. W pewnej chwili zdawało się jej, że wiatr przyniósł dźwięk głosu i śmiechu Alice.

I oto odeszło wspomnienie tragicznej śmierci siostry. Teraz Alice kojarzyła się jej z ich wspólnymi zabawami w zalanym światłem słonecznym ogrodzie. Wciąż czuła obecność siostry koło siebie, ale dzisiaj była ona jej dobrym i opiekuńczym duchem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Lucy zdjęła buty i pończochy i boso brodziła przy morskim brzegu. Dziwne, że w ostatnich dniach odkrywała tyle drobnych przyjemności. Odnajdywała nieznane zapachy i smaki, poznawała nowe wrażenia dotykowe. Jakże to było inne od jej dotychczasowej egzystencji ograniczonej do książek i ponurego wnętrza biblioteki. Czuła się tak, jakby dopiero teraz zaczynała żyć.

Ostatni tydzień upłynął jak w bajce. Słońce świeciło niemal każdego dnia i Golden Isle wreszcie była naprawdę złota. Robert odrywał się od swoich zajęć, aby mogli spędzać razem dużo więcej czasu. Jednego dnia wybrali się na piknik nad jeziorem. Innym razem jeździli konno po wzgórzach, a pewnego popołudnia kąpali się w morzu. Nawet teraz, mimo że zbliżała się pełnia lata, woda była wciąż bardzo zimna, udało im się jednak znaleźć osłoniętą zatoczkę, w której słońce ogrzało wodę na tyle, że można było z przyjemnością się zanurzyć. Lucy uśmiechała się do siebie, przypominając sobie, jak rzucali z siebie ubrania i wskakiwali nago do wody.

Dużo rozmawiali. Robert opowiedział jej o swojej babci, która była jedyną osobą z rodziny, utrzymującą z nim, wbrew własnemu mężowi, korespondencję podczas jego tułaczki po Kanadzie.

Lucy zaczęła przyglądać się temu, co działo się wokół. Po kilka razy dziennie łodzie kursowały między wyspą a Findon. Przybywali ludzie, przywożono materiały. McTavish został zwolniony, przyjechał Jack Rutherford, który, jak oznajmił Robert, miał uporządkować rachunki. Była jednak przekonana, że Jack i Robert mieli inne zadania oprócz tych, o których dyskutowali. Gdy zapytała o to, usłyszała od męża, że chodzi o zabezpieczenie przed francuskim piratem, którego widziano na wodach na północ od wyspy. Jack mówił to samo. Lucy miała jednak wątpliwości.

Chłodny wiatr smagał jej twarz. Słońce chyliło się ku zachodowi, cienie się wydłużyły. Owinęła się szczelniej szalem i poszła do portu. Na brzegu kobiety zbierały drewno naniesione przez fale morskie. Drewno było cennym znaleziskiem. Na wyspie rosły nieliczne drzewa, mieszkańcom zawsze brakowało opału. Zbliżała się pora wieczornej kulminacji przyływu. Woda chłodziła stopy i Lucy zadrżała z zimna.

Dół sukni i halki były przemoczone od rozbryzgujących się o kamienie fal. W kałużach na plaży taplały się dzieciaki. Wiatr roznosił ich radosne krzyki. Było spokojnie, jednak Lucy nie mogła wyzbyć się przeczucia, że coś jest nie w porządku.

Na nabrzeżu w porcie dostrzegła Roberta i Jacka. Widok męża zawsze podnosił ją na duchu. Przyspieszyła kroku. Nie zdążyła go zawołać. Przez gromadę ludzi przeszedł pomruk i wszyscy odwrócili się w stronę morza. Ognista tarcza słoneczna kryła się za horyzontem, a na jej tle ukazała się czarna sylwetka wielkiego żaglowca.

– Marynarka królewska! Obława! Będą łapać! – rozległy się pełne trwogi okrzyki.

W tej samej chwili ktoś wskazał na południe, gdzie na przylądku rozbłysła flara.

– Atakują wieś!

Lucy zauważyła, że Robert drgnął, jakby rażony piorunem.

– Cardross przyprował łowców – powiedział. – To drań.

Mieszkańców ogarnęła trwoga, bo dobrze wiedzieli, czym to grozi. Pojawienie się okrętu oznaczało destrukcję ich życia.

– Biegnij do Auld Haa. – Robert chwycił Lucy za rękę. – Zaryglujcie się od środka i nie otwierajcie nikomu. Przyjdę, jak tylko będę mógł.

– Nie – sprzeciwiła się bez namysłu. – Chcę wam pomóc. Pozwól mi zaopiekować się kobietami i dziećmi. Nie boję się Wilfreda, przywitam go pałaszem.

– Wiem, na co cię stać – cień uśmiechu pojawił się na twarzy markiza – jednak nie mogę się na to zgodzić. To zbyt niebezpieczne – podkreślił i przytulił ukochaną. – Nie wolno ci ryzykować, Lucy – przestrzegł. – Nie tylko ze względu na mnie, chociaż Bóg mi świadkiem, że nie wyobrażam sobie życia bez ciebie, ale z powodu Methven.

Lucy zrozumiała, co kryją słowa męża. Chodziło o przyszłość klanu, o dziedzica, którego już może nosiła w łonie. Z całego serca chciała pomóc, jednak nie mogła znieść myśli, że jest skazana na bierne oczekiwanie na rozwój wypadków. Zdawała sobie przy tym sprawę z tego, jak ważne jest jej bezpieczeństwo dla Roberta i jego rodu.

– Oby piekło pochłonęło Wilfreda! – powiedziała z mocą. – Musisz iść Robercie, zatrzymaj go. – Obejrzała się przez ramię.

Szalupa z okrętu wolno przybliżała się ku brzegowi. – Wiem, że nie pozwolisz im zabrać ludzi, ale bądź ostrożny. Oni nie respektują żadnego prawa i nie liczą się z nikim.

Robert pocałował ją gorąco.

– Wracaj – szepnęła. – Potrzeba nas obojga, żeby na świat przyszedł przyszły dziedzic Methven. Nie zapominaj, że cię kocham, i nie życzę sobie zostać wdową.

– Ja też cię kocham. – Pocałował ją namiętnie, niemal desperacko i odszedł w stronę czekających na niego ludzi.

W zapadającym zmierzchu Lucy wolno szła w kierunku Auld Haa. Zawahała się, gdy doszła do bramy. Droga biegła dalej, na wzgórze, na którym znajdowało się północne stanowisko obserwacyjne. Na szczycie wzgórza nie palił się ogień. Oznaczało to, że nikt nie ostrzegł dzierżawców z północnej części wyspy o niebezpieczeństwie. Znowu tknęło ją złe przeczucie. Wilfred podpalił zagrody na południu, marynarze z okrętu wkraczali na wyspę od zachodu. A co będzie, jeśli wyspa zostanie zaatakowana również od północy? Ludzie tam mieszkający byli bezbronni. Brzeg Golden Isle był poprzecinany licznymi zatoczkami i przy takim uwarunkowaniu atak od strony morza był możliwy w każdym miejscu.

Lucy porwała kopczą pochodnię, która oświetlała wejście do Auld Haa, i pośpieszyła w stronę stanowiska obserwacyjnego, od którego dzieliło ją kilkaset jardów w górę. Po lewej stronie w ostatnich przebłyskach dnia lśniła tafla jeziora. Na szczycie wzgórza owiał ją zimny wiatr. Lucy poczuła gęsią skórę na plecach. Miała wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Rzuciła pochodnię na podpałkę i z lżejszym sercem chciała zawrócić do domu.

– Nie tak szybko, kuzynko.

Naprzeciw niej wyrósł Wilfred Cardross. Czarna sylwetka odcinała się od kobaltowej powierzchni morza. Za jego plecami Lucy doliczyła się pięciu ludzi, których przyprowadził ze sobą. Słyszała syk ognia, który strawił podpałkę i z hukiem wystrzelił w górę. Wkrótce ujrzą go ludzie w zagrodach na północy i będą wiedzieli, że trzeba szykować się do obrony.

Wilfred zbliżał się wolnym krokiem. Teraz całkiem wyraźnie widziała jego oświetloną płomieniami twarz. Był ubrany zupełnie niestosownie do okoliczności, miał koronkowe mankiety i koronkowy

żabot. Złowrogi wyraz oczu kontrastował z wyrafinowaną elegancją stroju. Uniosła dumnie brodę, patrząc mu w oczy.

– Widzę, że tym razem sprowadziłeś większe grono ziomków – powiedziała. – Bardzo rozsądnie.

– Kuzynko Lucy – skłonił się – jakże się cieszę, że cię widzę. Dziękuję ci, że oszczędziłaś mi fatygi i nie muszę ciebie szukać.

Dał znak głową ludziom, żeby wystąpili do przodu. Patrzyli na nią zgłodniałym wzrokiem i Lucy ogarnął strach.

– Fatalne niedopatrzenie ze strony Methvena, że zostawił cię na łasce losu – odezwał się Wilfred. – Powinien lepiej dbać o swoją własność.

– Mąż broni ludzi z klanu. Domyślam się, że takie zachowanie jest ci kompletnie obce. Ty swoich okradasz, prawda, Wilfredzie? Konfiskujesz im bydło, palisz ich domy, tak?

Cardross roześmiał się i obejrzał się w stronę, gdzie na niebie widoczna była luna.

– Niewiele pozostało tu już do obrony – zauważył. – Wszyscy mężczyźni z wyspy oraz ludzie Methvena zostaną wcieleni do marynarki. Ja zajmę się tobą, a to będzie oznaczało koniec.

Podszedł o krok bliżej. Uśmiechał się, najwyraźniej bawiła go sytuacja. Lucy cofnęła się, oparła plecami o mur okalający ognisko, szukając po omacku rękojeści pochodni, którą ze sobą przyniosła. Kuzyn myślał, że jest bezbronna. Postanowiła go sprowokować.

– Wilfredzie, oblatuje cię strach? Podejdź bliżej.

Wyciągnął szablę, jej końcem dotknął skóry poniżej brody Lucy. Poczowała dotyk żelaza na gardle.

– Nie boję się ciebie ani twojego lairda – oznajmił. – Oho, chyba się zbliża.

Rzeczywiście, dał się słyszeć odgłos kopyt konia. Lucy odwróciła głowę. Koniec ostrza szabli drasnął ją, na szyi pokazała się krew.

– Methven! – krzyknął Wilfred. – Wreszcie dotarło do ciebie, że mam twoją kobietę.

– Nie... – Lucy chciała ostrzec męża, lecz zamilkła, gdy kuzyn przeniósł ostrze na jej pierś, mierząc prosto w serce.

Robert wjechał w krąg oświetlony blaskiem ognia. Był sam. Ludzie Cardrossa błyskawicznie go okrążyli.

– Rzuć szablę! – rozkazał Wilfred, a kiedy Robert nie posłuchał, nacisnął mocniej w pierś Lucy.

Wówczas markiz rzucił szablę na ziemię, ani na moment nie spuszczał wzroku z żony.

– Dobrze – skwitował Wilfred. – A teraz posłuchaj, bo powinieneś o tym wiedzieć, Methven. Twoja piękna żona cię oszukuje.

Wykonał lekki ruch ręką. Szabla rozcięła stanik sukni i drasnęła pierś, pozostawiając czerwoną rysę na białej skórze. Lucy zacisnęła zęby, żeby nie krzyknąć z bólu.

– Oszustwo jest wielką niegodziwością, nieprawdą?

Lucy zamarła, nie zważała na ból. Wiedziała, że podły kuzyn posunie się do ostateczności. Nie daruje upokorzenia, jakiego zaznał z jej ręki nad jeziorem, po ucieczce z gospody. Teraz brał na niej rewanż.

– Obawiam się, że nie doczekasz się syna – ciągnął Wilfred.

Wykonał kolejny błyskawiczny ruch szablą, rozcinając suknię Lucy poprzecznie do poprzedniego cięcia. Strzępki materiału opadły na ziemię jak liście z drzewa. Lucy najpierw spostrzegła kolejną krwawą rysę na piersi, dopiero po sekundzie poczuła ból. Był piekący.

Wilfred zaśmiał się i rozciął stanik sukni. Białe piersi Lucy zalśniły w blasku ognia. Robert rzucił się do przodu, lecz ludzie Cardrossa natychmiast go powstrzymali. Lucy osłoniła obnażone piersi ręką. Wilfred ponownie skierował ostrze szabli w stronę jej szyi.

– Nie ruszaj się, kuzynko.

Roześmiał się któryś z ludzi stojących wokół. Lucy widziała ponurą twarz męża.

– Wracając do tematu zdrady, kuzynko, dowiedz się, że twoja pokojowa zrobi wszystko za garść złota. To ona sprzedała mi twój sekret.

Lucy zebrało się na mdłości. Teraz rozumiała zachowanie Sheeny, która namawiała ją do zażywania ziołowych kropeł.

– Twoja przewrotna żona, Methven, poszła do znachorki po nalewkę, która zapobiega poczęciu. Ty się wysilałeś, a ona zabezpieczała przed ciążą. Ty czekałeś na dobrą wiadomość, a ona wiedziała, że nigdy ci jej nie oznajmi. Zdradziła cię. To tak, jakby osobiście przekazała mi twoje włości.

– Nie było tak. – Lucy wydobyła z siebie głos, mimo że dym gryzł ją w gardło. – Nigdy tak nie było! Robercie, przysięgam...

Methven zignorował jej słowa. Wpatrywał się w Cardrossa.

– Puść ją – powiedział.

– Lucy pojedzie ze mną – odparł ze śmiechem Wilfred. – Długo czekałem na rewanz, a jak skończę, moi ludzie mnie zastąpią.

Złapał Lucy za ramię, wbijając boleśnie palce w ciało powyżej łokcia. Jeden z jego pachołków zbliżał się, żeby chwycić ją za drugie ramię. Lucy cofnęła się, wolną ręką wyczuła za plecami kij pochodni. Płomień parzyły ją, ale zacisnęła zęby.

– Idziemy, kuzyneczko – szarpnął ją Wilfred. – Przestaniesz się na mnie boczyć, jak z tobą porozmawiam.

Robert z rykiem rzucił się na najbliższego stojącego obok niego ziomka Cardrossa, powalając go na ziemię. Zanim odskoczył w bok, by uniknąć ataku ze strony pozostałych, zdążył podnieść z ziemi szablę przewróconego i zwrócił ją przeciwko nim. Jednego uderzył płazem, z drugim też uporał się błyskawicznie. W tym samym momencie Lucy zamachnęła się płonąca pochodnią na Wilfreda; koronkowe mankiety zajęły się momentalnie, a Cardross z wrzaskiem pobiegł w stronę jeziora. Słysząc było głośny plusk, gdy do niego wskoczył.

Lucy machnęła pochodnią ku pachołkowi kuzyna, który zamarł w bezruchu, po czym rzucił się do ucieczki w ślad za dwoma kolegami. Uciekającego dosięgła jednak szabla Roberta. Lucy wrzuciła pochodnię z powrotem do ognia. Ze zdenerwowania ledwo trzymała się na nogach. Robert skoczył ku ukochanej i wsparł ją silnymi ramionami. Nic nie mówił. Ze zgrozą patrzył na jej piersi naznaczone do krwi szablą Wilfreda.

– Gdybyś go nie podpaliła, to bym go zabił – odezwał się wreszcie.

– To tylko draśnięcia. – Zlekceważyła rany, ale szczekała zębami ze zdenerwowania i wyczerpania. – Chciał mnie upokorzyć.

– Idź do domu, trzeba cię opatrzyć – stwierdził Robert. – Wiem, że Cardross mówił prawdę – dodał i odwrócił się po swojego konia.

Lucy pobiegła za nim.

– Poczekaj, pozwól, że ci wyjaśnię...

– Mów. To prawda z tymi kroplami?

– Tak, ale...

– Od kiedy je masz, Lucy?

– Od dnia naszego ślubu – odrzekła – ale ich nie brałam. Uwierz

mi! Nigdy ich nie brałam!

Robert ze smutkiem pokręcił głową.

– Myślałem, że mi ufasz. Przecież zapewniałem cię, że cię nie zawiodę. Okazuje się, że chyba nigdy mi nie wierzyłaś.

– To nie tak! Wierzyłam ci, lecz... – Zamilkła

To jedno małe słówko „lecz” zdradzało, jak mało wiary żona w nim pokładała.

– Przecież wiesz, jak było – szepnęła. – W jakim strachu żyłam. Musiałam zrobić coś, żeby poczuć się bezpiecznie.

– Ze mną zawsze byłaś bezpieczna. Szkoda, że miałaś do mnie tak mało zaufania.

Lucy zrozumiała, że to koniec. Wszelkie usprawiedliwienia, tłumaczenia są zbędne. Może z czasem on będzie gotowy ich wysłuchać, jednak jasna wspólna przyszłość, którą dopiero co zaczęli budować, legła w gruzach.

– Zimno się robi, zmarzniesz – powiedział Robert. – Dość już zrobiłaś dla Golden Isle i jestem ci za to wdzięczny. Zawiozę cię do Auld Haa i wrócę do wioski. Muszę pomóc ludziom.

Ta chłodna uprzejmość sprawiła Lucy ogromną przykrość.

– Oczywiście. Nie kłopotz się o mnie – odparła.

– Nie ma mowy, zawiozę cię.

Pomógł jej wdrapać się na konia. Skrzywiła się z bólu, gdy dotknął jej poparzonej dłoni.

– Poparzyłaś się – zauważył.

– To nic. Tylko parę pęcherzy.

Robert prowadził konia. Lucy brakowało serdeczności i troskliwości męża. Ten brak bolał bardziej niż poparzenie. Milcząc, zjeżdżali w dół. Gdy dotarli na miejsce, bez słowa pożegnania zostawił ją przy bramie domu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Całą noc gasili pożary, Robert nie spoczął do rana. Nie myślał o niczym, nic nie czuł. Cardross został pojmany, jego pomagierów także schwytano. Co więcej, udało się nawet dopaść Le Boucaniera. Zwabił go w zasadzkę Jack, który wypłynął w morze jachtem Cardrossa. Łowcy ludzi odpłynęli; zadowolili się nagrodą w postaci pirata i jego statku. Taka sprawiedliwość panowała na wyspach, daleka od reguł prawa królewskiego, ale Robert był zadowolony. Cardross zostanie osądzony za zdradę i przestanie zagrażać włościom Methvenów.

W końcu, gdy nad wschodnim krańcem wyspy wstało słońce, pokazał się Jack, brudny i cuchnący spalenizną. Robert pomyślał, że prawdopodobnie wygląda tak samo. Jack podał mu skórzany bukłak z wodą, z której pociągnął porządny łyk, aby przepłukać zaschnięte od dymu gardło.

– Powinieneś odpocząć, Rob – stwierdził.

– Jeszcze nie skończyłem – odrzekł markiz.

– Robota nie zając, nie ucieknie. Prześpij się i porozmawiaj z Lucy.

Robert wykonał nieokreślony gest. Jack nie zamierzał ustąpić.

– Próbowала uratować dla ciebie Methven. Nie widzisz tego, głupcze? Musiała się zabezpieczyć, gdy za ciebie wychodziła. Przeszła przez tragiczną próbę, kiedy była za młoda, by z tak poważną sytuacją sobie poradzić. Ta mikstura dodawała jej odwagi. Chciała za ciebie wyjść i pomóc ci uratować Methven przed zachłannością Cardrossa.

– Powinna mi zaufać – upierał się Robert.

Jack westchnął. Odgarnął z czoła włosy, rozmazując sadzę.

– Owszem, powinna. Weź jednak pod uwagę, że naówczas nie miała żadnych podstaw. Mogła znowu dać ci kosza, ale tego nie uczyniła. Uwierzyła w ciebie i chciała uratować Methven.

– Potrafisz być przekonujący. Powinieneś zostać prawnikiem, Jack.

– Wiem, że mam rację.

– Natomiast ja nie mam pojęcia, skąd to wszystko wiesz.

– Powiedziała mi ta przewrotna dziwka, jej pokojówka. Sądzę, że chciała w ten sposób uratować swoją marną skórę. Wszyscy

mieszkańcy Golden Isle pokochali dzisiaj Lucy za jej odwagę. Ty też ją kochasz. Nie pozwól Cardrossowi zrujnować wasze małżeństwo. Nie daj mu wygrać.

– Podziwiam twoją odwagę, że śmiesz tak do mnie mówić.

– Ktoś musi.

Jack ma rację, pomyślał Robert. Kochał Lucy, i to tak bardzo, że jej zdrada zabolowała go niemal fizycznie. Zabolowała tym bardziej, że słyszał, jak ludzie wychwalali odwagę jego żony, i byli jej wdzięczni za pomoc, podczas gdy ona zamierzała odmawiać im jednego, czego było im trzeba, żeby nie dostać się w jarzmo Cardrossa – jego syna, dziedzica i spadkobiercy.

Robert był przekonany, że zdobył jej zaufanie, i chociaż wiedział, że nie chodziło o niego, lecz o jej traumatyczne przeżycia z młodości, czuł się oszukany i zdradzony. Czar tak pięknie zapowiadającego się małżeńskiego pożycia prysł, albowiem przez cały czas ona go oszukiwała. Robiła wszystko, żeby nie pojawiło się w ich stadle dziecko.

Przyznał Jackowi słuszność w jeszcze jednej sprawie. Gdyby on odwrócił się teraz od Lucy, Cardross osiągnąłby cel, do którego dążył, czyli nie tylko do zawładnięcia jego majątkościami, lecz także do zniszczenia jego radości, nadziei i miłości. Zrujnowania jego przyszłości.

– Nie wiem, dlaczego tak ci na tym zależy – powiedział do kuzyna.

– Chcę, żebyś był szczęśliwy, ty baranie. – Jack klepnął Roberta po ramieniu. – Leć do domu i odszukaj żonę.

Lucy już nie spała. Wstała, gdy tylko świt zaczął sączyć się przez okno do pokoju, wyciągnęła kufry i zaczęła się pakować. Wolała nie czekać, aż Robert poprosi ją, żeby wyjechała. Chciała być gotowa, ale gdy usłyszała kroki męża na schodach, zdenerwowała się, bo nie bardzo wiedziała, co mu powie.

Wszedł do pokoju i jedno spojrzenie wystarczyło Lucy, by utraciła pewność, czy decyzja, którą podjęła, jest słuszna. Zmył z twarzy najgorszy brud, wciąż jednak wyglądał na zmęczonego. W pierwszym odruchu chciała przytulić go i pocieszyć, lecz nie była pewna, jak on by to przyjął, więc się pohamowała.

Zauważył otwarte kufry i powyjmowane z szafy ubrania.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.
– Wyjeżdżam – odparła krótko przez ściśnięte gardło. Bała się, że nie zdoła wydusić z siebie nic więcej.

– Dokąd?
Tak bardzo pragnęła wyciągnąć ku niemu ramiona, znaleźć się w jego objęciach!

– Nie wiem. Dokądś.
– Dlaczego?
Lucy roześmiałyby się na widok zakłopotanej miny męża, gdyby nie czuła się jak zbity pies.

– Tak będzie lepiej.
– Lepiej dla kogo?
– Dla ciebie, naturalnie.
– Doceniam twoją troskę. Chciałbym jednak, byś wiedziała, że nie będzie mi lepiej, jak mnie opuścisz.

Lucy zabiło mocniej serce. Spojrzała uważnie na Roberta. Czy z niej kpił? Chyba nie, bo objął ją czułym spojrzeniem.

– Lucy...
– Poszłam na klif... Chciałam odnaleźć flakonik, który wyrzuciłam, żeby ci udowodnić, że go nie otwierałam.

– Znalazłaś go?
– Nie. Wpadł do morza.

Miała łzy pod powiekami, czuła, że jeszcze chwila, a wybuchnie szlochem. Przypomniła sobie, co chciała mu wytłumaczyć, a mianowicie to, że tak naprawdę nie zamierzała zażywać mikstury. Kiedyś sądziła, że największym zagrożeniem byłaby dla niej ciąża. Strach przed urodzeniem dziecka znikł pod wpływem miłości i teraz bała się utracić Roberta. Pewnie, że mogłaby bez niego żyć, i zapewne będzie na to skazana, ale pożegna się z radością i szczęściem. Dowiedziała się, być może za późno, że traci to, co w życiu najważniejsze, miłość ukochanego mężczyzny. W życiu nie ma nic pewnego, ale gdy jest miłość, istnieje nadzieja, że człowiek pozostawi po sobie dobry ślad.

– Niczego nie musisz wyjaśniać – powiedział Robert.
W sercu Lucy zgasł promyk nadziei. Mąż nie chciał o niczym wiedzieć. Jej intencje były dla niego oczywiste: pragnęła pozbawić go syna i następcy. Nawet jeśli nie nazwać tego zdradą, to i tak wszystko

między nimi skończone. Nie mogła go winić, ponieważ zapewniał ją, że może mu zaufać, ale ona nie potrafiła mu uwierzyć.

Musiała usiąść na łóżku; kolana się pod nią uginały. Czowała, że dłużej nie potrafi pohamować płaczu.

– Niczego nie musisz wyjaśniać – powtórzył łagodnym głosem Rob. – Wierzę, że nie użyłaś mikstury, skoro tak twierdzisz. A nawet jeśli z niej skorzystałaś, to rozumiem dlaczego i nie mogę cię za to winić.

Znużony, z zaczerwienionymi oczami z niewyspania, Robert wyglądał żałośnie. Lucy zapragnęła go utulić i pocieszyć.

– Na początku byłem na ciebie zły, bo poczułem się oszukany. Wiem jednak, że ciągle mi ufasz, i to się dla mnie liczy. Kocham cię i ty mnie kochasz.

Lucy rzuciła się w ramiona męża.

– Wszystko rozumiesz – wyszlochała.

– Już dobrze.

Pogłaskał ją po głowie, po czym odgarnął włosy z jej twarzy i pocałował czule, jakby była potrzebującym pocieszenia małym dzieckiem.

– Kocham cię, i to bardzo. Jeśli uważasz, że jeszcze za wcześnie, jeśli boisz się mieć dziecko, to zaczekamy. Będę w sądzie dochodził swoich praw...

Lucy położyła mu palec na ustach.

– Nie mów nic. Jestem gotowa – wyszeptała. – Zresztą, kto wie, może już noszę twoje dziecko.

Robert zrzucił kufer z łóżka. Upadł z hałasem, a zawartość wysypała się na podłogę. Lucy otworzyła usta, by zaprotestować, ale zamknął je pocałunkiem. Zaczął rozpinać jej suknię. Jeden guzik, potem drugi...

– Na wypadek, gdybyś nie była, to spróbujmy temu zaradzić?

EPILOG

*Methven Castle,
21 września 1813 roku*

Lucy napisała na górze kartki datę i popadła w zadumę. Sformułowanie listu nie było łatwym zadaniem; każde słowo musiało być starannie dobrane. Odwróciła głowę w stronę okna. Szkoda było siedzieć w domu w takim pięknym dniu. Nad doliną unosiła się zabarwiona na złocisty kolor mgiełka, na tle czystego niebieskiego nieba rysowały się szczyty wysokich gór.

Na tarasie odpoczywała, zwrócona ku starannie wystrzyżonemu ogrodowi, wdowa po markizie Methvenie; u jej nóg spały psy. Lucy podejrzewała, że lady Methven też drzemie, chociaż starsza pani obraziłaby się, gdyby jej o tym powiedzieć. Zgodnie z przewidywaniem Roberta, jego babka z całego serca pokochała Lucy.

„Babcia ma bardzo wysokie wymagania – powiedział któregoś dnia – bardzo trudno ją zadowolić”. Lucy nie zaoponowała, chociaż była odmiennego zdania. Zdobyła sympatię starszej pani bez trudu. Wystarczyło, że zauważyła, jak bardzo Lucy kocha Roberta, i natychmiast otworzyła przed nią serce. Było to bardzo miękkie serce pod na pozór szorstką powłoką.

Psy zerwały się z drzemki i zaczęły szczekać. Tarasem szedł Robert, niosąc na rękach czteromiesięcznego synka. James Gregor Methven spał smacznie. Lucy widziała, jak mąż ostrożnie podaje becik babce. Jakby czując na sobie wzrok Lucy, zamachał do niej ręką. Po chwili usłyszała jego kroki na schodach. Wszedł do gabinetu, wnosząc ze sobą zapach słońca i świeżego powietrza. Schylił się, by ją pocałować.

– Jak ci idzie pisanie? – zapytał.
– Brak mi słów – odpowiedziała.
– Mam ci pomóc, coś podpowiedzieć?
– To nie ten rodzaj listu. Chcę pogratulować Lachlanowi z powodu odziedziczenia przez Dulcibellę włości Cardrossa.

Robert zajął fotel obok biurka Lucy.

Kiedy Wilfred Cardross został uznany winnym zdrady, a było to miesiąc temu, król w swej łaskawości przyznał majątek Cardrossa

Dulcibelli, jego najbliższej krewnej. Lachlan i jego ukochana, która dla niego uciekła Robertowi od ołtarza, zostali szczerze wynagrodzeni. Jednocześnie król unieważnił piętnastowieczny traktat, na mocy którego Cardrossowie mogli wysuwać roszczenia o zwrot ziem Methvenów. Ich majątek był podwójnie zabezpieczony, ponieważ przyszedł na świat spadkobierca Roberta. Mimo wszystko Lucy lubiła się z nim droczyć.

– Wielka szkoda, że nie poślubiłaś Dulcibelli, jak zamierzałaś – odezwała się niewinnie. – Gdyby do tego doszło, zarówno ziemie Cardrossów, jak i Methvenów, byłyby teraz twoje.

– A z czyjej winy tak się stało? – zapytał.

– Niestety, z mojej. Już cię za to przepraszałam.

– Za mało.

Robert wstał zamasyżuje i porwał żonę w ramiona. Niezapisana kartka poszybowała na podłogę. Robert zaniósł żonę do sąsiadującej z gabinetem sypialni i rzucił ją na łóżko.

– Jesteś moją dłużniczką – szeptał, całując ją w ucho.

– Robercie! – wykrzyknęła Lucy, gdy zabrał się do zdejmowania z niej ubrania. – Co ci przychodzi do głowy! W biały dzień? Twoja babcia... – Zamilkła, bo Robert zamknął jej usta pocałunkiem.

– Mówiłaś coś?

– Zapomniałam.

Pokój był zalany światłem słonecznym. Lucy przepelniało szczęście. Ugryzła leciutko męża w ramię dla zachęty. Traktował ją, jakby była z porcelany, gdy wrócił do jej łóżka po narodzinach synka, a ona ostatnio zapragnęła powrotu do namiętnych uniesień. Uśmiechnęła się do siebie. Gdy zorientowała się, że jest w ciąży, zaczęła się niepokoić. Robert, wbrew konwenansom i ku zgorszeniu otoczenia, asystował jej podczas porodu, żeby dodawać jej odwagi. Kochała go wcześniej, ale po okazaniu solidarności i lojalności pokochała go w dwójnasób.

Objęła go mocno, otoczyła nogami i uniosła biodra. Zapomniał o delikatności, teraz i jemu zaczęło się spieszyć. Po wspaniałym akcie miłosnym i cudownym zespoleniu leżeli wyciszeni i szczęśliwi. Z tarasu dochodziły głosy starej markizy i niani małego Jamesa.

– Czy teraz mi przebacysz? – zapytała Lucy.

– Po zastanowieniu się, tak. Doszedłem do wniosku, że dobrze

się stało. Nie potrzebuję ziemi Cardrossa. Mam Methven, Jamesa i
ciebie. – Pocałował ją. – Niczego więcej w życiu nie pragnę.

eh:)

[1] Wielka Rebelia w 1745 r. i Pierwsza Wielka Rebelia w 1715 r. kontynuowały ciąg szkockich powstań narodowowyzwoleńczych, wzniesionych przez jakobitów, zwolenników dynastii Stuartów w latach 1689-1745 (przyt. red.).

